W NUMERZE: Jak dbać o zdrowie? ■ Rozmowa z laureatem — nagrody m. Łodzi 1979 — Tadeuszem Chróścielewskim ■ Co nauka daje gospodarce? ■ Tradycje ruchu młodzieżowego ■ Portret miasta Brzeziny ■ Poczta modernizuje się ■ Jak zostać popularnym aktorem? ■ Społeczne i gospodarcze tło wydarzeń w Iranie ■ Proza Zofii Lorentz ■ Poezja Henryka Hartenberga ■ Felietony ■ Recenzje

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 4 (1103) ROK XXII 28 STYCZNIA 1979 R. CENA 3 ZŁ

Foto: Z. Czapliński, T. Lewandowski, P. Mystkowski, F. Zwierzchowski.

TADEUSZ GICGIER

WSPÓŁCZESNY ANTEUSZ

Pan Antoni Patla był wtedy po prostu Antosiem, uczniem szkoły elementarnej. Od dzieciństwa ciągnęło go do wędrówek i tym chyba należy wytłumaczyć jego wyprawę z podkrośnieńskich Tłoków do stacji kolejowej Jedlicze, gdzie miała przyjechać Maria Konopnicka. Działo się to w początkach września roku 1903, kiedy to poetka obejmowała w posiadanie dar narodowy — dworek w Żarnowcu. Chłonna wyobraźnia Antosia zanotowała na trwałe tamte i trochę późniejsze obrazy, jednakże, jak można przypuszczać, pewien szlif nadała już im wyobraźnia pana Antoniego.

1.

— Czekamy dość długo, niecierpliwimy się, nareszcie pociąg nadjeżdża. Wtacza się na stację, staje. Patrzymy wszyscy uważnie. Jest! Jest w oknie wagonu trzeciej klasy (tu muszę dodać, że Konopnicka jeździła zawsze trzecią klasą). Entuzjazm nieopisany, okrzykom nie ma końca. Konopnicka wychodzi z wagonu, wita ją poseł Jakub Bojko, ona pięknie odpowiada. Teraz proszą ją do bryczki, zaprzężonej w dwa wystrojone siwki. Konopnicka idzie, z nią córka Zofia, pani Dulęba, znana malarka, i jakieś dwie panie, które przyjechały również z Krakowa. Potem okazało się, że była to żona Lucjana Rydla i żona Stanisława Wyspiańskiego. Konopnicka jest już na bryczce i teraz dzieją się rzeczy przedziwne: podbiega kilku roslych chłopów i wyprzęga konie, za nimi znów kilku, jeszcze potężniejszych, niosą kilkumetrowe drągi. Podtykają te drągi pod bryczkę i chcą ją wziąć na ramiona. Konopnicka jest zaszokowana, zwraca się do tragarzy-amatorów: — Drodzy bracia, drodzy przyjaciele! Przyjechałam tu do was jako wasza matka, siostra, przyjaciółka, jak tylko chcecie. Ale nie przyjechałam w roli chińskiego mandaryna, żebyście mnie jak w lektyce nosili.

Teraz oni są skonsternowani. Wyjmują drągi spod bryczki, spuszczają głowy. Trzeba z powrotem zaprzęgnąć konie. Ale Konopnicka znów się nie zgadza. No bo jak to? Ona jak pani lub jakaś hrabina pojedzie bryczką, a dziesięciotysięczny tłum, który przyszedł ją witać, będzie szedł za nią? Wysiada z bryczki i postanawia iść pieszo.

Tak uformował się ogromny pochód: gdy tłumy ustawiły się na szosie, zajęło to prawie kilometr drogi. Kiedy jesteśmy za mostem na Jasiółce, ktoś intonuje pieśń „Kochasz ty dom". Potem idą inne do słów poetki i tak własnymi pieśniami odprowadzono ją do Żarnowca.

W Żarnowcu przed dworkiem pochód się zatrzymuje i teraz znowu witania. Piękne przemówienie wygłosił poseł Stapiński, po nim zabrali głos przedstawiciele komitetu jubileuszowego i wręczyli Konopnickiej akt honorowej obywatelki ziemi krośnieńskiej. Konopnicka dziękuje wzruszona. Teraz wręczają jej klucze do dworku. Konopnicka otwiera drzwi i wchodzi, a z nią towarzyszące jej panie.

Wychodzą mniej więcej po kwadransie. Konopnicka jest zmieniona, nie do poznania: ma na sobie krakowski strój, który (jak dowiedzieliśmy się później) zaprojektował Wyspiański, a wyszywała pod jego kierunkiem jego żona i pani Rydlowa.

Dalszy ciąg na str. 8

JANUSZ INDULSKI

KOMBINAT ZDROWIA PRZY ULICY TERESY

W grudniu ub. roku minęło 25 lat od powstania w Polsce przemysłowej służby zdrowia. Jest to specjalistyczna dziedzina medycyny, której szczególnym zadaniem jest ochrona zdrowia w miejscu pracy pracowników przemysłu, budownictwa, transportu i innych. Jest ona nastawiona przede wszystkim na wykrywanie i zwalczanie czynników szkodliwych dla zdrowia, występujących, lub mogących występować w nowoczesnej produkcji. Naukową bazą jej działalności są instytuty medycyny pracy, w tym najstarszy z nich — Instytut Medycyny Pracy w Łodzi.

Łódzki instytut, zatrudniający dziś ponad 500 osób, posiada własne budynki oraz najnowocześniejszą aparaturę naukowo-badawczą i diagnostyczną. Pod tym względem jest najbogaciej wyposażony spośród wszystkich pozostałych resortowych instytutów służby zdrowia. Jego dynamiczny rozwój wynikał ze stale rosnącej potrzeby badań naukowych oraz konieczności prowadzenia praktycznej działalności w zakresie ochrony zdrowia pracowników polskiego przemysłu, jak również z potrzeb powstającej w owym czasie przemysłowej służby zdrowia i pionu higieny pracy Państwowej Inspekcji Sanitarnej. Zakres działalności instytutu obejmuje całość zagadnień medycyny pracy, tzn. wszystko, co dotyczy ochrony zdrowia człowieka pracującego, rozpatrywanej pod kątem szkodliwości związanej z pracą zawodową. Zagadnienia te dotyczą zarówno opracowań tzw. czysto naukowych jak i praktycznych. Szacujemy iż na opracowania naukowo-badawcze instytut poświęca około 50 proc. swojego potencjału roboczego. Reszta obejmuje działalność praktyczną, taką jak ekspertyzy wykonywane dla konkretnych zakładów pracy, rozpoznawanie i leczenie chorób związanych z wykonywaną pracą, nadzór fachowy nad przemysłową służbą zdrowia, nad pionem higieny pracy inspekcji sanitarnej, nad ochroną zdrowia pracowników narażonych na promieniowanie jonizujące itp. oraz działalność dydaktyczną, zwłaszcza w zakresie podyplomowego szkolenia lekarzy, pragnących się specjalizować w medycynie pracy.

Podejmowane przez instytut badania naukowe wynikają przede wszystkim z zapotrzebowań Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej, resortów gospodarczych, związków zawodowych, wojewódzkich ośrodków medycyny przemysłowej i wojewódzkich stacji sanitarno-epidemiologicznych, a także przedsiębiorstw przemysłowych. Od samego początku przyjęto za zasadę, iż podjęcie określonej pracy naukowo-badawczej w instytucie musi się wiązać z istnieniem lub ujawnieniem w polskim przemyśle jakiegoś problemu z zakresu ochrony zdrowia, którego rozwiązanie stwarza podstawy dla praktycznej działalności lekarzy zakładowych lub aparatu inspekcji sanitarnej. Włączenie takiego tematu do planu naukowego instytutu powoduje często konieczność podjęcia opracowań o charakterze podstawowym, teoretycznym Np. wykrycie faktu, że narażenie pracownika na oddziaływanie dwusiarczku węgla, które jest dość powszechne w przemyśle sztucznego włókna wiskozowego, może być powodem przedwczesnej miażdżycy, spowodowało podjęcie szeregu badań o charakterze czysto biochemicznym nad wyjaśnieniem mechanizmów tego zjawiska, a więc wpływu dwusiarczku węgla na przemiane tłuszczową w ustroju, na gospodarkę niektórymi witaminami (np. witamina PP), nad

Dalszy ciąg na str. 7

LAUREACI NAGRÓD M. ŁODZI – 1979

Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi przyznało nagrody indywidualne na 1979 rok dziewięciu osobom. Laureatami tegorocznej nagrody zostali: TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI – za całokształt działalności literackiej; prof. dr ANNA DYLIK – za całokształt działalności naukowej i dydaktycznej w dziedzinie geografii; prof. dr hab. EDWARD GALAS – za całokształt działalności naukowej i dydaktycznej w dziedzinie biochemii technicznej; mgr HENRYK KONARZEWSKI – za całokształt działalności dydaktyczno-wychowawczej; TERESA MAY-CZYŻOWSKA – za całokształt osiągnięć artystycznych w dziedzinie śpiewu operowego; FELIKS PARNELL – za całokształt działalności artystycznej w dziedzinie baletu; JÓZEF SKROBIŃSKI – za całokształt twórczości artystycznej w dziedzinie malarstwa; płk prof. dr hab. WŁADYSŁAW TKACZEWSKI – za całokształt działalności naukowej i dydaktyczno-wychowawczej w dziedzinie medycyny i mgr inż. arch. JANUSZ WYŻNIKIEWICZ – za działalność projektową i realizacyjną w dziedzinie architektury.

Tadeusz Chróścielewski

Pisarz, związany z Łodzią od 1946 r. Był jednym z organizatorów XI LO na Bałutach, przez pewien czas pełnił funkcję kierownika Wydziału Kultury Prez. RN m. Łodzi. Oprócz twórczości poetyckiej i prozatorskiej, odznaczającej się wysokimi walorami ideowo-artystycznymi, uprawia T. Chróścielewski działalność przekładową, tłumacząc m. in. z rosyjskiego, ukraińskiego, białoruskiego i litewskiego. Jest także wydawcą, autorem cennych opracowań, antologii i wyborów literatury obcej.

Prof. dr Anna Dylik

Od przedwojennych lat prof. A. Dylik związana jest z łódzkim szkolnictwem, a od 1945 r. z Uniwersytetem Łódzkim. Jej głównymi zainteresowaniami naukowymi są geografia fizyczna i geomorfologia, a podstawowym obszarem badań region łódzki. Dziełem prof. Dylik jest rekonstrukcja rozwoju wydm w okolicach Łodzi, ustalenie pierwszych ścisłych kryteriów określenia genezy rzeźby lodowcowej oraz odkrycie po raz pierwszy w Polsce kopalnych wieloboków. Prof. A. Dylik jest autorka 5 podręczników geografii oraz 60 prac naukowych.

Prof. dr hab. Edward Galas

Wielki jest wkład obecnego rektora Politechniki Łódzkiej, w dzieło rozbudowy i rozwoju PŁ. Stworzył jedyną w kraju katedrę biochemii technicznej, przekształconą następnie w instytut. Zainteresowania naukowe prof. E. Galasa koncentrowały się przede wszystkim nad enzymami, tak ważnymi dla wielu dziedzin gospodarki narodowej. Profesor jest autorem 30 cenionych prac naukowych, doskonałym organizatorem nauki i dydaktykiem, zasłużonym wychowawcą młodej kadry naukowej, otrzymał m. in. doktora honoris causa uniwersytetu w Glasgow.

Henryk Konarzewski

Zawód nauczycielski zaczął wykonywać w 1939 r. W czasie okupacji działał w ruchu oporu i prowadził tajne nauczanie na terenach dzisiejszego województwa skierniewickiego. Z Łodzią związał się od pierwszych dni po wyzwoleniu jako jeden z pierwszych organizatorów szkolnictwa średniego. Przez 23 lata uczył w XXVI LO im. M. Fornalskiej, dochodząc do stanowiska dyrektora szkoły, z którego przeszedł na zasłużoną emeryturę. Wyróżniony wieloma państwowymi i resortowymi odznaczeniami i nagrodami, był H. Konarzewski delegatem na VII Zjazd PZPR.

Teresa May-Czyżowska

Jako stypendystka rządu polskiego ukończyła Wydział Oratoryjny Akademii Muzycznej w Grazu (Austria). Od szeregu lat jest solistką Teatru Wielkiego w Łodzi, zdobyła sobie najwyższe uznanie publiczności i krytyki wieloma wybitnymi partiami sopranowymi, m. in. Desdemony w „Otellu", Agaty w „Wolnym Strzelcu" czy Saffi w „Baronie cygańskim". Z nie mniejszym powodzeniem uprawia artystka muzykę oratoryjną, spotykając się wszędzie z najpochlebniejszą oceną swojego kunsztu wokalnego i interpretacji.

Feliks Parnell

Po ukończeniu warszawskiej szkoły baletowej w 1915 roku rozpoczął działalność artystyczną w Rosji, debiutując w Odessie, występując m. in. na scenach Petersburga i Tyflisu. Po pierwszej wojnie powrócił do kraju i dał się poznać stołecznej publiczności jako utalentowany tancerz i choreograf. Przez kilka lat pełnił funkcję kierownika baletu i choreografa Teatru Wielkiego w Warszawie, a w latach trzydziestych kierował do wybuchu wojny założonym przez siebie zespołem, kultywującym polski folklor taneczny. Balet Parnella był szeroko znany w całym kraju, zdobył też sobie rozgłos i uznanie za granicą. Feliks Parnell położył ogromne zasługi dla łódzkiej sceny baletowej, działając przez szereg lat jako tancerz, choreograf, kierownik baletu i wychowawca młodych talentów.

Józef Skrobiński

Artysta prowadzi od szeregu lat ożywioną działalność twórczą w dziedzinie malarstwa i rysunku, brał udział w wielu wystawach krajowych i zagranicznych. Ważną dziedziną działalności J. Skrobińskiego jest reżyseria filmowa. Należy do głównych założycieli i organizatorów oddziału animacji łódzkiej wytwórni „Semafor", dla której tworzy filmy ambitne artystycznie i poznawczo.

Za swoją działalność artysta otrzymał liczne nagrody i wyróżnienia.

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że w momencie oddawania numeru do druku dowiedzieliśmy się o śmierci Józefa Skrobińskiego.

Płk prof. dr hab. Władysław Tkaczewski

Jest kierownikiem III Kliniki Chorób Wewnętrznych, prorektorem do spraw nauki Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi. Droga do wojska wiodła prof. Tkaczewskiego przez szeregi I Armii Wojska Polskiego, w której odbył kampanię wojenną jako oficer polityczny. Studia medyczne ukończył w Łodzi w 1950 r., a od 1958 r. prowadzi działalność dydaktyczną w WAM, uzyskując w 1975 roku nominację na profesora nadzwyczajnego. Prof. W. Tkaczewski jest autorem 175 publikacji naukowych, głównie z dziedziny kardiologii i gastroenterologii.

Janusz Wyżnikiewicz

Jest głównym projektantem Miejskiego Biura Projektów, zdobywcą 11 nagród i wyróżnień na krajowych i zagranicznych konkursach, zwłaszcza w dziedzinie nowoczesnego budownictwa szpitalnego oraz sportowego, m. in. projektantem kompleksu obiektów Łódzkiego Klubu Sportowego. Inż. Wyżnikiewicz jest także autorem projektu realizowanego obecnie Centrum Kliniczno-Dydaktycznego Akademii Medycznej w Łodzi.

Wszystkim laureatom serdecznie gratulujemy.

NOWE ŻYCIE „SIÓDEMEK"

Z dniem 1 stycznia do grona łódzkich teatrów zawodowych dołączył znany dotychczas głównie studenckiej publiczności **TEATR 77**. Stało się to w wyniku paroletnich starań zakończonych przychylną decyzją **Ministerstwa Kultury i Sztuki**. Na mocy tej decyzji cztery teatry studenckie: wrocławski **„Kalambur"**, poznański **„Teatr Ósmego Dnia"**, warszawska **„Akademia Ruchu"** oraz łódzki „Teatr 77" — działający do tej pory pod patronatem organizacji studenckiej — uzyskały status teatrów profesjonalnych. Decyzja ta — jak podkreślił na zorganizowanej z tej okazji konferencji prasowej dyrektor i kierownik artystyczny Teatru 77 **ZDZISŁAW HEJDUK** — sankcjonuje to, co było już życiem, a nie miało jedynie sprecyzowanego kształtu formalnego.

W istocie, przejęcie patronatu nad Teatrem 77 przez Ministerstwo Kultury i Sztuki pozwoli wreszcie uporządkować podstawowe dla dalszego rozwoju teatru kwestie, ureguluje warunki życia tej tak zasłużonej dla ruchu studenckiego i łódzkiego teatru placówki. Opiekę merytoryczną sprawować będzie nad zespołem **Wydział Kultury i Sztuki UMŁ**, co nie oznacza jednak, że naturalna więź łącząca Teatr 77 z organizacją studencką zostanie od razu przecięta. Działalność programowa odbywać się będzie na zasadach obowiązujących teatry zawodowe. Natomiast organizacyjnie i finansowo Teatr funkcjonować będzie w ramach **Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych**.

Korzystne perspektywy, jakie pojawiły się przed Teatrem 77 nie powinny jednak przesłonić kłopotów nękających ten zespół. **Sprawą otwartą jest przydział sali dla Teatru, będącej dotąd własnością Spółdzielni „Czystość". W sali tej nie dzieje się nic tak społecznie ważnego, co mogłoby opóźniać przekazanie jej na potrzeby Teatru. Miejmy nadzieję, że decyzja MKiSz. przyśpieszy rozwiązanie tego palącego problemu. Niezbędna jest tu jednak pomoc władz miasta.**

Do pomocy dla Teatru 77 powinien zachęcić nie tylko znany w kraju i za granicą dorobek tej sceny, ale również jej ambitne plany oraz zamierzenia. Mimo zmiany statusu, Teatr zamierza kontynuować tę linię ideową i artystyczną, która zarysowała się tak wyraźnie w ciągu blisko dziesięcioletniej pracy. Na **grudzień 1979 roku** przewidziana jest **premiera nowej wypowiedzi** (tak twórcy „Siódemek" określają swoje spektakle) **teatralnej pt. „Ciąg dalszy"** — będącej nawiązaniem do wcześniejszej wypowiedzi pt. **„Koło czy tryptyk"** (z 1971 r.) i podsumowaniem bogatych doświadczeń teatru w podejmowanej przezeń dyskusji o współczesności.

Kontynuacją rozpoczętego w zeszłym roku spektaklem pt. **„Skrzyżowanie"** cyklu wspólnych widowisk realizowanych, przez Teatr 77 wraz z teatrami zagranicznymi, będzie „projekt teatralny" pn. **„Wiosna Ludów"**. Po szwedzkim **„Teater 9"** do współpracy zaproszone zostało **brneńskie „Divadlo na Prohasku"**. Natomiast w planach na rok 1980 znajduje się spektakl zrealizowany przez Teatr 77 wspólnie z grupą **„Comuna Baires"** z **Mediolanu**. Wszystkie wymienione tu teatry są członkami (Teatr 77 — współzałożycielem i członkiem Komitetu Koordynacyjnego) **Międzynarodowej Federacji Teatru Otwartego — IFIT**. W ramach tej Federacji przedstawiciele „Siódemek" wezmą udział na przełomie stycznia i lutego br. w organizowanym przez „Comunę Baires" w Mediolanie **seminarium teatralnym nt. „Dezintegracja społeczna i twórcza teatru"**.

Teatry z Włoch, Czechosłowacji i Węgier będą również uczestnikami przypadających na grudzień 1979 roku **XV Łódzkich Spotkań Teatralnych**. Po XV ŁST Teatr 77 weźmie z kolei udział w sztokholmskim **festiwalu teatru otwartego**. Tamże zostanie przedstawiona premiera „Wiosny Ludów".

Niewykluczone jest też, że Teatr 77 wyjedzie na festiwal teatralny do **Nancy** (Francja), a w 1980 roku przyjmie zaproszenie RFN-owskiego teatru zawodowego w **Heidelbergu** i weźmie udział w międzynarodowym **„Tygodniu Teatralnym"** w tym mieście. Być może dojdzie również do wymiany między Teatrem 77 a **Teatrem Narodowym w Salonikach**.

W związku z przypadającym w grudniu 1979 roku **dziesięcioleciem Teatru**, planowane jest wznowienie głośnej przed laty wypowiedzi pt. **„Retrospektywa"** (z 1973 r.). Wzbogaci ono organizowane w tym właśnie czasie przez Teatr 77 Łódzkie Spotkania Teatralne. Uzupełnieniem artystycznej działalności Teatru 77 będzie **film** poświęcony tej scenie. Natomiast wydawany przez „Siódemki" co kwartał **biuletyn IFIT-u** zostanie przekształcony w główny organ teoretyczny ruchu teatru otwartego.

(T.S.)

KOLOROWY „EXPRESS"

19 stycznia 1979 roku ukazał się z okazji 34 rocznicy wyzwolenia Łodzi specjalny, pierwszy w dziejach łódzkiej prasy numer gazety codziennej z kolorowymi zdjęciami. Jest to wynik społecznej pracy POP, kierownictw i pracowników Prasowych Zakładów Graficznych RSW, ŁWP „Prasa-Książka-Ruch" oraz zespołu „Expressu Ilustrowanego". Gratulujemy!

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ, JERZY WILMAŃSKI

JERZY WAWRZAK

NAUKA – GOSPODARCE

Rozwój nauki w życiu społeczeństwa ma decydujące znaczenie. Każdego społeczeństwa i zawsze. Jednakże na obecnym etapie rozwoju gospodarczego rola nauki ma szczególne znaczenie. Zakończył się bowiem etap rozwoju ekstensywnego, realizowany drogą wzrostu zatrudnienia. Za nami pięciolatka boomu inwestycyjnego, która pozwoliła drogą śmiałych decyzji zapewnić setki tysięcy nowych miejsc pracy, umocnić pozycje Polski w dziesiątce najbardziej uprzemysłowionych krajów świata. Szansa ta wynikająca z uwarunkowań demograficznych, a także potrzeby dynamizowania gospodarki i odrabiania technologicznego dystansu do światowej czołówki – została w pełni wykorzystana.

Obecnie wchodzimy w okres, w którym aż po lata 90 przyrost siły roboczej netto będzie nieznaczny. Zrozumiałe też, że nasz dochód narodowy został poważnie obciążony w przeszłości wysokim udziałem inwestycji, obecnie spłacamy aciągnięte kredyty, a jednocześnie – dokonując manewru gospodarczego — chcemy rozwijać konsumpcję, zapewnić dalszy wzrost stopy życiowej społeczeństwa. W tych warunkach jedyną szansą jest **intensywny** rozwój gospodarki, konieczność podejmowania skutecznych działań wpływających na wzrost efektywności gospodarowania. Fundamentalne znaczenie dla uzyskania poprawy efektywności gospodarowania ma jakość pracy i jej organizacja, lepsze dostosowanie produkcji do potrzeb społecznych, zmniejszenie zużycia surowców, materiałów i energii, lepsze wykorzystanie majątku produkcyjnego, racjonalizacja zatrudniania i optymalne wykorzystanie czasu pracy.

Problemy kształtowania właściwych związków między nauką i techniką, rozumiane w kontekście dalszego, społeczno-gospodarczego rozwoju kraju, były przedmiotem obrad XII Plenum KC PZPR, które odbyło się w czerwcu ub. roku. Przygotowaniom do plenum towarzyszyło szerokie zainteresowanie także i łódzkiego środowiska naukowego i gospodarczego. Dyskusje naukowców i działaczy gospodarczych toczyły się w ponad 80 zespołach, a swoje opinie wyraziło ok. 800 osób. Zgłoszono wówczas liczne wnioski i propozycje zmierzające do stwarzania coraz lepszych warunków do rozwoju badań naukowych i ich właściwego wykorzystania w praktyce. W oparciu o uchwały XII Plenum w miesiącu wrześniu i październiku organizacje partyjne uczelni, placówek badawczych i rozwojowych oraz przedsiębiorstwa przemysłowe przyjęły programy działania na rzecz dalszego wzrostu udziału nauki w realizacji zadań społeczno-gospodarczych.

W ub. tygodniu odbyło się plenum Komitetu Łódzkiego PZPR, które jako pierwsze w kraju podjęło kontynuację tego doniosłego tematu. Dokonano na nim partyjnej oceny efektywności zaplecza naukowo-badawczego, jego udziału w unowocześnianiu przemysłu województwa łódzkiego. Była to jednocześnie okazja do oceny realizacji własnej uchwały z marca 1974 r. w podobnej sprawie, dotyczącej zadań łódzkiego środowiska naukowego w działalności na rzecz rozwoju kraju i Łodzi.

Mówiąc najogólniej ocena tych dokonań jest **pozytywna.** Taka jest wymowa faktów zawartych w referacie egzekutywy KŁ wygłoszonym przez **sekretarza KŁ PZPR Genowefę Adamczewską,** jak i w wypowiedziach zabierających na plenum głos licznych przedstawicieli nauki i gospodarki (m.in. ministra szkolnictwa wyższego i techniki prof. Janusza Górskiego). Zgodzić się jednak trzeba z konkluzją zawartą w referacie, że „w aktualnych, bardziej złożonych warunkach gospodarowania rola nauki i postępu technicznego w naszym województwie powinna być znacznie większa niż dotychczas. Wymaga to jednak przełamania jeszcze szeregu trudności organizacyjnych, technicznych i finansowych na drodze między pracownią naukową a halą fabryczną."

* * *

Łódź jest siedzibą siedmiu uczelni, wielu instytutów naukowych, badawczych i rozwojowych. Stanowią one duży potencjał twórczy, ściśle współuczestniczący w przemianach, jakie dokonują się w życiu społeczno-gospodarczym kraju i województwa. W ostatnich latach powołano w łódzkich uczelniach z inspiracji władz politycznych nowe kierunki studiów oraz rozwinięto kształcenie podyplomowe, głównie na potrzeby przemysłu.

W pierwszym roku bieżącej 5-latki łódzkie środowisko naukowe brało udział w rozwiązywaniu 49 tematów z programów rządowych i 279 tematów w problemach węzłowych. W roku bieżącym rozwiązuje 106 tematów w programach rządowych i 366 w tematyce węzłowej, a w tym tak ważne tematy jak: walka z chorobami nowotworowymi oraz produkcja białka na potrzeby przemysłu rolno-spożywczego.

Równolegle z centralnie sterowanymi badaniami prowadzone są prace nad rozwiązaniem szeregu problemów nurtujących łódzki przemysł i gospodarkę. Z przeprowadzonej przez Komitet Łódzki PZPR analizy wynika, że w ostatnich latach zwiększył się udział zaplecza naukowo-badawczego w programowaniu rozwoju poszczególnych branż przemysłowych, a zwłaszcza dużych kombinatów. Na podkreślenie zasługuje fakt, że prawie wszystkie inwestycje odtworzeniowe i modernizacyjne bieżącej dekady powstały w oparciu o prognozy rozwojowe opracowane przy udziale łódzkich naukowców i specjalistów. Placówki naukowo-badawcze, uczelniane, resortowe i branżowe opracowują technologię wytwarzania, asortyment wyrobów, dobór parku maszynowego, organizację pracy oraz organizację służb kontroli. Działalność zaplecza kontynuowana była w czasie realizacji inwestycji oraz po uruchomieniu zakładów. Mimo, że unowocześnianie przemysłu łódzkiego oparte było o zakup z importu wielu maszyn i urządzeń to w szeregu branżach, głównie przemysłu lekkiego wdrożenie nowych technologii i dostosowanie ich do krajowych możliwości surowcowych odbyło się w oparciu o własne opracowania technologiczne.

Wdrożono szereg technologii produkcji surowców, półfabrykatów i nowych wyrobów dla przemysłu lekkiego. Tak np. działalność zaplecza badawczego przemysłu lekkiego oraz przemysłu włókien chemicznych (często wspólne prace) pozwoliły na wprowadzenie nowych rodzajów włókien i przędz takich jak jedwabiu poliestrowego dla teksturowania, jedwabiu poliamidowego — lanastil, przeznaczonego do wytwarzania dywanów.

Duże znaczenie mają realizowane obecnie prace nad większym wykorzystaniem ważnego surowca krajowego jakim jest len, a także prace nad doskonaleniem wiru stacjonarnego. Spośród innych wdrożeń dotyczących technologii wymienić można:

— opracowanie i wdrożenie przez Instytut Papiernictwa PŁ technologii przerobu mieszanek drewna liściastego na celulozę,

— w Instytucie Fizyki Włókna i Chemicznej Obróbki Włókna PŁ opracowano metodę trwałego pokrywania włókien syntetycznych miedzią. Pozwala ona na produkcję materiałów przeciwdziałających gromadzeniu się ładunku elektrostatycznego, izolujących od wpływu zakłóceń i fal elektromagnetycznych.

Znaczny był udział środowiska naukowego w doskonaleniu konstrukcji maszyn i technologii wytwarzania. Między innymi:

— opracowano przez PŁ kompletną modernizację technologii wytwarzania krosien i przędzarek,

— opracowano i wdrożono przez Instytut Techniki Cieplnej elektrohydrauliczny regulator mocy dla turbozespołu 125 MW w elektrowni „Konin",

— opracowano technologię teksturowania pneumatycznego oraz maszynę do teksturowania PY-11, zbudowaną przez „Majetex" przy współpracy z Instytutem Włókiennictwa.

Prace placówek naukowo-badawczych dotyczyły w dużej mierze także kształtowania warunków pracy i ochrony środowiska. Służyło temu celowi między innymi:

— opracowanie przez Instytut Techniki Cieplnej nowych technologii i rozwiązań urządzeń oczyszczania spalin w ciepłowaniach segmentowych oraz produkcji wentylatorów lutniowych,

— opracowanie i wdrożenie przez Instytut Włókiennictwa technologii produkcji tkanin szklanych przeznaczonych na odzież ochronną.

W ostatnich latach opracowano i wdrożono szereg nowych rozwiązań w zakresie doskonalenia organizacji i zarządzania przedsiębiorstwem. Rozwiązania te pozwoliły na znaczne zmniejszenie zatrudnienia oraz udoskonalenie struktur organizacyjnych w wielu przedsiębiorstwach. Wprowadza się również w szeregu zakładach analizę wartości w dziedzinie organizacji pracy. Metoda ta zasługuje na uwagę, gdyż drogą bezinwestycyjną można uzyskać wiele rezerw w dziedzinie usprawnienia procesów produkcyjnych.

Realizując uchwałę plenum KŁ PZPR z 1974 roku znacznie zintensyfikowano działania w zakresie podniesienia zdrowotności załóg. Na szczególne podkreślenie zasługuje działalność akademii medycznych oraz Instytutu Medycyny Pracy. Działalność naukowa tych placówek koncentrowała się na szerokiej profilaktyce zmierzającej do eliminowania negatywnego wpływu na zdrowie takich czynników jak hałas, czy też zapylenie.

W pracy na rzecz ochrony zdrowia ma też swój udział łódzkie środowisko chemików. Na przykład w Politechnice Łódzkiej opracowano technologię leku przeciwreumatycznego ibuprofen. Wdrożono także lek przeciw chorobie Parkinsona — pirydynol.

Należy także wskazać na rolę środowiska naukowego w podejmowaniu i rozwiązywaniu problemów dotyczących społecznych, ekonomicznych i organizatorskich aspektów funkcjonowania przemysłu, jak również kształtowaniu i rozwijaniu zainteresowań kulturą, historią naszego narodu a zwłaszcza rolą i społeczno-zawodowym awansem klasy robotniczej. Duże zainteresowanie łódzkich ekonomistów, socjologów i prawników zwrócone było na problemy funkcjonowania wielkich i nowoczesnych przedsiębiorstw przemysłowych, problemy humanizacji pracy oraz sytuację zawodową i rodzinną łódzkich kobiet.

Praca w nowoczesnych zakładach przemysłowych będących nośnikiem postępu technicznego i społecznego obok poprawy warunków pracy, rodzi jednocześnie szereg problemów natury psychospołecznej, które znajdują odzwierciedlenie w osobowości pracowników. Stąd też badania nad tymi problemami są niezwykle potrzebne dla kształtowania właściwych stosunków międzyludzkich wśród załóg pracowniczych, stwarzania warunków dla wydajnej i jakościowo dobrej pracy.

W ostatnich latach w wyniku podjętych badań w UŁ powstało szereg prac naukowych i popularno-naukowych takich jak: „Współczesna polska klasa robotnicza", „Kobieta w rozwijającym się społeczeństwie socjalistycznym", „Włókniarze w procesie zmian" czy też „Funkcje i struktura przedsiębiorstw".

Łódzkie środowisko naukowe było inicjatorem i organizatorem szeregu ogólnopolskich konferencji naukowych i sympozjów. Konferencje te stanowiły płaszczyznę pogłębiania wiedzy o polityce społeczno-gospodarczej partii i rządu oraz okazję do wymiany poglądów między pracownikami nauki a praktykami życia gospodarczego i działaczami społeczno-politycznymi. Inspirowały one do wdrożeń dorobku społeczno-ekonomicznej myśli naukowej.

Realizacja ambitnych zadań społeczno-gospodarczego rozwoju kraju i województwa wymaga, mimo niewątpliwych osiągnięć, także krytycznego spojrzenia na niektóre niekorzystne zjawiska występujące jeszcze w realizacji i organizacji procesów badań oraz ich związków z gospodarką. Niepokój np. budzą sprawy kadrowe. W latach 1973—78 zatrudnienie było dość stabilne, na poziomie ok. 15 tys. pracowników, przy wzroście ok. 30 proc. kadry naukowo-badawczej. Jednakże liczba pracowników z tytułem profesora i docenta nie zwiększyła się od 5 lat, a w samym zapleczu naukowo-badawczym liczba samodzielnych pracowników naukowych zmniejszyła się. Sytuacja ta wymaga weryfikacji programów kształcenia, lepszego dostosowania istniejących struktur do potrzeb (przede wszystkim integracji małych zespołów), a także rotacji w odniesieniu do pracowników nie spełniających odpowiednich kryteriów.

W celu zwiększenia efektów oddziaływania zaplecza naukowo-badawczego na rozwój przemysłu należy szerzej wprowadzić zasadę powoływania **interdyscyplinarnych** zespołów badawczych z udziałem przedstawicieli nauki, pracowników biur projektowych i przemysłu, ukierunkowanych na rozwiązywanie konkretnego problemu. Taka forma współdziałania pozwoli uniknąć wielu nieporozumień, jakie mają miejsce na styku instytut — przedsiębiorstwo, stwarzać płaszczyznę „wspólnego interesu".

Na rzecz zacieśnienia dalszych związków między nauką a przemysłem miał służyć system stażu praktyk odbywanych przez pracowników naukowych w przemyśle. Dotychczasowe rezultaty są jednak niezadowalające. Ogranicza to przede wszystkim przepływ informacji o wzajemnych potrzebach i możliwościach. Także w dalszym ciągu nie jest w pełni wykorzystana aparatura naukowo-badawcza. I w tym zakresie niedostateczna jest informacja o jej rozmieszczeniu i możliwościach wykorzystania. Z tych względów koniecznością staje się tworzenie środowiskowych laboratoriów naukowo-przemysłowych oraz powołanie branżowych komisji opiniujących zakupy unikalnego i kosztownego sprzętu.

Najsłabszym ogniwem powiązania nauki z produkcją jest proces wdrażania innowacji. Jest to uzależnione zarówno od nauki, jak i przemysłu. Zarówno we wcześniejszych dyskusjach, jak i na plenum KŁ wskazywano na trudności i sposoby ich przezwyciężania. M.in. zwracano uwagę na niedoskonałości systemu ekonomiczno-finansowego, słabość bodźców stymulujących działalność innowacyjną, zbyt krótki okres czasowy rozliczania przedsiębiorstwa z tytułu nowych wdrożeń. Wytknięto mankamenty współdziałania, np. we wdrażaniu przędzenia w wirze stacjonarnym, które było rewelacyjnym osiągnięciem naukowo-badawczym ostatnich lat. Jedną z dotkliwych bolączek zaplecza naukowo-badawczego jest niedostateczna baza techniczna, nie nadążająca za dynamicznie rozwijającym się przemysłem. Brak jest niektórych części zamiennych, występują trudności z zakupem niezbędnych akcesoriów z importu. W związku z taką sytuacją przemysł powinien szerzej udostępnić własne laboratoria ludziom nauki.

* * *

Osiągnięcia polskiej nauki są bezsprzeczne. Tak samo wysoka jest ranga społeczna ludzi nauki. Staliśmy się także społeczeństwem ludzi wykształconych (ok. 900 tys. osób z wyższym wykształceniem). Stanowimy potencję twórczą, która z powodzeniem może sobie poradzić z problemami epoki rewolucji naukowo-technicznej. Państwo łoży ogromne sumy na rozwój nauki (łącznie ok. 53 mld zł w 1979 r.) i rosną one z każdym rokiem (w br. około 7 proc.). Osiągnięcia są wymierne (np. 4—5 tys. nowych opracowań rocznie), ale także i takie, które zaowocują dopiero w przyszłości, co wynika ze specyfiki pracy naukowej. Prawdą jest także, że poza kilkoma osiągnięciami brak nam w ostatnich latach rewelacji na skalę światową, ale... odnoszę wrażenie, że żyjemy bardziej w czasach mrówczego postępu technologicznego niż olśniewających niespodzianek. Nasze możliwości inwestowania w naukę też są ograniczone, jak każdego państwa. Dlatego musimy koncentrować się na wybranych kierunkach, korzystać z osiągnięć innych, kupować licencje, rozwijać różnorodne formy międzynarodowych związków kooperacyjnych. Najważniejsza sprawa — w naszych warunkach — to efektywność wykorzystania tego bogactwa, które posiadamy. O tym muszą zadecydować sami ludzie nauki, ale pod presją potrzeb i oczekiwań społeczeństwa. To także może pomóc...

LITERATURA A HISTORIA

„Dzieło literackie jako źródło historyczne" — pod takim tytułem ukazał się niedawno (1978), wydany nakładem Czytelnika tom zbiorowy, przynoszący pokłosie konferencji naukowej, zorganizowanej pod koniec 1976 r. przez Instytut Badań Literackich PAN, z udziałem licznych badaczy literatury i historyków. Wydawnictwo to przedstawia się nader interesująco, a to zarówno ze względu na zakres poruszanej w nim problematyki, jak i sposób jej ujęcia. W książce tej nie chodzi — rzecz jasna — o przekonywanie kogokolwiek raz jeszcze że utwór literacki może stanowić wartościowe źródło poznania, godne wykorzystania w badaniach historycznych. Nauka historyczna dawno ma już za sobą te czasy, kiedy to pod wpływem metodologii pozytywistycznej była skłonna fetyszyzować wartość źródeł o charakterze dokumentarnym, odnosząc się z przesadnym nieraz krytycyzmem do wszelkich źródeł narracyjnych, zaś literackich w szczególności. Obecnie w centrum uwagi uczonych znalazła się problematyka charakteru, struktury i wreszcie wartości źródeł literackich dla różnych rodzajów badań historycznych.

Dobrze się stało, że do rozpatrywania tych zagadnień zabrali się przedstawiciele dwóch sąsiadujących ze sobą dyscyplin naukowych: nauki o literaturze i historii. Dobrze też — jak podkreślają to na wstępie redaktorzy tego tomu Zofia Stefanowska oraz Janusz Sławiński — „że większość z nich podjęła wysiłek, by uwzględnić w swoich wywodach punkty widzenia i kwestie dyscypliny ościennej: historycy ze zrozumieniem rozprawiali o „literackości" źródła, badacze literatury z nie mniejszym zapałem roztrząsali zagadnienie „źródłowości" utworów artystycznych. Dzięki temu mieliśmy do czynienia nie tylko z konfrontacją metodologicznych odmienności (co już samo w sobie byłoby rzeczą pożyteczną), ale też z efektywnym współdziałaniem dwóch stylów myślenia, dwóch gatunków ciekawości i odpowiadających im problematyk badawczych".

Zabierający głos w dyskusji uczeni dali wymowne świadectwo przełamywania przez siebie co najmniej dwóch rodzajów nieufności badawczej. O pierwszym z nich powiada historyk Bronisław Geremek jako o „nieufności historyków wobec źródłowej wartości utworu literackiego", mającej swoje źródło w pierwszym rzędzie w tym, „że podporządkowany jest on skonwencjonalizowanym rygorem formy z jednej strony, a nieograniczonej wyobraźni (czy też fantazji) twórczej — z drugiej". Wynikała stąd jakże częsta w pracach wielu historyków „pejoratywna ocena owej literackości", uważanej za przeszkodę na drodze poszukiwania prawdy, skoro „nie dała się ona w żaden sposób przełożyć na język rzeczywistości społecznej, że zdawała się niezależna od układów kulturowych i struktur społecznych, będących przedmiotem zainteresowania historyka".

Potrzeba było wszakże przezwyciężyć także i inny rodzaj naukowej nieufności, będący — chciałoby się rzec — dialektyczną antytezą, a jednocześnie uzupełnieniem poprzedniego, reprezentowany w szczególności przez badaczy literatury. Chodzi o nieufność w stosunku do przyznania „historyczności" dziełu literackiemu, które przecież nie musi koniecznie być utworem realistycznym, dziełu rozumianemu przede wszystkim jako wypływ nieskrępowanego talentu, twór literackiej niepowtarzalnej indywidualności. Wychodząc od słusznej skądinąd krytyki uproszczonego dopatrywania się w utworach literackich takiego czy innego zbioru historycznych „realiów", w czym niegdyś tak specjalizowali się niektórzy (również nasi) badacze dziejów literatury, rzecznicy tego rodzaju nieufności dochodzili do coraz to idącego dalej „odhistorycznienia" spojrzenia na dzieło literackie. Walnie pomagały im w tym modne inspiracje, płynące od recypowanych nie zawsze z dostatecznym krytycyzmem popularnych gdzieindziej ogólnych koncepcji metodologicznych, by wspomnieć tu o inspiracjach strukturalistycznych, które przed kilkoma laty przyprawiły o prawdziwy zawrót głowy niemałą liczbę literaturoznawców.

Zebrane w tomie „Dzieło literackie jako źródło historyczne" materiały rozpatrują zasygnalizowaną w tytule problematykę na różnym stopniu ogólności i pod różnymi kątami. Znalazły się tu zarówno teksty ogólne, o charakterze metodologicznym — pióra Jerzego Topolskiego, Jakuba Karpińskiego, Kazimierza Bartoszyńskiego oraz Michała Głowińskiego — jak i prace bardziej szczegółowe, operujące konkretnym materiałem historyczno-literackim, zaczerpniętym z twórczości jednego pisarza czy literatury jakiejś określonej epoki. Zakres twórczości literackiej, wprowadzonej w krąg rozważań autorów, jest rzeczywiście imponujący, sięga bowiem z jednej strony piśmiennictwa polskiego i europejskiego średniowiecza, z drugiej zaś literatury współczesnej. Wśród prac, napisanych przez autorów polskich, znalazła się tu również jedna, pióra autora zagranicznego, mianowicie studium Włodzimierza A. Djakowa „Historia w dziełach Lwa Tołstoja", w którym znany nam doskonale radziecki badacz zajął się między innymi analizą opowiadania „Za co" w konfrontacji z realną „sprawą Migurskich", polskich zesłańców, których losy dostarczyły wielkiemu rosyjskiemu pisarzowi kanwy do jego utworu literackiego.

ANDRZEJ F. GRABSKI

Zofia Lorentz

OPOWIADANIE

KURIERKA

Mateusz przewracał się z boku na bok, lecz spać nie mógł. Było już dobrze po północy, gdy zwlókł się z rozgrzanej pościeli i wyszedł na próg chałupy. Księżyc stał wysoko na niebie i cała wieś tonęła w jego srebrnej poświacie. Na środku podwórza, tuż obok starej gruszy, zwisał żuraw studzienny, kołysząc ledwo dostrzegalnym ruchem drewniane, zmurszałe od wilgoci wiadro. Mateusz chwycił je, przyciągnął ku sobie i począł spuszczać w głąb studni. Od miesiąca trwająca susza wyczerpała widać wyższe zapasy wód, gdyż sięgać trzeba było wiadrem samego dna. Ale za to wydobyta z tej głębokości woda była smaczna i zimna jak lód. Mateusz pił ją wprost z wiadra chciwie i długo.

W pewnej chwili spostrzegł tuż przy swojej twarzy odbicie księżyca i cofnął głowę z mimowolnym przestrachem.

— Widno, nikiej w kościele — mruknął z niechęcią, ocierając usta rękawem.

Po upalnym dniu noc była niewiele chłodniejsza i aż lepka od zapachów. Pachniało maciejką, gęsto rozsianą pod oknami chałupy, i koniczyną, której blisko półmorgowy łan rozścielał się za stodołą, i ziemią rozgrzaną, i Bóg wie, czym tam jeszcze. Szły te zapachy Mateuszowi do głowy i sam już teraz nie wiedział, gdzie było gorzej: w dusznej izbie czy w tym słodkim tumanie.

— Ej, nocka, też to nocka! — Rozprostował ramiona, przeciągnął się i nagle zdecydowanym krokiem wyszedł na drogę.

Wokół panowała niczym nie zakłócona cisza. Mateusz chwilę jeszcze nasłuchiwał, potem zwrócił się w lewo i iść począł wzdłuż opłotków bezgłośnym, lisim krokiem.

Na końcu wsi, przy bocznej drodze prowadzącej do traktu stała chałupa wójta Pazdury. Odbijała nieco od innych, bo gontem nie strzechą była kryta. Pod oknami w starannie utrzymanym ogródku kwitły wysokie ostróżki i niziutka, pachnąca rezeda.

Mateusz obszedł dom wokoło i znalazłszy się na jego tyłach, z cicha zagwizdał. Kiedy po dłuższej chwili, jakby w odpowiedzi na ten sygnał, gdzieś w głębi chaty skrzypnęły drzwi, uśmiechnął się, oparł wygodnie o płot i czekał.

Nagle drgnął. Z oddali dobiegł go szczególny odgłos, który brzmiał jak daleki grzmot. Gdy nie ustawał, Mateusz zaskoczony i zaniepokojny, przypadł uchem do ziemi. Rozpoznał gwałtowny turkot kół i tętent koni biegających pełnym galopem. Ponoszą — pomyślał, — I czymże się one koniska tak przeląc mogły?

Myśli Mateusza płynęły powoli, to co się działo na szosie rozgrywało się w zawrotnym tempie. W pewnej chwili odgłos końskich kopyt zabrzmiał jak uderzenia w werbel. Mateusz rozpoznał, że konie teraz przebiegają przez most, a więc są tuż przy skręcie do wsi. W minutę potem odgłos znów się zmienił, co pozwoliło Mateuszowi domyślić się, że pojazd skręcił z szosy w boczną drogę, widącą do wsi. Zrozumiał też że przypuszczenie, jakoby konie ponosiły, było błędne, normalny woźnica bowiem nie zaryzykowałby skrętu, nie panując nad zaprzęgiem.

Mateusz chwycił dłonią za żerdź wystającą z płotu i przesadził go lekko. Znalazł się wprawdzie w wójtowym sadzie, ale tu właśnie łatwo mu było skryć się za pierwsze lepsze drzewo. Zanim to uczynił, rzucił szybkie spojrzenie poza siebie i spostrzegł, że na tle domu mignął cień. W porywie radości już, już chciał podbiec naprzeciw dziewczynie, gdy nowy odgłos, jeszcze donioślejszy od poprzedniego, rozniósł się szerokim echem. Szosą ktoś pędził znowu co koń wyskoczy. Tym razem musieli to być jeźdźcy.

W tejże chwili ciepła kobieca piąstka wsunęła mu się w dłoń. Mateusz zadrżał z nagłej rozkoszy... Zaraz jednak skurcz strachu chwycił go za gardło, uświadomił sobie bowiem nagle, że ktoś kogoś goni i że goniącymi mogą być tylko — kozacy.

— Co to, Mateusku? — szepnęła zdziwiona dziewczyna.

Mateusz ścisnął aż do bólu rękę dziewczyny, pochylił się i ucałował jej na wpół dziecinne usta.

— Uciekaj.

— Ja z tobom.

— Dziadek obaczy.

— A niech. Bieżmy w koniec sadu, stamtąd lepiej widać.

Ledwo zdążyli dopaść furtki i wybiec na koniczynisko, rozścielające się wzdłuż drogi, a tuż za ogrodem wójtowej zagrody, gdy z topolowej alei wypadł wąsążek zaprzężony w cztery konie. Ze spienionych pysków końskich buchała para, cuganty miały zmydlone boki, rozdęte chrapy i przekrwione, płonące szaleństwem biegu oczy...

Powoził młody mężczyzna. Był bez czapki, w chłopskiej świtce. Wsparty silnie nogami o przód wasążka i podany lekko do tyłu, panował jednak nad rozpędzoną czwórką, okręciwszy sobie obydwie pary lejców wokół dłoni. Poza nim, trzymając się oburącz poręczy bryki, wpół odwrócona do tyłu, siedziała młoda kobieta. Przez piersi miała przewieszoną skórzaną torbę podróżną. I ona musiała zgubić w tym szalonym pędzie nakrycie głowy i teraz rozwiane włosy tworzyły wokół jej śmiertelnie bladej twarzy jasny obłok.

Mateusz objął to wszystko szybkim spojrzeniem i cofnął się, ale Zośka parła naprzód i stanęła w pełnym blasku księżyca. Uciekinierzy zauważyli ją natychmiast i woźnica ściągnął gwałtownie lejce, aby zwolnić biegu. W tej jednak chwili pościg dał pierwszą salwę. Przodkowe konie stanęły dęba i poszły znowu jak wiatr. Pobliski las odbił echo wystrzałów i rozniósł je na wszystkie strony. Kobieta błyskawicznym ruchem ściągnęła przez głowę skórzaną torbę i zamachnąwszy się szeroko, rzuciła ją podbiegającej Zośce z krzykiem:

— Schooowaaj!

Mateusz chwycił Zośkę w pół i zawrócił z drogi. Nie opierała się. Biegli przez koniczynisko co sił w nogach i wpadli z powrotem do sadu, który przykrył ich swym cieniem.

A czas był najwyższy: tętent pogoni narastał i już w następnej chwili podjazd złożony z dwunastu jeźdźców, przebiegł w szalonym pędzie wzdłuż sadu.

Zośka i Mateusz leżeli w trawie, dysząc ciężko. Mateusz myślał tylko o jednym: co zrobić z torbą? Ale Zośka znalazła rozwiązanie bez trudu.

— Wsadzę do ula — powiedziała szeptem i nie podnosząc się nawet z ziemi sięgnęła poza siebie. Mateusz odwrócił głowę i teraz dopiero spostrzegł, że tuż poza nimi stoją ule. Jeden z nich był najwidoczniej pusty i Zośka musiała o tym wiedzieć, gdyż bez chwili wahania ten właśnie wybrała na schowek. Rozległ się lekki zgrzyt, drzwiczki ustąpiły i torba zniknęła we wnętrzu ula jak w dziupli.

— Mądraś — pochwalił Zośkę Mateusz i chciał jeszcze coś dodać, gdy nagle tętent pogoni ustał, a posypały się strzały.

— Dopadli ich! — krzyknęła rozpaczliwe dziewczyna.

Gęstej palbie Kozaków odpowiedziały dwa pojedyńcze strzały z pistoletów, po czym zapanowała cisza. We wsi — dopiero teraz — odezwały się psy.

— Wstawaj, Zośka — rzekł ostro Mateusz — i chybaj ciszkiem do chałupy.

Ale Zośka przypadła mu twarzą do piersi i Mateusz domyślił się, że dziewczyna płacze.

— Przelękłaś się? — spytał łagodnie.

Potrząsnęła przecząco głową.

— Iść by tam — szepnęła.

— Co ci też w głowie, dziewczyno. Biegaj do dumu, biegaj.

Stał, dopóki nie zniknęła w cieniu, a ruszył się wtedy dopiero kiedy od strony wójtowej chałupy dobiegł go skrzyp zamykanych drzwi. A i potem nie wyszedł na drogę, lecz pobiegł sadami i dopadł od tyłu własnego podwórka.

Pies szarpał się na łańcuchu jak wściekły, ale w domu było cicho. Na progu chałupy jednak, w samej koszuli tylko i w gaciach, stał stary Chruściel, Mateuszowy ojciec.

— Kajś beł, kiej strzyloli? — spytał groźnie.

— W izbiem społ — odpowiedział. — Słyszeliście?

Na twarzy starego w pierwszej chwili pojawiło się zdziwienie. Mateusz był zdyszany, musiał więc biec pędem, toteż oczy starego przybrały nagle wyraz chytrości.

— Ano, głuchy nie jezdem — odparł powoli.

Echo strzałów umilkło już dawno, wieś jednak jak gdyby wciąż dalej spała. Na próżno psy głosiły alarm zajadłym szczekaniem, nikt nie wyglądał za opłotki, nie sprawdzał, co jest przyczyną niepokoju. Za to ledwie dnieć poczęło, zaroiły się opłotki. Zwoływano się, jak do kośby, jeden przez drugiego rozpowiadał, co słyszał w nocy i od której strony. Parobcy gromadzili się przed chałupą Chruściela, starsi szli prosto do wójta. Baby kotłowały się wystraszone i biadające, choć nic się przecież jeszcze nie stało we wsi, tyle tylko że ktoś tędy uciekał.

Ci, którzy mieszkali dalej od drogi twierdzili, że tylko z jednej strony strzelano. Świątek i Parcela, których chałupy stały na końcu wsi, dowodzili, że dwa strzały różniły się od reszty i nie padły z karabinów, a z pistoletów. Obaj służyli w wojsku i znali się na tym. Zaś wójt Pazdura pykał fajkę, potrząsał głową i wydziwiał, że pościg nie wrócił do wsi.

Spieszyli się widać kajś okrutnie.

— Nasze to szczęście — prawił Świątek, znany we wsi gaduła — kejżem tylko strzały posłyszał, pomyślołek se, ubijom tamtych, potem wrócą do wsi i bieda. Ubrałem się i czekom. Psy hałasują jak diasi. Myślę — wracajom. A te bestyje psy ucichły, a tylko jeden zaczon wyć jak na śmierć. Alem nie wysed, bom se myśloł: mom cas. Niechże się okaże, co ma być.

— Trza by z kawałek poza wieś wyńść, obocyć na droge. — Radził Gonda.

— A coz ta chcecie obocyć? — zapytał niechętnie wójt.

— Przecie ich ze sobom nie wzieni.

— Niby kogo?

— Ano tych tam, co ich dogunili.

Tymczasem wysunął się do przodu Mateusz:

— Jo pońde.

Za nim Felek Jóźwiak i Stach Męka.

— Jo z tobom, Mateusz.

— To i ja z wami.

Ano, to chodźwa wszyscy — zdecydował wójt.

Wyruszyli nie spiesząc. Ale nie zdążyli jeszcze nawet dojść do zakrętu, kiedy naprzeciw nim wybiegła gromada wyrostków.

— Na dworskim podwórzu cosik leży — wrzeszczeli.

Chłopi przyspieszyli kroku źli, że dzieciaki ubiegły ich w znalezieniu ofiar potyczki.

— Widać zmylili drogę — powiedział z żalem Mateusz, myśląc o poległych — miast jechać w dół, ku lasowi, skręcili do dworu.

Milcząc weszli szeroko rozwartą bramą na rozległy dworski dziedziniec.

Gonda miał rację: Kozacy nie zabrali uciekinierów z sobą. Po co zresztą mieliby zabierać? Skoro nie żyli i wszystkie cztery konie leżały zabite... Bryka tylko stała nie uszkodzona, pochylona nieco ku przodowi ciężarem martwych koni dyszlowych. Obydwa siedzenia były jednak wywrócone do góry dnem. Czegoś w nich widać szukano. Ciało woźnicy leżało tuż przy bramie wjazdowej, zamkniętej na mur. Nietrudno było odgadnąć, że woźnica natknąwszy się na zamknięte wrota zeskoczył z bryki i chciał je otworzyć. To one uniemożliwiły mu dalszą ucieczkę.

Wokół zabitego ziemia była stratowana i aż lepka od krwi. Skłute bagnetami ciało obficie musiało krwawić. Wypatroszone kieszenie i ściągnięte buty wskazywały, że były przeszukiwane. Nie opodal w trawie, którą zdążyło zarosnąć opustoszałe od paru miesięcy podwórze, — leżała kobieta. Leżała na wznak, z półprzymkniętymi oczami i zaciśniętymi groźnie ustami. Nie robiła wrażenia umarłej... Wokół niej rozścielała się wachlarzem szeroka suknia z czarnej mory. Porwany w strzępy stanik odsłaniał delikatną bieliznę zbrukaną krwią i kilka ran kłutych piersi. Tragicznego obrazu dopełniały cztery trupy końskie jednakowej, kasztanowatej maści...

Chłopi przyglądali się strasznemu widowisku w milczeniu, z napiętą uwagą, jakby chcieli zapamiętać każdy szczegół.

Wokół panowała cisza tak wielka, że słychać było poranny szczebiot ptactwa w gęstych krzakach jaśminu rosnącego wzdłuż płotu. Zza ruin dworu — spalonego w pierwszym okresie powstania — wschodziło słońce.

— Hę, co powiecie — odezwał się pierwszy wójt.

— Musieli z czemsiś ważnym jechać.

— Pańskie fanaberyje, psia krew.

— A kiej ten, co pod bramą leży, to nie pon ino chłop.

— Skądże to ty, Mateuszu, wisz, co?

— A przypatrzcie się jego rencom. Pańskie są?

— Pokożcie. Ano nie.

— A un też nie tutejszy, patrzecie, jakom to mo świtkę.

— Takie świtki noszom chłopy z Księstwa Poznańskiego, wicie?

— Prawde mówicie. Tak i jest.

— Widać racyje mieli ludzie, co rozpowiadali, że pod Ignacewem biły się chłopy z Księstwa.

— Bez granice by prześli?, żeby do tego powstania iść?

— Ano.

— Trza ich w cieniu położyć, póki co — rzekł wójt.

— Racyja.

— Bierzta jom, chłopoki.

Mateusz, Felek i Stach podskoczyli pierwsi. Spróbowali unieść trupa kobiety i wnet położyli z powrotem.

— Co jest?

Parobcy spoglądali na siebie z wyrazem zdumienia w oczach.

— Ciężka — odezwał się Stach.

— Ciężka? — powtórzył wójt z oburzeniem — trzech chłopów jednej baby udźwignąć nie poradzi?

— Ee, udźwignąć można, ino... strach. Ciężko jest, jakby ją cosik od ziemi ciągło.

— Bajdy. Brać!

Parobcy podnieśli i jeszcze raz opuścili trupa z powrotem. Otarli przy tym pot z czoła.

— Grzechotło coś. Słyszeliśta?

— Słyszołem — odparł ponuro wójt.

Gromada zaczęła się cofać.

— Po baby trza iść — rzekł któryś i obejrzał się.

W tej chwili starcza, chuda ręka roztrąciła mężczyzn i do przodu wysunęła się Agata, znana we wsi ze znachorstwa. Przypatrzyła się najwprzód nieboszczce z bliska, a potem przyklękła przy niej i ciemne od słońca i starości ręce wsunęła pod spódnicę zabitej. W pewnej chwili drgnęła i znieruchomiała. Twarz jej zdradzała namysł. Wreszcie podniosła się i powiedziała wolno i z wyraźnym zdumieniem:

— Na taśmach od pasa poprzywiązywane ma rebelbery...

— Pistolety? — wykrzyknął Mateusz.

— O obacz se som — odpowiedziała Agata i cofnęła się.

W tej chwili na podwórze wbiegła gromada kobiet, powiadomionych widać przez dzieci o znalezieniu zabitych. Ale wójt odwrócił się ku nim i wrzasnął:

— A wy tu po co? Zabierajta sie stela.

A kiedy kobiety przystanęły, kiwnął na parobków.

— Po szpadle! Biegiem! — zakomenderował.

Paru ruszyło z kopyta, ale inni, skupiwszy się przy wójcie, pytali:

— A coż sie tak spieszycie?

— Żeby jakiej bidy z tego nie było. Do dołu trza to wszystko, do dołu.

— Jakże to tak? — pytali zdumieni — ludzi razem z broniom chować chcecie?

— To może i bryke razem do dołu każecie?

Gromada parsknęła śmiechem.

— Kto to pedzioł?

— Jo — Mateusz śmiało wystąpił z gromady.

Wójt Pazdura obrzucił go wściekłym spojrzeniem i zapytał ostro:

— Kto tu rządzi, jo czy ty?

— Wyście jest wójt.

— No, to bier za łopatę.

— Jo ta kopoł nie byde.

— Obejdzie się przez ciebie. Chłopoki, dalej, brać sie do kopania. A głęboko kopta, bo tu pioch letki.

— Ale parobcy nie kwapili się jakoś, pomrukiwali, oglądając się na Mateusza.

— A może Kozoki wrócom sie po nich? — zatroszczył się któryś z gromady.

Wójt drgnął. Widać było, że się na nowo zatrwożył. Mimo woli spojrzał na drogę, a za nim inni. Ale droga była pusta.

— Mogom wrócić — rzekł wójt z wolna i po namyśle.

— Mogom, mogom — skwapliwie potakiwali inni.

— A i nie nasza to sprawa — wójt Pazdura jak gdyby myślał głośno.

— Przecie — podchwycił któryś gorliwiec — powstanie pany podniesły, niechaj se piwo pijom te, co je nawarzyli.

— Głupiście — odpalił go Mateusz — pod Ignacewem, pod Pyzdrami chłopy sie biły. A i ten pod bramą nie pon, ino chłop.

— Pochować by trza po krześcijańsku, z księdzem — zawołał od tyłu wysoki głos kobiecy.

— Chceta, żeby cołko wieś z dymem poszła? Co? Hę? Durne wy. Do dumu, a żywo! Żeby mi tu nikt nie ostoł. Niech se leżom. Nie nasza sprawa. Słyszeliśta?

W gromadzie rozległo się szemranie, ale nikt z jawnym protestem nie wystąpił. Choć niesporo im było odejść. Ktoś wreszcie ruszył pierwszy, a za nim, choć niechętnie, poszli inni.

Pazdura czekał aż się rozejdą. Zostało z nim tylko paru starszych chłopów. Przyglądali się niby to trupom końskim, ale w rzeczywistości — uprzęży. Oczy ich łakomie oceniały półszorki z pięknej, jasnożółtej skóry.

— Trza by toto zdjąć, wójcie — nie wytrzymał któryś.

Wójtowi zabłysły oczy.

— Jeszcze który dzieciok bez dzień się złakumi i na baty porźnie — kusił tamten.

— Mogłoby tak być, mogło — przytaknął wójt ostrożnie, a spojrzawszy na drogę, wciąż cichą i pustą, dodał:

— A do zimi tyż szkoda.

Tamci, nie czekając już dłużej, poczęli żwawo odpinać uprząż. Wójt Pazdura zaś wciąż spoglądał na drogę, wiodącą od lasu, jakby stróżując...

HENRYK HARTENBERG

TAK DŁUGO TRWAŁ WIECZÓR

Tak długo trwał ten wieczór

Słyszałem tylko jak w ciszy
Zastygają kroki
Jak owal zagadkowej twarzy
Pogrąża się w noc przerażającą
Lecz ja szedłem do Ciebie
Przez wszystkie niepokoje świata
Przez wszystkie fałszywe ścieżki
I falowania ziemi

Łaska twojego spojrzenia
Obejmowała róże wtulone w sen
Gmatwaninę korzeni czerpiących moc
Z otwartych ran zielonej kory
Zmurszałe cienie ukryte w pęknięciach
Antycznych rzeźb

Powracał ciągle gest przywołania
Jak niedoskonała doskonałość
Jak szaleństwo odchodzącego wieku

Potem
Wszystko runęło w kruchość spełnień
W rzece zmarłych które nagle wypłynęło
Z rozgrzanej skały
Ujrzałem gwiazdy i księżyc i odblask
Nieba
I twarze — tyle bezimiennych twarzy
Które przetrwały własny kres

I nic więcej
Pozostała tylko rysa „jak wgłębienie
W jakimś owocu"
I wieczór który trwa w słowie
Niewypowiedzianym

Jak długo trwał ten wieczór

Tak to już przedświt

JERZY RZYMOWSKI

POETA HISTORII I KULTURY

Przy omawianiu liryki Tadeusza Chróścielewskiego zwykło się pisać w pierwszym rzędzie o stosunku do tradycji. Istotnie — reminiscencje historyczne i wysoka kultura słowa zadecydowały o charakterze i wartości tej poezji.

Wydany w ubiegłym roku tomik wierszy „Trzy wdzięczne damy i anioł", już dziesiąty w dorobku autora — po konspiracyjnej „Uczcie Aureliana" (1944), „Najmilszych stronach" (1956), „Itace" (1958), „Miesiącu utajonym" (1960), „Pustym krześle" (1966), bibliofilskich „Wierszach opolskich" (1966), dwóch wersjach „Hipokrene warmińskiej" (1969 1971) i „Karcie powołania" (1973) — pierwiastki owe (historię i język) jako najważniejsze składniki tradycji narodowej pielęgnuje i rozwija, łącząc w tym rutynę z inwencją.

Historia jest tu bowiem znowu wszechobecna, niemal natrętna w skojarzeniach, przykładach i rekwizytach, w ogóle — ostentacyjnie niezbędna. Przez jej sprawy płynący nurt poetycki uzyskuje największą odrębność i swoistość. Prawdziwie twórcza postawa przejawia się jednak gdzie indziej, w swobodzie, z jaką poeta włada tworzywem słownym, wykorzystując dla swych celów bogactwo znaczeń i barw dostarczanych przez topikę literacką frazeologię potoczną, przez rozpadające się w nowych kontekstach tradycyjne związki językowe. Rzecz pozornie paradoksalna — Chróścielewski wydobywa ze swej „lutni" ton oryginalny wówczas gdy udatnie zestraja formy „zapożyczone". To w realiach zaczerpniętych z dawnych dziejów kraju, wśród prowincjonalnych zabytków, przypominających nam o niegdysiejszej świetności państwa, o dyszę możnych lub chwale bohaterów, w dumaniach obywatela na polach bitew, ale także w imitacjach stylów, w podążaniu tropami mistrzów, w aluzjach do klasyki i jej uniwersalnych symboli poeta ten wypowiada się najpełniej — z rozmachem i klarownie.

Zespala wtedy w zgodną całość kunsztowny opis, cierpką refleksję i, pomimo wszystkie ironiczne obiekcje, ku współczesnym posłany morał. Nie żongluje słowami dla spotęgowania wrażenia, lecz mówi całym zdaniem, starannie i z miarą. Nie ulega żywiołowi doznań, domagających się natychmiastowego, spontanicznego wyrazu. Pilnuje proporcji obrazu i myśli, formą artystyczną nadaje ład przedstawionej sprawie i poglądowi na nią. Temat historyczny i sytuacje twórcze, poprzez które manifestuje się świadomość ciągłości kultury narodowej, stoją więc na straży klasycznych cnót sztuki poetyckiej. Dodajmy — cnót szczególnie cennych dziś, kiedy to budzi niepokój okaleczanie polszczyzny i wywłaszczanie z niej pierwiastków rodzimych w kulturze masowej oraz, kiedy panuje dość szeroko taki model kreacji poetyckiej, który nie stawia twórcy choćby minimum wymagań, co do wiązania słów w zdania i zdań szeregi, to zaś w praktyce niekiedy sankcjonuje po prostu ekspresywny słowotok, a może nawet go forytuje jako — bądźmy realistami — ułatwiony sposób wypowiedzi.

Chróścielewski pokazuje trwanie historii w teraźniejszości, odsłania ukryte często w skali lokalnego reliktu dziedzictwo ogólnonarodowe. Ma nadzwyczajny — rzadko dziś spotykany — dar poetyckiego opisu. Dziesiątki jego wierszy układają się w kolekcje regionalne. Powstały już cykle opolski i warmiński, z publikacji prasowych wyłaniają się kontury cyklu sieradzkiego. Można też wyodrębnić serie wierszy o Podlasiu, Kujawach i innych krainach, jak o tym świadczy topografia poetycka ostatniego zbiorku, w którym autor opiewa takie miejscowości, jak np. Oporów, Marcinków, Dobre, Reszel, Lubostroń, Latowicz, Mrozy, Chełmno, odnajdując w nich, wśród resztek dawnej kultury materialnej, symbole wielkich procesów dziejowych, przełomowych wydarzeń, angażujących politycznie wyrobioną, część społeczeństwa, czy dramatycznych rozstrzygnięć na szczytach władzy. Te zaś treści nie pozwalają na zachowanie pozycji obserwatora, turysty, miłośnika historii, zachęcają natomiast do uaktualniającej interpretacji, do wyciągnięcia na przyszłość pewnej nauki z pobojowisk i ruin, do moralizatorskiego rezonerstwa. Owe pokusy — jak wszystkie kusicielskie uroki — bywają zdradliwe.

Dająca się odczytać z utworów Chróścielewskiego koncepcja tradycji, jest użyteczna i owocuje wieloma dyskretnymi, przekornymi puentami. Tradycja ma być bowiem nie tyle domeną pamięci i gotowych znaczeń, ile raczej polem dla aktywności intelektualnej poszukującej sensu, który można odnieść do doświadczeń współczesnych. Niektóre rozwiązania budzą jednak wątpliwości, gdyż zawierają enigmatyczne, ogólnikowe, w gruncie rzeczy jedynie pozorujące posiadanie jakiegoś programu dla rodaków, zwroty do współczesnych (jak np. w wierszu „Dumania na polu bitwy 1831 roku pod Dobrem") lub koniunkturalne przestrogi i apele o czujność (jak np. „Na wzgórzu Lecha" z cyklu sieradzkiego, ogłoszonego poza omawianym tomikiem), nie pogłębiające refleksyjnej warstwy liryki obywatelskiej poety. Bez względu wszelako na takie, czy inne uwagi dyskusyjne, do jakich może ona prowokować, poezja ta zanurzona w tradycjach polskich, z pietyzmem, ale i pod kontrolą ironii zarazem wydobywająca niezliczone, pojedyńcze świadectwa powikłanych losów narodu, jest imponująca — choć nieco anachroniczną w wykonaniu — galeria obrazów, uprzytamniających fakty i prawdy pogrążone nieraz w zbiorowej niepamięci narodowej, której przestrzenie są dziś — np. dla młodzieży — coraz rozleglejsze.

Aby ów tracący wiekiem XIX element anachronizmu zneutralizować, Chróścielewski wprowadza do swej poezji element przeciwstawny, a mianowicie — eksperyment językowy. W tej dziedzinie postępuje śmiało, chociaż nie stosuje zabiegów skrajnych, właściwych np. liryce Białoszewskiego. Nie pociągają go uroki bełkotu, dba o przejrzystość wypowiedzi i ich gramatyczną kompletność. Czujność językowa, wyczulenie na odległe skojarzenia są w ogóle cechą współczesnej poezji, nie tylko tzw. lingwistycznej, która temu daje wyraz w szerszym zakresie. Gra językowa, którą uprawia Chróścielewski, prowadzona jest według stosunkowo prostych reguł, aczkolwiek stwarza ona możliwości uzyskiwania wielu rozmaitych efektów. Najogólniej można powiedzieć, że polega ona na mieszaniu stylów: wzniosłego i pospolitego, na zestawianiu słownictwa wykwintnego i trywialnego, literackiego i żargonowego, na eksploatowaniu frazeologii, przysłów, popularnych porzekadeł, wierszyków i powiedzonek dziecięcych, idiomów, przy czym wyzwolenie z nich nowych sensów następuje np. przez ostentacyjną — na przekór oczywistej konwencji — próbę ich zrozumienia dosłownego. Powstają utwory w całości zbudowane konceptowo na zasadzie wymiany znaczeń między wyrazami uwikłanymi w związki frazeologiczne („Tajemniczy ogród", „Zegary").

Praktyki te mają naturalnie konsekwencje estetyczne i światopoglądowe. Pojawiają się elementy groteski, piramidy paradoksów i absurdów, kwestionujących ład poznawczy i aksjologiczny wiersza, podtrzymujących zaś postawy wątpienia, autoironii, burzenia stereotypów etc. Powstają więc formy apelujące do inteligencji czytelnika, dogodne do prowadzenia z nim przewrotnego dialogu, poza dogmatami, poza światem prawd gotowych i ostatecznych, otwartego natomiast na niespodzianki, pełnego przy tym elegancji i humoru. Nie zawsze jednak.

Zdarzają się bowiem takie sytuacje językowe, w których kontrast nie daje efektu uzasadniającego tezy przedstawione powyżej. Bywa, że konfrontacja dwu przeciwstawnych pojęć, stylów, znaczeń przynosi rezultat mierny, gra językowa doprowadza po najmniejszej linii oporu do efektów łatwych i niewybrednych, np. „czterdzieści cztery i czterylitery" („Ciasnota"). Owe różne „tak i siak", „klin klinem", „mowa trawa" nie dają zysku poetyckiego w tomiku bądź co bądź pełnym wybornych stylizacji, wierszy osadzonych w złożach starej, patyną wieków pokrytej polszczyzny, nie mieszcza się albowiem w ramach jakiegoś koherentnego systemu myśli i słowa (jak to ma miejsce u Białoszewskiego). Są raczej osobliwymi ozdobnikami, podobnie jak innowacje słowotwórcze autora, które spełniają jedynie funkcję ornamentacyjną niezdolną do uczestniczenia w kształtowaniu wyższych znaczeń wiersza: ideowych, moralnych, filozoficznych, gdyż owe „wgrzybowzięcie", „złotołze bolicko", „beztrawnie", „donkichotny", „najednokopytyzm" etc. również nie mieszczą się w żadnym nadrzędnym systemie pojmowania świata (jak to ma miejsce u Leśmiana).

Probierzem zasobności tej poezji może być wreszcie fakt, że oprócz kierunków omówionych wyodrębnić trzeba jeszcze poważny nurt liryki osobistej, zawierający treści autobiograficzne, rozrachunki poety z sobą i z otoczeniem („Wywód o Ziemi obiecanej", „Rozmowa z drzewem", „Sześciu kolegów"), refleksje o poezji i śmierci („Tzy", „wdzięczne damy i anioł" i in). Wszystko to zaś jest silnie osadzone wśród symboli wysokiej kultury literackiej, nierzadko jej niekwestionowanych arcydzieł.

Ze względu na tę pozycję kultury i tradycji w poezji Chróścielewskiego wskazać tu należy dwie drobne usterki, które na innym tle nie byłyby może widoczne, tu jednak rażą: a więc przekręcenie cytatu (podanego w cudzysłowie, a to zobowiązuje!) w wierszu „Troki" oraz zmianę płci popularnej pisarki angielskiej Frances Burnett w wierszu „Tajemniczy ogród i Osmętnica". W pierwszym przypadku chodzi o fragment wiersza „Nocleg" Mickiewicza; Chróścielewski — dla rymu zapewne — podaje „spoczywa" zamiast „nocuje", co jest niezgodne z literą tekstu Mickiewicza, ponadto wywołuje skojarzenie: spoczywa w grobie, to już zaś znaczenie wykracza poza treść cytowanego utworu.

Poeta tradycji, poeta kultury, poeta historii — tak w istocie należałoby nazwać Tadeusza Chróścielewskiego, którego poezja nie ma wyraziście zarysowanych idei, czerpie z wielu źródeł i zachowując charakter synkretyczny oraz klasycyzujący rozwija się w wielu kierunkach: ku liryce opisowej, ku liryce refleksyjnej, ku tendencjom lingwistycznym, ku stylizacji. Ważniejsze jednak, że może być jednym z nielicznych we współczesnej liryce polskiej wzorów pięknej sztuki pisania w języku ojczystym, w jego najszlachetniejszych odmianach. To zaś jest wartością niezależnie od tego, czy poeta przemawia do nas głosem własnym, czy podsłuchanym.

Tadeusz Chróścielewski: Trzy wdzięczne damy i anioł. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1978, „Biblioteka Poetycka", s. 100, cena 12 zł.

O ŁODZI I „TEMACIE ŁÓDZKIM"

Rozmowa z TADEUSZEM CHRÓŚCIELEWSKIM

— Książki, wiersze, artykuły, przekłady Tadeusza Chróścielewskiego — pisarza, a także seniora rodziny obecnej kilkoma piórami we współczesnym życiu literackim, dobrze są znane łódzkim czytelnikom. Myślę jednak, że przypomnienie początków pańskiego, z górą 30-letniego związku z Łodzią, będzie i dla nich interesujące. Jak to się stało, że po młodości spędzonej w Mińsku Mazowieckim, przerwanych wojną studiach w Warszawie, okupacji spędzonej w stolicy i na Podlasiu, znalazł się Pan w Łodzi?

— Przed wojną wiedziałem o Łodzi tylko to, co widać było na fotografiach zamieszczonych w monumentalnym wydawnictwie „Polska, jej dzieje i kultura". A na fotografiach tych pokazywano „las kominów" i nie wyobrażałem sobie nawet, że w tym „lesie" mogą być jeszcze jakieś ulice... Jak chyba każdy młody człowiek planowałem wyjazd z rodzinnego miasta. Myślałem o Krakowie, Gdańsku, nigdy jednak o Łodzi, podobnie zresztą — mam wrażenie — jak większość obecnych łodzian. W czasie okupacji kontynuowałem przerwane studia polonistyczne na konspiracyjnym Uniwersytecie Warszawskim. Jednocześnie byłem asystentem na kursie rusycystyki prof. Kułakowskiego. W 1945 roku profesor znalazł się w Łodzi. Zaprosił mnie do organizowania katedry filologii rosyjskiej na Uniwersytecie Łódzkim. No, a ponieważ nasza rodzina jest „belferska", sam podczas okupacji uczyłem na tajnych kompletach, przeto — asystując profesorowi — nie mogłem równocześnie żyć bez szkoły. Zgłosiłem się do kuratorium, gdzie przydzielono mi historyczną „jedenastkę"...

— ...które to, pierwsze na Bałutach, gimnazjum opisał Pan w „Szkole dwóch dziewcząt". Na lata pięćdziesiąte przypadło jednak rozstanie ze szkołą i chyba niemniej ważny okres pracy w Wydziale Kultury Prezydium Rady Narodowej miasta Łodzi?

— Jeszcze wcześniej byłem wizytatorem łódzkich szkół artystycznych. Awans z nauczyciela na wizytatora — to dość normalna droga ze szkoły. Jako wizytator współorganizowałem m.in. ośrodek metodyczno-programowy dla nauczycieli. Z tamtego okresu miło wspominam serdeczne kontakty z Ministerstwem Kultury, któremu szefował wówczas Włodzimierz Sokorski.

W 1955 roku znalazłem się w Wydziale Kultury. Byłem zastępcą kierownika, przez rok także — kierownikiem. To był chyba dobry okres, choć — muszę przyznać — nieco drażliwy. Wydział Kultury pełnił rolę inspiratora, animatora. A tak się niestety składa, że animatora zazwyczaj nie widać, gdy natomiast działają różne placówki, które zawdzięczają mu swe istnienie. Tego faktu jednak nie doceniano, a dla wielu kolegów-pisarzy byliśmy po prostu urzędasami... W mieście, w którym Rembieliński był wychowawcą wielu pokoleń urzędników, niemal ideałem urzędnika-działacza, nie powinno się chyba tak postponować tego zawodu...

— W dziejach upowszechniania kultury w Łodzi lata 1955—1959 były okresem jeszcze pionierskim. Które z inicjatyw, współorganizowanych przez wydział, uznałby Pan za warte przypomnienia?

— Na przykład sprawę pomnika Kościuszki, która odżyła w momencie, kiedy znalazłem w magazynie Rady Narodowej trzy płaskorzeźby z pomnika. Zainteresowałem tym dziennikarzy z Mieczysławem Jagoszewskim na czele i to był początek tej lawiny działań, która doprowadziła do odbudowy pomnika.

Walka szła również o Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne. Wśród rozwalających się murów dawnego gimnazjum na placu Kościuszki, na pięćdziesięciu tysiącach garnków rezydował wówczas bezradny prof. Konrad Jażdżewski. Z pomocą przyszło nam Millenium; muzeum nie mogło czekać drugiego tysiąclecia... Rozpadała się też „Biała fabryka", nie było wiadomo co z nią robić. Powstał więc projekt Muzeum Tkactwa. W tym samym czasie zorganizowaliśmy pierwszy etap muzeum w Radogoszczu, towarzyszyliśmy powstaniu Muzeum Ruchu Rewolucyjnego, jak również szeregu łódzkich towarzystw.

— Chodziło więc przede wszystkim o upamiętnianie łódzkich tradycji?

— Tradycji historycznych, a także literackich, słowem, o zacieranie w świadomości łodzian i Polaków w ogóle tych nieprzychylnych etykiet, choćby w rodzaju „złego miasta", które w ciągu wielu lat przyklejano Łodzi. Podsunęliśmy Radzie Narodowej projekt nagrody literackiej im. Tuwima. Zwróciliśmy uwagę całej kulturalnej Polski Dniami Oświaty i Dniami Literatury Łódzkiej, organizowanymi wraz z „Dziennikiem Łódzkim" i połączonymi z konkursem „Czy znasz pisarzy łódzkich?". Uczestniczyliśmy w bojach o Wydawnictwo Łódzkie...

— ...z którym — a było to w 1959 roku — związał się Pan na następne dwadzieścia lat...

— W pewnym momencie spojrzałem na swoją bibliografię. Poza wydanym w konspiracji zbiorkiem wierszy „Uczta Aureliana" był tam jedynie tom poetycki „Najmilsze strony". Niewiele tego było, zważywszy, że i włos już zaczął siwieć... Praca w wydziale była nerwowa, nie wszyscy też mieli dość zrozumienia dla spraw kultury. Niektórzy wyobrażali sobie, że jesteśmy punktem usługowym, do którego należy rozdział zaproszeń na premiery i wydawanie zezwoleń na... strzelnice.

— Dzisiaj jest Pan chyba najstarszym stażem pracownikiem Wydawnictwa Łódzkiego?

— W pionie merytorycznym — tak...

— I zawsze był Pan wierny jednej redakcji?

— Tak... — Literatury Pięknej. Niedawno jednak przeszedłem do Redakcji Naukowej. Chociaż lubię — dla płodozmianu — zrobić czasem coś z literatury.

— Wciągu 20 lat pracy w wydawnictwie brał Pan udział w inicjowaniu i redagowaniu wielu książek związanych z Łodzią. Zresztą jeszcze w latach 50-tych współredagował Pan antologię poezji o Łodzi...

— Praca redaktorska tylko wtedy przynosi satysfakcję, kiedy ma się poczucie, że coś się zainspirowało, że się zostawiło cząstkę siebie w książkach. Łódź była zawsze w naszej oficynie tematem uprzywilejowanym. Udało nam się zdobyć dla niego wielu pisarzy łódzkich i spoza Łodzi. Między innymi namówiliśmy Antoniego Kasprowicza na nowele o Łodzi, Jana Sztaudyngera na zbiór wierszy i fraszek poświęconych temu miastu, Wacława Kondka na album rysunków „Ulica Piotrkowska", do którego napisałem przedmowę; powstał też zbiór wspomnień „Tranzytem przez Łódź". Pozyskaliśmy dla Łodzi olsztyńskiego pisarza Tadeusza Stępowskiego, który napisał tom znakomitych opowieści na kanwie legend z tego regionu oraz Włodzimierza Piotrowskiego, pisarza grawitującego raczej ku Ziemiom Odzyskanym; jego „Dole i niedole diabła Boruty" miały już parę wydań... A na marginesie przyznam się panu, że nic mnie wtedy bardziej nie złościło, niż nie mające pokrycia w faktach biadania, że „nikt o Łodzi pisać nie chce". Że było inaczej — dowiodła zorganizowana w MPiK wystawa pt. „Wydawnictwo Łódzkie — swemu miastu". Okazało się, że istnieje kilkaset tytułów poświęconych Łodzi...

— Jednym z nich jest „Szkoła dwóch dziewcząt", powieść w której zawarł Pan wiele dość bliskich realności obrazów Bałut, ulicy Piotrkowskiej, Księżego Młyna... Na zakończenie swej powieści pisze Pan: — „Tak niedawno najniespodziewaniej w świecie dotknąłem już po raz pierwszy nogą tych miejsc, a tyle nieodwracalnych faktów i wydarzeń, w których zawarty jest i jakiś mój udział, zyskało wymiar historii. Za rok czy dwa dzieje Krawieckiej będą już dla nauczycieli i młodzieży uczącej się na Spornej prehistorią"... A w innej swojej powieści, zatytułowanej „Aurelian albo Zjazd koleżeński" stwierdza Pan: „Zacząłem sobie raptem uzmysławiać, że jednym z zadań literatury, w tym i poezji, jest utrwalanie obrazem rzeczy i zjawisk, które dziś są, a jutro może ich nie być i nikt nikomu o nich więcej nie powie". W swoich książkach pragnie więc Pan zatrzymać czas, ocalić to, co odchodzi — bezpowrotnie? Zawarty w „Szkole..." obraz miasta i gimnazjum jest już przeszłością...

— Stało się tak, jak przewidywałem: to już całkowita prehistoria. Nie ma już „jedenastki", zlikwidowano ją zarządzeniem urzędników, dla których — widać — tradycja nie istnieje... No cóż, żyjemy w kraju permanentnych przemian, wierzymy w boga zwanego reformą i nieraz bywa, że nie wypróbowawszy zalet jednej, zastępujemy ją drugą. Zbierając materiały do powieści „Szkarłatna godzina", poświęconej szkole piotrkowskiej, stwierdziłem na przykład z niejakim zdumieniem, że od czasów Komisji Edukacji Narodowej były u nas 62 reformy szkolnictwa średniego. Wypada co trzy lata reforma... Jest więc obowiązkiem pisarza utrwalanie tego, co odchodzi, co mija — na zawsze.

— Marian Piechal określił Pana niegdyś „poetą lirycznych krajobrazów". Wbrew rozmaitym modom tradycja lokalna, geografia, koloryt miejscowy odgrywają w pańskiej twórczości: poetyckiej i prozatorskiej zawsze dużą rolę...

— Po prostu staram się pamiętać, że poza mną, poza moimi bólami i lękami przed śmiercią, istnieje jeszcze świat otaczający, ta „piękna nasza Polska cała". W teorii wszystkie tematy i gatunki literackie są jednakowo warte. W praktyce wszakże — i jest to w dużym stopniu kwestia mody — poezja od lat nie zajmuje się światem zewnętrznym, toteż narzędzia którymi mogłaby ten świat przedstawiać są dość archaiczne. Osobiście nie lubię książek, które dzieją się gdziekolwiek bądź i kiedykolwiek bądź. Żyjemy w określonych miejscach i w określonych czasach, jak w warstwach geologicznych, i tym kolejnym warstwom trzeba dać świadectwo.

— Czy zgodzi się Pan ze mną, jeśli pozwolę sobie określić Pana mianem łódzkiego patrioty — w pozytywnym znaczeniu? Wielokrotnie, również na łamach „Odgłosów", dawał Pan wyraz swemu przywiązaniu do Łodzi, chociażby polemizując z autorami piszącymi o tym mieście, zwłaszcza tymi, których prześladuje jeszcze widmo „Kominogrodu", i prostując ich błędy? A przecież chyba niemniej silnie związany jest Pan — czego dowody w pańskiej twórczości — z ziemią rodzinną, z Podlasiem? Czy można „mieć kilka ojczyzn"...?

— Sądzę, że będąc przede wszystkim patriotą jednego kraju, można być patriotą jednocześnie Łodzi, Mazowsza i Warmii, i te patriotyzmy nie kłócą się ze sobą w myśl tego, że — jak już sobie raz powiedzieliśmy — „piękna nasza Polska cała".

Są miasta, które łatwo pokochać, miasta z pocztówek. Są miasta trudne, nie złe — ale właśnie trudne. I taka jest Łódź. Myślę, że nie mógł pokochać jej ten, kto jest pozbawiony wrażliwości społecznej. Co do mnie, żyję tutaj ponad 30 lat. Łódź jest miastem rodzinnym mojej żony i moich dzieci. To miasto ukształtowało moją wyobraźnię i moją wrażliwość. Kompleksy „Kominogrodu", „złego miasta" są mi obce.

— Czy temat łódzki powróci jeszcze na kartach pańskich książek?

— W 1979 roku ukaże się w „Czytelniku" moja nowa powieść o Łodzi, zatytułowana „Mój ożenek w krainie Feaków". Pokazuję w niej przemiany zachodzące w bałuckiej rodzinie w ciągu trzydziestu lat po wojnie: rozpad więzi rodzinnej i sąsiedzkiej, psychologiczne i obyczajowe skutki społecznego awansu. Rodzina przestała być monolitem, jej członkowie rozpierzchli się w różnych kierunkach. Jedni wpadli w objęcia „neodulszczyzny", inni pozostali konserwatystami, wykształciła się też nowa inteligencja. Dzieci tych, którzy w pierwszych rozdziałach „Szkoły dwóch dziewcząt" opowiadali o chorobach, dzisiaj rozprawiają o egzystencjalizmie.

— A inne plany twórcze, związane z Łodzią?

— Pracuję nad tomem opowiadań, w których przetworzę moje doświadczenia i wspomnienia z lat łódzkich, między innymi to, co nie zmieściło — ze względu na ograniczone ramy powieści — w poprzednich książkach. Co jakiś czas pojawiają się też nowe wiersze i myślę, że zbiorą się one w końcu na tom utworów poetyckich między innymi poświęconych Łodzi i temu regionowi.

— Jak odebrał Pan fakt przyznania Panu Nagrody Miasta Łodzi?

— Otrzymałem ją niemal w 35-lecie pobytu w tym mieście i w 40-lecie mojej pracy twórczej. Widzę w tym fakcie ukoronowanie mojego związku z Łodzią i zachętę do dalszej pracy...

— Pozwoli Pan, że — dziękując za rozmowę — złożę Panu w imieniu naszej redakcji gratulacje i serdeczne życzenia, aby Muzy były Panu nadal przychylne... A może zainspirują również następne książki o Łodzi?

Rozmawiał:
TOMASZ SOLDENHOFF

KAROL JÓZEF STRYJSKI

„POMNI SŁAWNYCH TRADYCJI"

Odzyskanie niepodległości w 1918 roku stwarzało pomyślne warunki dla kształtowania poczucia więzi klasowej mas pracujących i programu ich wyzwolenia społecznego. Antagonizmy klasowe społeczeństwa polskiego lat międzywojennych, nakazywały nieraz budować barykady między uprzywilejowaną mniejszością, a zdeterminowaną jego większością. Podobnie wiele rozbieżności, szczególnie ideologicznych można by znaleźć w obrębie tej samej klasy, w tym i klasy robotniczej. Młodzież z kręgów zbliżonych do SDKPiL i PPS, a potem KPRP (KPP) i PPS, toczyła nieustające polemiki polityczne na temat charakteru, taktyki i strategii walki o wyzwolenie społeczne. Niemniej jednak w kwestiach podstawowych, była zawsze najbliższa jedności i najwierniejsza jej tradycjom.

W walce o utworzenie frontu ludowego

w formie antyfaszystowskiego sojuszu partii, związków i ugrupowań robotniczych i demokratycznych, młodzież odegrała niepoślednią rolę. Hasła ludowego frontu i jedności działania wszystkich postępowych organizacji młodzieżowych, znalazły szczególnie szeroki oddźwięk w szeregach OM TUR, KZMP i ZMW RP. Szczególnie silna po roku 1935, radykalizacja środowisk młodzieży, jednakowo wyraźna w ruchu socjalistycznym (OM TUR) i ludowym („Wici"), umożliwiła KZMP organizowanie wspólnych akcji politycznych. Najpełniejszym wyrazem tendencji jednolitofrontowych była ogłoszona w marcu 1936 r. **„Dlekaracja praw młodego pokolenia Polski"**, żądająca dla młodzieży równego startu, prawa do nauki, pracy i ziemi. W „Deklaracji" czytamy m.in.:

„...Pomni sławnych tradycji — my młodzi podejmujemy sztandar walki o Polskę Ludową przeciw kapitalistycznemu ustrojowi krzywdy — o wolność i pracę, pokój i oświatę, o przebudowę społeczną".

Nie udało się jednak przezwyciężyć całkowicie wszystkich trudności na drodze budowania jedności ruchu młodzieżowego, nawet na tak wstępnym etapie, jak organizacja jednolitego frontu ludowego. Walka o ludowy front, nie doprowadziła do obalenia sanacji. Rozbicie ruchu robotniczego, w tym i młodzieżowego, opór prawicy ludowej sprawiły, że pod sztandarami frontu nie znalazła się większość mas pracujących Polski. Tendencje jednolitofrontowe stanowiły jednak poważną zaporę na drodze umacniania się dyktatury sanacyjnej i sił faszyzujących. I chociaż współdziałanie postępowych organizacji młodzieżowych w latach trzydziestych, nie przyniosło większych zdobyczy doraźnych dla ruchu młodzieżowego, to jednak wzbogaciło go o nowe, ważne doświadczenia, istotne w przyszłości, w okresie rosnącego zagrożenia niepodległości, a potem w latach wojny i okupacji.

Po kampanii wrześniowej

— w której młodzież walczyła z najeźdźcą w szeregach regularnej armii i ochotniczych brygadach obrony — nie zaniechała ona walki. Wraz z całym społeczeństwem, prowadziła ją nadal w warunkach okupacyjnych, organizując się w ramach szerokiego konspiracyjnego ruchu oporu, który jednoczył oba społeczno-polityczne nurty tego ruchu — burżuazyjny i ludowodemokratyczny. Sytuacja okupowanego kraju, pozbawionego wszelkich form legalnego życia politycznego, a także inne czynniki polityczne, nie sprzyjały stworzeniu ogólnonarodowego frontu walki przeciw okupantowi. Nie doszło w zasadzie, aż do końca wojny, do pełnego zintegrowania wszystkich patriotycznych sił narodu o orientacji antyfaszystowskiej. Takiego frontu nie zdołał także stworzyć konspiracyjny ruch młodzieży.

Fakt, iż w okresie okupacji hitlerowskiej organizacje młodzieżowe przerwały w zasadzie swoją aktywną działalność polityczną, nie oznaczał jednak bynajmniej tego, iż młodzież zarzuciła w tym okresie wszelką działalność. Kiedy to bowiem w obronie napadniętego kraju, w konspiracyjnych szeregach, aktywnie działały patriotyczne siły narodu, wśród nich nie zabrakło młodzieży. Stanowiła ona podstawowy trzon armii podziemnej, szeregów konspiracyjnych organizacji i grup bojowych, wszelkich odłamów oraz odcieni politycznych. Zadaniem naczelnym ruchu i zarazem synonimem jedności patriotycznej, była aktywna walka z okupantem.

Poczynając od końca 1942 r., powstają samodzielne komórki i związki młodzieży, które dotąd posiadały jedynie autonomię organizacyjną, działając — głów ie w walce zbrojnej — przy różnych ugrupowaniach politycznych. Stało się tak dlatego, iż ugrupowania polityczne obu głównych orientacji, widziały już wówczas coraz wyraźniej konieczność stworzenia silnych organizacyjnie i zwartych ideowo zespołów młodych kadr do przyszłej pracy propagandowo-politycznej w wyzwolonym kraju. Niewątpliwie, chodziło również o uzyskanie jak największego poparcia młodzieży dla koncepcji społeczno-politycznych poszczególnych partii. Po odrzuceniu przez partie obozu londyńskiego koncepcji demokratycznego frontu narodowego, zgłoszonej przez PPR w deklaracji **„O co walczymy"** z marca 1943 r., stało się jasne dla partii demokratycznych i ich związków młodzieży, że nie sposób będzie, tworząc podwaliny nowego ładu społeczno-politycznego w odrodzonej Polsce, uniknąć konfrontacji politycznej z przeciwnikami postępu społecznego.

Na przełomie 1942 i 1943 r.

z inicjatywy młodzieży peperowskiej powstał Związek Walki Młodych (ZWM). Po roku 1943, dało się również zaobserwować w ruchu ludowym dążenie do ukierunkowanej działalności wśród młodzieży. Z początkiem 1944 r., powstaje na południu kraju organizacja „Młody Las", działająca pod ideowym kierownictwem SL—ROCH. Lewica młodzieży ludowej, związała się z powstałym w 1944 r. postępowym SL „Wola Ludu". Dało to początek utworzenia Związku Młodzieży Wiejskiej. O jego to trzon kadrowy i zasady ideowe, oparty był proces reaktywowania ZMW RP „Wici".

Wśród organizacji młodzieżowych okresu okupacji, szczególne miejsce zajmował jednak ZWM. Kierownictwo tego związku, od samego początku, świadome było rangi i roli młodzieży w procesie dokonujących się przemian społecznych, noszących już w momencie wyzwalania pierwszych obszarów za Bugiem, piętno przeobrażeń rewolucyjnych. Jeszcze w marcu 1943 r., H. Sawicka — pierwsza przewodnicząca ZWM — pisała:

„Walczymy o Polskę niepodległą — będziemy ją musieli od początku budować. Ciężar odbudowy kraju, spoczywać będzie przede wszystkim na barkach młodych sił narodu".

Słowa te znalazły później potwierdzenie w Deklaracji ZWM z września 1943 r. W dokumencie tym obok wielu innych postulatów, znajdujemy i ten, który mówił, iż **„(...) młodzież otrzyma prawo do współdecydowania o losach narodu".**

Równocześnie ZWM, pierwszy i tak konsekwentnie, podjął na nowo hasło umacniania jedności całego postępowego ruchu młodzieżowego. Nawołując młodzież do udziału w odbudowie kraju i walce o przebudowę jego struktur społecznych w **„Deklaracji Programowej"** z grudnia 1945 r. ZWM, głosił:

„Nie walczymy o tę Polskę sami. Walczymy w zwartych szeregach obozu demokracji polskiej, w zwartych szeregach demokratycznego frontu narodowego (...) Walczymy ramię przy ramieniu z innymi bratnimi, demokratycznymi organizacjami młodzieży: z Organizacją Młodzieży TUR, ZMW RP „Wici", ZMD. Walczymy pod znakiem jedności...".

Przy czym chodziło wówczas jeszcze nie tyle nawet o jedność organizacyjną całego ruchu — głoszenie takiego hasła w 1945 r. byłoby skazane z góry na niepowodzenie, działaniem przedwczesnym, wręcz szkodliwym dla samej idei jedności — ile o realną współpracę i współdziałanie wszystkich czterech związków; jedność ideowo-polityczną całej młodzieży wokół postulatów Manifestu PKWN i programu PPR. Warunki, w jakich odradzała się Polska w 1944—1945 r., przeobrażenia ustrojowe, które były treścią walki politycznej okresu rewolucji ludowo demokratycznej, stwarzały realne przesłanki ziszczenia idei zawartych w pierwszym dokumencie będącym wyrazem tendencji jednolitofrontowych młodzieży, w **„Deklaracji praw młodego pokolenia Polski"** z marca 1936 r.

Jakkolwiek początki ściślejszej współpracy i współdziałania organizacji młodzieżowych sięgają 1944 r., zaś projekt połączenia w jeden związek młodzieży robotniczej, zrzeszonej w ZWM i OM TUR, zrodził się już na przełomie 1944—1945 r., to jednak do zjednoczenia ruchu młodzieżowego z przyczyn obiektywnych, jeszcze wówczas dojść nie mogło. Sytuacja sprzyjająca dla realizacji idei jedności ideowo-politycznej i organizacyjnej w polskim ruchu młodzieżowym, zrodziła się dopiero na przełomie 1947—1948 r.

Wielką zasługą ZWM było **„usunięcie na gruncie młodzieżowym tych różnic, których nie udało się jeszcze wówczas usunąć PPR w zakresie współpracy między partiami oraz doprowadzenie w lipcu 1944 r. do powstania jednolitofrontowego Centralnego Komitetu Młodzieży"** — jak to stwierdza A. Przygoński w książce pt. „Z zagadnień strategii frontu narodowego PPR", Trzeba przy tym zastrzec, że CKM nie stawiał sobie celu jednoczenia czterech powołujących go organizacji młodzieżowych, lecz stanowić miał jedynie organ ich porozumienia. Komitet ten wydał w lipcu 1944 r. odezwę programową, skierowaną do młodego pokolenia walczącego podziemia, w której to nawoływał do współdziałania całej młodzieży polskiej we Froncie Młodego Pokolenia.

Szeroka, bezpartyjna, ludowo-demokratyczna organizacja pracującej i uczącej się młodzieży miejskiej i wiejskiej, samodzielna organizacja młodego pokolenia Polski Ludowej — tak określał się w **„Deklaracji Ideowo-Programowej,** powstały w czwartą rocznicę Manifestu Lipcowego PKWN

Związek Młodzieży Polskiej.

Kongres Młodzieży, który obradował w dniach 20—21 lipca 1948 r. we Wrocławiu, podejmując jednomyślnie uchwałę o powołaniu ZMP, dał równocześnie początek procesowi organizacyjnego i ideowego zespolenia większości młodego pokolenia Polaków, wokół programu budownictwa socjalistycznego okresu dyktatury proletariatu. Kongres wrocławski, był niewątpliwie wielką manifestacją jedności młodzieży, choć pamiętać trzeba, iż do zjednoczonej organizacji nie wstąpiło w regionie łódzkim ponad 34 proc. (w skali kraju — 45 proc.) członków byłych organizacji młodzieżowych. Do zjednoczonej organizacji, nie weszli głównie członkowie starsi, przekraczający wiek organizacyjny. Zgodzić się trzeba z tezą J. Pardusa, iż przy podejmowaniu decyzji dezaprobaty wobec ZMP, **„niebagatelną rolę odegrały hasła o „wzmożonej czujności" i „zaostrzającej się walce klasowej", które z jednej strony odstraszały część osób, a z drugiej zawężały kryteria przyjęć".**

Niemniej jednak istotne znaczenie, jak się wydaje, miał również fakt, że od daty podpisania umowy o jedności działania, do wrocławskiego Kongresu, minęło wówczas zaledwie dziesięć miesięcy. Chociaż początki współpracy organizacji młodzieżowych sięgają roku 1944, to jednak warunki sprzyjające dla zrealizowania idei jedności organizacyjnej ruchu, zaistniały dopiero znacznie później. Znaczny pośpiech oraz pewna powierzchowność kampanii wyjaśniającej cel i wagę zjednoczenia, wpłynęły ujemnie na formowanie się szeregów ZMP. A przecież kierownictwu ZWM, autorom wysuniętego w 1945 r. hasła zjednoczenia ruchu młodzeiżowego, nie chodziło bynajmniej o stworzenie jedynie „sztucznego zlepka grupowych ideologii". Nie takim też ostatecznie, pomimo wymienionych trudności, okazał się ZMP.

Dopiero uchwała kwietniowego (1947 r.) Zjazdu Walnego „Wici", w której opowiedziano się za zacieśnieniem współpracy między młodzieżą chłopską i robotniczą, za kontynuacją socjalistycznych przemian, oraz uchwała czerwcowego (1947 r.), pierwszego po wojnie Zjazdu OM TUR, stwierdzająca konieczność pogłębienia jednolitego frontu trzech organizacji, uznająca współdziałanie z ZWM w szczególności, jako konieczność historycznie niezbędną, pozwoliły projekt ZWM — zjednoczenia ruchu, rozciągnąć na wszystkie cztery organizacje: ZWM, ZMW RP „Wici", OM TUR i ZMD. Równocześnie w październiku — listopadzie 1947 r., podpisano umowy o jedności działania, zaś wczesną wiosną 1948 r., przystąpiono do realizacji programu zjednoczeniowego.

Wiodącym hasłem działalności wszystkich czterech organizacji młodzieżowych, stawało się wówczas inspirowanie i organizowanie młodzieży do wytężonej pracy na rzecz umacniania podwalin nowego ustroju. Następowała zatem unifikacja celu zasadniczego, jak również podobnymi stawały się coraz bardziej formy, jakimi zdążano do osiągnięcia, wspólnie nakreślonych przed całą młodzieżą, zadań. Wysunięcie postulatu zjednoczeniowego, wiązało się również z procesami jednościowymi, zachodzącymi wówczas w łonie całego polskiego ruchu robotniczego.

W atmosferze entuzjazmu ale i również licznych jeszcze polemik, nie do końca i nie wszędzie wyjaśnionych wątpliwości i niejasności, dyskusji ujawniających nierzadko jeszcze kontrowersyjne stanowiska, na zebraniach, mających na celu ustalenie optymalnych zasad i ram organizacyjnej jedności polskiego ruchu, wybierano — wiosną 1948 r., delegatów na lipcowy Kongres Zjednoczeniowy.

Zgodzić się jednak należy, że organizacyjne

Zjednoczenie ruchu młodzieżowego

w Polsce na ówczesnym etapie budownictwa socjalistycznego, było polityczną koniecznością. Aby zmobilizować masy młodzieży do wzmożonego wysiłku społeczno-zawodowego, nie wolnego przecież od wyrzeczeń, by związać je uczuciowo z socjalistyczną Polską, by sprostać wszystkim zadaniom, które postawiono przed młodzieżą, nieodzowna była jedność działania. Zadań ideowo-wychowawczych i organizacyjnych, które wziął na siebie ZMP, nie można było realizować wielotorowo. Należało skoncentrować zapał, entuzjazm i wysiłek młodzieży w jednym nurcie, w jednej organizacji.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

PRZEDSMAK GRZECHU

Literackiej Kielecczyźnie przybył nowy autor. Stanisław Rogala, wicedyrektor Młodzieżowego Domu Kultury w Kielcach, zadebiutował powieścią pt. „Modlitwa o grzech", która uzyskała trzecią nagrodę w otwartym konkursie literackim Ludowej Spółdzielni Wydawniczej i Związku Literatów Polskich zorganizowanym dla uczczenia trzydziestej rocznicy powołania do życia tej zasłużonej placówki wydawniczej W tym samym niemal czasie rozstrzygnięty został w Kielcach ogólnopolski konkurs literacki pod hasłem „Robotnicy" w którym Stanisław Rogala zdobył również trzecią nagrodę (pierwszej nie przyznano) za powieść „Zreczaki". Ukaże się ona niebawem nakładem Wydawnictwa Łódzkiego Ów niezbyt zrozumiały na pierwszy rzut oka tytuł wyjaśni się, gdy powiemy, że Rogala urodził się w Zreczu Chałupczańskim w 1948 r. Ma za sobą studia polonistyczne na Uniwersytecie im. Marii Skodowskiej-Curie w Lublinie przynależność do grupy poetyckiej „Samsara". Nie od rzeczy będzie dodać w tym miejscu, iż przez pewien czas autor „Modlitwy o grzech" prowadził gospodarstwo rolne, gdyż obie jego książki sytuują się wyraźnie w obrębie tego nurtu, który krytyka określa wymiennie mianem nurtu wiejskiego lub nurtu chłopskiego.

Wydawać by się mogło, że nurt ten przeżył już swoje apogeum (gdzieś na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych), że wyczerpał swe możliwości, że zupełnie spowszedniały jego walory — świeżość i odmienność spojrzenia na kulturę, psychologiczne i socjologiczne studia konsekwencji przejścia ze wsi do miasta, poetyckie wizje wiejskiej odrębności, groteskowe spojrzenia na gwałtowny rozwój cywilizacyjny wsi. Okazuje się jednak, iż daleko jeszcze do wyczerpania wszystkich możliwości, iż pojawiają się godni i utalentowani kontynuatorzy. Potwierdzają to między innymi obie powieści Stanisława Rogali.

W takiej sytuacji można by właściwie poszukać pisarstwu Rogali antenatów. Do takiego pojmowania recenzenckiego obowiązku prowokuje przede wszystkim wielość postaw w obrębie nurtu wiejskiego. Byłoby to jednak w tym przypadku postępowanie dość ryzykowne i — co gorsza — krzywdzące debiutanta. Bo jakkolwiek można by go przyrównać do takiego czy innego protagonisty rzeczonego nurtu — „Modlitwa o grzech" posiada wszelkie cechy samodzielności i oryginalności. Do głosu doszedł po prostu artystycznie przetworzony życiorys autora, wsparty swoistą umiejętnością obserwacji i zmysłową, sensualistyczną wyobraźnią.

Fabuła nie jest skomplikowana. Młody człowiek spędza w rodzinnej wsi wakacje. Znajduje się w przełomowym momencie, po tych wakacjach rozpocznie studia w uniwersyteckim mieście Lublinie. Tymczasem przeprowadza rozliczne obserwacje. Porównuje stare i nowe na wsi, przede wszystkim w sferze obyczajów, ale również w zakresie tego, co językiem publicystyki nazywa się zmianą systemu gospodarowania. W obu tych dziedzinach konflikt pokoleń uwidacznia się najjaskrawiej: „uświadomiłem sobie, że całe gospodarowanie ojca, to budowanie proszalnego stosu dla przeszłości. Wychowany na pługu, bacie, obłędnym dreptaniu w kółko nie czuje zapachu benzyny na polu. Nieustannie składa ofiarę z popękanych rąk, z wieczornej modlitwy o jeszcze jeden dzień. Ołtarz płonie coraz większym ogniem, ale on tego nie dostrzega, tylko kurczowo zaciska ręce na pługu, na lejcach. Uczy mnie swoich gestów, nakłada starą uprząż, chce w popiół wrzucić jeszcze syna, a tylko podkłada ogień pod swój stos".

Świadomość nieuniknionych przemian określa postawę narratora Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że jest to dlań sprawa całkowicie jednoznaczna. Narrator jest przecież dzieckiem wsi. Określa go urodzenie, tradycja rodzinna. Jest człowiekiem rozdartym niejako między sentymentem do wsi, tęsknotą do jej uroków, a zdobywaną w mieście wiedzą, racjonalnym podejściem do problemu postępu społecznego. — „Książki wyssały ze mnie wszystkie soki, teraz muszę się dla ziemi rodzić ponownie, uczyć chodzić, wydawać dźwięki aż do słów" — powiada w momencie przybycia na wieś. Wewnętrzne rozdarcie między miasto i wieś staje się podstawową cechą narratora. Nie jest już mieszkańcem wsi, nie stał się jeszcze obywatelem miasta Kim będzie? — oto pytanie, na które w „Modlitwie o grzech" nie znajdziemy odpowiedzi, bo chyba za wcześnie na nią. Przypuszczam, że będziemy jej szukać w następnych książkach Rogali.

Od własnej przyszłości bardziej interesują narratora „Modlitwy o grzech" sprawy seksualnej inicjacji — ukazana w sposób dosadny i perwersyjny, a jednak poetycki, w sposób zmysłowy, ale i sentymentalny zarazem, budzi w czytelniku różne refleksje, wśród nich i niepewność, na ile jest opisem budzącej się męskości, w jakim zasię stopniu symbolizować ma — kto wie, czy nie Zegadłowiczowskim postępując tropem — miłość do ziemi-żywicielki i wiejskiego krajobrazu? Nie bardzo potrafię kwestię tę rozwikłać. Może zresztą wcale nie należy tych rzeczy rozdzielać, skoro splotły się w „Modlitwie o grzech" w całość nierozerwalną?

Patos i sceptycyzm — te dwa wyznaczniki na przemian określają powieść Rogali. Patosowi towarzyszy bez przerwy rodzaj umownych „modłów", pogańskich, dzikich i namiętnych wykrzyknień — stanowiących zewnętrzny wyraz zachwytu światem, prawami natury, przymierzem człowieka i przyrody. Sceptycyzm zaś objawia się głównie wówczas, gdy narrator „Modlitwy o grzech" zauważa coraz bardziej niszczycielskie działania wobec naturalnego środowiska. W tym miejscu pojawia się tradycyjne i wywołujące określone emocje pojęcie „grzechu".

Proza Stanisława Rogali ma charakter zdecydowanie impresyjny, jest zapisem młodzieńczej wrażliwości. Narrator nawet nie zdołał natłoku wrażeń uporządkować. Chłonie je, przeżywa. Na porządkowanie nie ma po prostu czasu. A może brak mu jeszcze doświadczenia, może porządkowanie świata, hierarchizowanie rzeczywistości przedstawionej, próby myślenia systemowego, pojawią się w następnych książkach, w których narrator — śmiem przypuszczać — będzie już człowiekiem dojrzałym życiowo i intelektualnie?

Jak widać książka Stanisława Rogali prowokuje do pytań — jest więc bez wątpienia debiutem udanym Zapowiada kontynuację spraw w „Modlitwie o grzech" ledwie zarysowanych. Godna podziwu jest zręczność narracyjna. Gorzej z kompozycją. Jest ona, moim zdaniem zbyt chaotyczna, nawet jeśli miałaby stanowić konsekwencję impresyjnego charakteru tej prozy.

S. Rogala, Modlitwa o grzech, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1978, 178 s., nakład 20.000 plus 330 egz., cena 20 zł.

KOMBINAT ZDROWIA PRZY ULICY TERESY

Janusz Indulski

Foto: W. Parys

Dalszy ciąg ze str. 1

zaburzeniem w działaniu niektórych enzymów pod wpływem przewlekłego oddziaływania dwusiarczku węgla itp.

Ciągłe wprowadzanie do przemysłu nowych związków chemicznych o nie znanym dotychczas toksycznym działaniu na organizm ludzki skłania nas do podejmowania szeregu prac, zmierzających, na przykład, do określenia najwyższego dopuszczalnego — tzn. nieszkodliwego dla człowieka — stężenia tych związków w powietrzu, którym oddycha robotnik oraz wykrycia mechanizmu działania tych substancji na organizm człowieka, albo, np. coraz szersze stosowanie w przemyśle urządzeń i technologii, wykorzystujących pole elektromagnetyczne wielkiej częstotliwości pobudziło instytut do podjęcia podstawowych badań nad oddziaływaniem tego zjawiska fizycznego na organizm ludzki.

Tego rodzaju przykładów można by przytoczyć całe mnóstwo, przy czym w polu zainteresowań instytutu leżą również takie zjawiska, jak kształtowanie się absencji chorobowej, optymalizacja form opieki zdrowotnej nad załogami zakładów pracy, określanie przeciwwskazań zdrowotnych do wykonywania określonych zawodów itp. Wymienione wyżej przykłady dowodzą bardzo ścisłego powiązania pracy naukowej instytutu z konkretnymi potrzebami przemysłu i trudno jest oddzielić w całej jego działalności elementy tzw. czystej nauki od rozwiązywania zagadnień zwanych praktycznymi. Za jeszcze jeden przykład może służyć choćby szerokie zagadnienie polichlorku winylu. Jest to tworzywo syntetyczne otrzymywane przez polimeryzację chlorku winylu, który polski przemysł chemiczny produkuje stosunkowo od niedawna przy czym produkcję tę stale się rozszerza z perspektywą dalszego rozwoju w przyszłości. Ze względu na rozbieżne wyniki badań nad szkodliwością chlorku winylu publikowane w piśmiennictwie światowym oraz w związku z wprowadzeniem i rozszerzeniem tej produkcji w kraju, nasz instytut podjął całą serię prac, dotyczących opracowania szkodliwego działania tego związku na ustrój człowieka, wyjaśnienia biochemicznych mechanizmów tego działania oraz środków zapobiegawczych, które należałoby podjąć w celu uniknięcia ewentualnych szkodliwych dla zdrowia następstw, spowodowanych zawodowym kontaktom z tym związkiem. Wymagało to zaplanowania i podjęcia całej serii opracowań wchodzących głęboko w takie wydawałoby się teoretyczne zagadnienia jak np. submikrosomalne zmiany anatomo-patologiczne, które mógłby wywołać chlorek winylu w żywym organizmie, wpływ kontaktu z chlorkiem winylu na zaburzenia przemiany tłuszczów, węglowodanów i innych przemian metabolicznych, mogących powstać pod wpływem działania tego związku itp. Wynikiem tych opracowań jest już propozycja tzw. najwyższych dopuszczalnych stężeń dla chlorku winylu w powietrzu, tzn. stężeń, przy których nie spodziewamy się wystąpienia poważniejszych uszkodzeń zdrowia, określenie sposobu postępowania lekarzy przemysłowych wobec populacji narażonych zawodowo na kontakt z chlorkiem winylu itp. Po zweryfikowaniu, poprzez praktyczne zastosowanie wyników tych prac w zakładach pracy produkujących polichlorek winylu oraz po zakończeniu serii prac doświadczalnych na ten temat, które są w tej chwili w toku, w instytucie, być może, podejmie się dalsze kroki o znaczeniu praktycznym zmierzające do ochrony zdrowia ludzi, stykających się z tym związkiem zawodowo.

Dalszym przykładem ścisłego powiązania badań naukowych z działalnością praktyczną instytutu są opracowania tzw. działów klinicznych instytutu, tzn. Kliniki Chorób Zawodowych, Przychodni Chorób Zawodowych (w celu udzielania porad pacjentom ambulatoryjnym) oraz Działu Diagnostyki Laboratoryjnej. Instytut, wraz z podobnym instytutem w Sosnowcu, spełnia rolę eksperta krajowego w zakresie rozpoznawania i orzekania w chorobach zawodowych, a w odniesieniu do miasta Łodzi spełnia rolę tzw. działu konsultacyjnego Przemysłowego Specjalistycznego Zespołu Opieki Zdrowotnej, kierującego ochroną zdrowia załóg pracowniczych w obrębie województwa łódzkiego. W związku z tym działy kliniczne instytutu są zobowiązane do bezpośredniej pracy klinicznej w zakresie patologii zawodowej na rzecz miasta oraz konsultowania i orzekania w trudnych przypadkach chorób zawodowych z terenu całego kraju. Jest to w zasadzie praca o charakterze rutynowym, nie wymagająca podejmowania specjalnych opracowań naukowych. Jednak dzięki przepływowi przez działy kliniczne instytutu wielu pacjentów oraz wskutek dużych możliwości diagnostycznych instytutu, co jest związane z jego bogatym wyposażeniem w aparaturę, instytut ma możność uzyskiwania w zakresie patologii zawodowej spostrzeżeń, z których, po odpowiednim naukowym opracowywaniu, wynikają wnioski o charakterze praktycznym. Zwłaszcza w takich dziedzinach, jak wczesna diagnostyka zawodowych uszkodzeń zdrowia, wykrywanie nowych, nie opisywanych dotychczas, schorzeń związanych z pracą, co wiąże się z wprowadzaniem nowych technologii do naszego rozwijającego się przemysłu itp. Corocznie przez Klinikę Chorób Zawodowych i Przychodnię Chorób Zawodowych przewija się moc pacjentów zarówno z Łodzi i województwa miejskiego łódzkiego, jak i z całego kraju. Jest to ogromny materiał, stanowiący źródło wielu nowych spostrzeżeń. Wskazuje on, iż w tej dziedzinie, tzn. wczesnego wykrywania i orzekania o chorobach zawodowych, instytut może na drodze naukowej syntezy uzyskanych spostrzeżeń wyciągać dużo praktycznych wniosków. Te wszystkie, częstokroć niezwykle skomplikowane problemy, rozwiązuje instytut przede wszystkim dzięki działalności kilkunastu własnych wyspecjalizowanych zakładów, Kliniki Chorób Zawodowych i Ostrych Zatruć, Przychodni Chorób Zawodowych i in.

Dzięki tak rozbudowanej strukturze instytut posiada wszystkie podstawowe działy, umożliwiające kompleksowe rozwiązywanie tematów przyjętych do opracowania. Np. we wspomnianych badaniach nad szkodliwością oddziaływania chlorku winylu na organizm ludzki biorą udział działy kliniczne instytutu, wykonując specjalistyczne badania pracowników narażonych na działanie tego związku. Tak więc Zakład Chemicznych Zanieczyszczeń Powietrza przeprowadza badania stężeń chlorku winylu w powietrzu na poszczególnych stanowiskach pracy, Zakład Oceny Toksyczności przeprowadza serie badań doświadczalnych na zwierzętach, Zakład Metabolizmu Substancji Toksycznych zbiera spostrzeżenia co do przemian, jakim chlorek winylu ulega po wchłonięciu do ustroju, Zakład Biochemii bada biochemiczne reakcje ustroju na kontakty z chlorkiem winylu, Zakład Patomorfologii wykrywa i ocenia skutki takiego kontaktu poprzez odpowiednie badania anatomo-patologiczne, Zakład Epidemiologii i Statystyki przeprowadza badania ogólnej zachorowalności pracowników narażonych zawodowo na ten związek itd. Jak z tego widać, instytutowi udało się dziś urzeczywistnić jeden z istotnych postulatów badań naukowych, a mianowicie pełną koordynację badań wykonywanych przez różnych specjalistów oraz możliwość wielostronnego zaatakowania opracowywanego problemu.

Dla działalności naukowo-badawczej instytutu szczególne znaczenie ma bezpośredni kontakt z tzw. terenowymi instytucjami przemysłowej służby zdrowia i pionu higieny pracy inspekcji sanitarnej. Jako specjalista krajowy w dziedzinie medycyny pracy, instytut w Łodzi ma zlecony nadzór fachowy także nad innymi województwami, przy czym w skali krajowej koordynuje prace w zakresie takiego nadzoru, wykonywane przez inne instytuty, zajmujące się innymi regionami geograficznymi kraju. Dzięki temu oraz dzięki kontaktom z pozostałymi instytutami medycyny pracy uczestniczącymi w nadzorze fachowym nasz instytut jest zorientowany, jakie zagadnienia z dziedziny medycyny pracy są najbardziej istotne dla polskiego przemysłu, budownictwa i transportu. Pomaga to instytutowi odpowiednio ustalić plan tematów do rozwiązania na lata następne. Innym źródłem informacji, które pomagają instytutowi utrzymywać stałe kontakty z bieżącymi problemami przemysłu jest łączność instytutu z odpowiednimi departamentami Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej, z resortami gospodarczymi, ze związkami zawodowymi itp. Dzięki tym powiązaniom niemal wszystkie prace naukowo-badawcze instytutu odpowiadają całkowicie istniejącemu w polskim przemyśle zapotrzebowaniu na nowe, praktyczne rozwiązania aktualnych zagadnień ochrony zdrowia pracowników.

Trudno w krótkim artykule wymienić szczegółowo osiągnięcia instytutu w zakresie naukowo-badawczym. Faktem jest, że corocznie, w planie naukowym instytutu znajduje się wiele tematów dotyczących różnych branż przemysłu, z których większość finalizujemy każdego roku. Wiele z ostatecznych opracowań publikujemy w poważnych czasopismach zagranicznych. Praktycznie rzecz biorąc, nie ma dziedziny w zakresie ochrony zdrowia pracowników, do której instytut nie wniósłby własnego dorobku i propozycji własnych rozwiązań, począwszy od problemów organizacyjnych, jak np. ogólne koncepcje organizacji i funkcjonowania przemysłowej służby zdrowia lub pionu higieny pracy Państwowej Inspekcji Sanitarnej i in., poprzez badania absencji chorobowej i pogłębiane badania epidemiologiczne potrzebne do oceny kształtowania się stanu zdrowia załóg robotniczych, aż do prac o charakterze bardzo teoretycznym, naukowo-doświadczalnym, jak. np. wyjaśnienie mechanizmów działania na organizm ludzki szeregu tzw. szkodliwości zawodowych.

O międzynarodowym uznaniu dla osiągnięć naukowych instytutu świadczy chociażby fakt, iż wielu naszych pracowników o różnych specjalnościach powołują w charakterze ekspertów międzynarodowe organizacje, takie m.in. jak Światowa Organizacja Zdrowia czy Międzynarodowe Biuro Pracy. Pragnę podkreślić, że instytut jest również placówką referencyjną w zakresie toksykologii przemysłowej dla Światowej Organizacji Zdrowia. Na płaszczyźnie międzynarodowej Instytut Medycyny Pracy w Łodzi współpracuje naukowo z wieloma instytutami o podobnym zakresie działalności. Dotyczy to głównie krajów obozu socjalistycznego. Istnieje stała wymiana informacji naukowej, a pracownicy instytutu utrzymują żywe kontakty osobiste z pracownikami Instytutu Higieny Pracy i Chorób Zawodowych w Pradze, jak również z pracownikami podobnych instytutów w Moskwie i Berlinie.

W ramach RWPG instytut jest odpowiedzialny za problem „Higiena pracy w poszczególnych gałęziach gospodarki narodowej". Oprócz tego instytut ma umowę o współpracę z Instytutem Medycyny Pracy w Helsinkach oraz blisko współpracuje z NICH w Cincinati (USA). Wprawdzie w wielu przypadkach współpraca międzynarodowa mogłaby być nieco szersza i bardziej elastyczna, należy jednak oczekiwać, iż będzie się ona rozwijała coraz intensywniej w przyszłości, zwłaszcza w zakresie wymiany informacji i bezpośrednich kontaktów międzynarodowych pracowników zainteresowanych podobną problematyką.

W ciągu całej swej powojennej działalności instytut szeroko się rozbudował. Dotyczy to zarówno kadry, jak i bazy materialnej. Obecnie, a zwłaszcza po zakończeniu programu dotyczącego zorganizowania systemu kontroli ryzyka toksycznego w przemyśle, który to program instytut realizował przy współpracy Światowej Organizacji Zdrowia i częściowo przy finansowej pomocy programu Rozwoju Narodów Zjednoczonych, instytut posiada na okres co najmniej kilku lat dobre i nowoczesne wyposażenie oraz przeszkoloną kadrę. Umożliwia to podejmowanie prac naukowych w zakresie szerszym, niż w innych instytutach resortu zdrowia i opieki społecznej. W konsekwencji rośnie w kraju i za granicą autorytet naukowy instytutu, o czym świadczy chociażby fakt, że właśnie Instytutowi Medycyny Pracy w Łodzi powierzono opracowanie systemu ochrony zdrowia robotników w wielkim koncernie petrochemicznym w Algierii. Ponadto powierzono nam zorganizowanie w tym kraju instytutu na wzór łódzkiego Instytutu Medycyny Pracy, łącznie z przeszkoleniem algierskiego personelu, co warunkuje uruchomienie takiego ośrodka naukowego w Algierii.

W perspektywie, w związku z nieustannym pojawianiem się wciąż nowych metod badawczych, coraz bardziej nowoczesnych przyrządów i coraz to nowych zagadnień z dziedziny ochrony zdrowia związanych z dynamicznym rozwojem naszego przemysłu, przed instytutem stoi nader ważne zadanie dalszego rozwoju kadry naukowo-badawczej oraz bazy materialnej, żeby utrzymać wysoką rangę naukową Instytutu Medycyny Pracy w Łodzi i jego międzynarodowy autorytet na poziomie, jaki dziś reprezentuje. Wydaje się, iż osiągnął on już taki stopień rozwoju, który w najbliższej przyszłości powinien mu zapewnić pomyślne rozwiązanie problemów nie leżących dotąd w polu jego zainteresowań. Tak więc, już niebawem wprowadzimy do programu prac instytutu nową tematykę badawczą i wdrożeniową. Wymienię tu przede wszystkim takie zagadnienie, jak funkcjonowanie systemu kontroli ryzyka toksycznego w przemyśle, na które złożą się badania nad opracowaniem toksyczności związków chemicznych nowo wprowadzanych do produkcji, dalej — badania dotyczące oceny zagrożenia toksycznego na poszczególnych stanowiskach pracy, badania typu epidemiologicznego obejmujące wybrane grupy pracowników, w celu ustalenia ewentualnych zmian zachodzących w stanie zdrowia osób mających kontakt z tymi nowymi związkami i technologiami. Należy podkreślić, iż dotyczy to nie tylko przemysłu chemicznego, lecz wszystkich branż przemysłowych w Polsce, do których coraz szerzej wkraczają nowe technologie chemiczne.

Problem, którym instytut będzie się musiał zająć w szerszym niż dotychczas wymiarze, jest zagadnienie racjonalizacji pracy na poszczególnych stanowiskach roboczych, lub w pewnych zawodach — racjonalizacji opartej na badaniach fizjologicznych i psychologicznych, i tzw. badaniach ergonomicznych. Zagadnienia te mają duże znaczenie praktyczne w dziedzinie podnoszenia wydajności pracy, przy czym racjonalizacja organizacji pracy oparta na fizjologicznych i psychologicznych właściwościach pracownika jest jedną z najtańszych metod wzrostu produkcji, ponieważ na ogół nie wymaga większych inwestycji materialnych. Podobnie duży wymiar będzie miało wprowadzenie racjonalnego systemu orientacji zawodowej dla młodzieży kończącej szkołę. Nie chodzi tutaj bynajmniej o administracyjną, przymusową selekcję pracowników do poszczególnych zawodów, czy też wykrywanie przeciwwskazań czysto lekarskich do nauki w poszczególnych zawodach, lecz o poradnictwo zawodowe w szerokim tego słowa znaczeniu, tzn. o udzielanie młodemu człowiekowi kończącemu szkołę ogólnokształcącą, po odpowiednich badaniach lekarskich i psychologicznych, porady, w jakich zawodach będzie mógł być najbardziej sprawny ze względu na swoje predyspozycje psychofizyczne. Wydaje się, iż w związku z zachodzącymi w Polsce zjawiskami demograficznymi, a zwłaszcza z uwagi na zmniejszający się w ostatnich latach przyrost młodych rąk do pracy, jest to zagadnienie istotne z punktu widzenia wydajności pracy i strategicznego znaczenia dla rozwoju przemysłu i całej gospodarki narodowej.

Wymieniłem przykłady kilku zaledwie najważniejszych, jak mi się wydaje, zagadnień, o które instytut powinien rozszerzyć zakres swoich prac w najbliższej przyszłości. Sądzę, iż historia dotychczasowego rozwoju instytutu, jakość jego wyposażenia oraz wysokie kwalifikacje jego obecnej kadry gwarantują sprawne wykonanie tych zadań, tym bardziej, iż urzeczywistniając swoje programy rozwojowe instytut spotykał się zawsze z poparciem władz partyjnych i administracyjnych oraz zrozumieniem i pomocą ze strony związków zawodowych, które przywiązują wielką wagę do zagadnień ochrony zdrowia robotnika zatrudnionego w przemyśle.

JANUSZ INDULSKI

Ośrodek badania absencji chorobowej w Instytucie Medycyny Pracy w Łodzi analizuje wielkość i strukturę absencji chorobowej w całym kraju, a zespół komputerów dostarcza informacji, z której wypływają wnioski o jej przyczynach.
NA ZDJĘCIU: Przenoszenie danych z kopii druków L-4 na język komputera. *Foto: Paweł Marchewka*

Prof. dr hab. med. Janusz Indulski, dyrektor Instytutu Medycyny Pracy w Przemyśle Włókienniczym i Chemicznym w Łodzi, przewodniczący Krajowego Zespołu Specjalistycznego w Dziedzinie Medycyny Przemysłowej.

EUGENIUSZ IWANICKI

SZKIC DO PORTRETU MIASTA

Foto: E. Docządis

Nie jest łatwo wykonać portret miasta: dzień dzisiejszy jest uwarunkowany historią, a ta w przypadku Brzezin sięga XII wieku. Wzmianki encyklopedyczne są suche i zdawkowe i na próżno w nich szukać dokładnej daty powstania miasta. Dowiadujemy się jedynie, że Brzeziny są położone na Wysoczyźnie Rawskiej, że przechodziły różne koleje losu, by w końcu stać się miastem powiatowym w województwie łódzkim, a następnie, po zlikwidowaniu powiatów, jednym z miast w województwie skierniewickim. Dla wnikliwego historyka dzieje te są jednak tyleż barwne co burzliwe, nierozerwalnie związane z dziejami kraju.

Brzeziny leżące na styku ziemi łęczyckiej i sieradzkiej niezwykle szybko stają się miastem bogatym, prężnym, i wkrótce zyskują sławę ze względu na rozwijające się tu sukiennictwo i piwowarstwo. Szczególnie to pierwsze wydźwignęło się wysoko, a przebiegający tędy szlak handlowy spowodował, że kunszt brzezińszich majstrów był znany zarówno na Rusi jak i nad Morzem Czarnym. Musi być wiele prawdy w zapiskach z tamtych lat, skoro suknem brzezińskim obito katedrę wawelską w czasie pogrzebu ostatniego z Jagiellonów...

Z Brzezinami związane są nazwiska wybitnych Polaków. Tu przez długi czas przebywał jako prepozyt Andrzej Frycz-Modrzewski, działał tu także Grzegorz Paweł zwany Zagrobelnym, zagorzały propagator kalwinizmu, który tu założył drugą w Polsce, szkołę protestancką. Właśnie w Brzezinach, mieście słynącym z tolerancji w 1565 r. odbył się synod generalny, na którym poddano krytyce problem chrztu. Jeden z pierwszych doktorów medycyny, głośny uczony, zwie się Adam z Brzezin. Stąd wyszedł także Adam Burski, uczony, kilkakrotny rektor Akademii Zamoyskich, krewny Szymona Szymonowica (ojciec Szymonowica był krawcem brzezińskim), Stanisław z Brzezin był dwukrotnym rektorem Akademii Krakowskiej, kilku innych piastowało godności profesorskie, inni godności publiczne...

Nie omijają Brzezin lasy wspólne całemu krajowi: po rozkwicie następuje upadek, potem przychodzą rozbiory, zrywy powstańcze, strajki, przenikają emisariusze nowej ideologii socjalistycznej... A tuż obok, niejako za miedzą, rodzi się i potężnieje przemysł włókienniczy Łodzi, który pozbawia dawnych sukienników pracy. Z Rosji ściągają tu krawcy, powstaje praca nakładcza, miasto w niebywałym tempie zwielokrotnia liczbę mieszkańców, która dochodzi prawie do 18 tysięcy. Ruszyła produkcja masowa, wyspecjalizowali się detaliści od spodni, marynarek itp. Zaczęła się liczyć ilość, a nie jakość. Przysłowiowe „brzezińskie ubranie" oznaczało skrajną tandetę.

Dwie wojny światowe nie oszczędziły miasta. W czasie pierwszej, na przedpolu Brzezin generał Litzman przeprowadził swoją tak zwaną „bitwę pod Łodzią", co stało się przyczyną spalenia miasta i paru okolicznych wsi Druga wojna światowa jest jeszcze straszniejsza: ginie połowa ludności, a przeszło 60 proc. domów jest zniszczonych.

SZANSA, Z KTÓREJ SKORZYSTANO

W ciągu minionych 33 lat Brzeziny zmieniły się gruntownie. Szansa ekonomicznej przemiany została w pełni wykorzystana. Nie tylko odbudowano zniszczony przemysł i rolnictwo, ale w życie miasta wtargnęło budownictwo, rozwinął się handel, usługi, szkolnictwo, i opieka zdrowotna, nowego znaczenia nabrała gospodarka uspołeczniona (39 przedsiębiorstw zatrudnia dziś ponad 5 tys. osób!), jak nigdy dotąd rozwinął się sport, turystyka, wzrosła aktywizacja życia kulturalnego. Brzeziny, z głodowego miasteczka przekształciły się w poważnego producenta: stąd idą na cały świat suknie przygotowywane w Zakładach Przemysłu Odzieżowego „Damina", mleko skupywane z terenu gminy ma poważny udział w tzw. łódzkim pierścieniu mlecznym, warzywa z brzezińskiego stanowią niemały procent w zaopatrzeniu rynku Łodzi. Władze polityczne i administracyjne miasta i gminy stosując zasadę mierzenia sił na zamiary, potrafiły wykorzystać naturalne warunki geograficzne i stworzyły dwa duże kompleksy wypoczynkowo-rekreacyjne z myślą o ludziach pracy pobliskiej Łodzi.

BUDOWLANI NIE CHCĄ ZEJŚĆ Z PLACU...

W Brzezinach na mieszkanie w blokach czeka się średnio cztery lata. Jeszcze parę lat temu w krajobrazie przeważały stare jednopiętrowce i parterowe drewniaki. Dziś białe czteropiętrowce zmieniły perspektywę: czuje się, że miasto rośnie! W ciągu ostatnich lat oddano tu 390 mieszkań, cztery następne bloki czekają na odbiór. Osiedle im. Frycza-Modrzewskiego jest najnowszym i najnowocześniejszym osiedlem miasta, w którym zamieszka ok. 500 rodzin. Znajdzie się tu centrum usługowo-handlowe, przedszkole.

Praktycznie została zakończona budowa osiedla domków jednorodzinnych im. T. Kościuszki — 50 domków; w budowie znajduje się drugie im. H. Sienkewicza na 70 domków. Miasto powiększa się, rośnie, bowiem rośnie zapotrzebowanie na kadrę fachową tak potrzebną w rozwijającym się rolnictwie i przemyśle.

Jednakże obok tego dynamicznego budownictwa, spotyka się sprawy żenujące i wręcz karygodne. Oto na wspomnianym osiedlu Frycza-Modrzewskiego Skierniewicki Kombinat Budowlany parę lat temu rozpoczął budowę kotłowni. Pierwszy termin oddania miał być po dwóch latach, w roku 1976. Oczywiście nikt w to nie wierzył. I słusznie. Bo oto minęły następne dwa lata, a kotłowni nie ma. Dookoła budowy, na gołej ziemi, zgromadzono niezbędne narzędzia i urządzenia na kilka, jeśli nie na kilkanaście milionów złotych. Leżą i niszczeją. Miejscowi ludzie robią zakłady: kiedy pojawią się robotnicy na budowie. Towarzysze z Komitetu Miejsko-Gminnego PZPR w Brzezinach przez te lata zgromadzili bogatą kronikę fotograficzną z terenu budowy, która być może mogłaby zainteresować organa prokuratorskie. Owszem, raz jeden zjawili się budowlani ubrani w czyste kombinezony i białe kaski ochronne, bowiem tego dnia telewizja, na skutek interwencji władz miejskich, miała kręcić film o marnotrawstwie na rozpoczętej budowie. Po skończonych zdjęciach, ci z tv odjechali do siebie, a spece budowlani do siebie. I po dziś dzień cicho.

CI, CO PRACUJĄ

Brzeziny, to przede wszystkim ZPO „Damina', znana dobrze w ZSRR, CSRS, NRD, RFN, Francji, Szwajcarii, Berlinie Zachodnim, Danii, Holandii, Austrii, Kanadzie i USA. Nie jest przypadkiem, że właśnie tu narodziła się placówka szyjąca znakomite ubiory damskie. Przecież mistrzowie krawieccy z Brzezin od wieków słynęli z solidności, pomysłowości i wysokiej jakości swoich wyrobów. Utrzymuje się opinia, że tutejsi mieszkańcy posiadają określone predyspozycje, w tym kierunku. Historia „Daminy" jest krótka: w 1945 r. zatrudniała zaledwie 300 robotników, dziś — 1.300. Początkowo szyto tu nocne koszule, odzież roboczą, pieluszki, chusteczki do nosa. Od 1955 r. zaczęto po raz pierwszy szyć tzw. „sukienki za grosik", a wkrótce całe ubiory. Dziś z ZPO „Damina" wychodzi ponad półtora miliona ubiorów rocznie! Są one prezentowane w najbardziej ekskluzywnych salonach mody całego świata. Zadecydowała o tym jakość tych wyrobów i modny krój. Stąd tyle nagród, złotych medali, wyróżnień na wszystkich możliwych konkursach krajowych i zagranicznych.

Jest to strona oficjalna zakładów, ta na pokaz. Natomiast strona socjalna pozostawia wiele do życzenia: brak stołówki, ciasne szatnie, w piwnicach upchano warsztaty mechaniczne. Projektanci, jak zresztą w większości przypadków, opracowali wszystko na „dziś" zapominając o pewnych prawidłowościach rozwoju ekonomicznego.

Inym zakładem, zresztą jedynym w Polsce, jest Wytwórnia Umundurowania Strażackiego, szyjąca mundury w pełnym komplecie dla wszystkich OSP oraz dla drużyn młodzieżowych i kobiecych. Zakład powstał w 1958 roku i od tego czasu uszyto tu ponad pół miliona mundurów. Obecnie rocznie szyje się tu ok. 30 tys. mundurów wyjściowych, 20 tys. bojowych i 12 tys. młodzieżowych na ogólną sumę 65 mln zł. Sam zakład macierzysty (jest także oddział w Kutnie) mieści się w pomieszczeniach adaptowanych po garażach byłej Spółdzielni Kółek Rolniczych i zajmuje raptem 1000 m kw. Sale, gdzie szyje się ubrania sprawiają smutne wrażenie: są to właściwie dwa pokoje, bardzo niskie i dlatego nie można zainstalować w nich wentylatorów, gdyż ich praca wzniecałaby tylko kurz na sali... Nie ma tu pokoju śniadań, szatni, szafek dla pracowników. Całość sprawia wrażenie prowizorki. Surowiec magazynuje się w garażu — bo nie ma magazynu — w bunkrze i szopach. Każdy z działów produkcyjnych mieści się gdzie indziej, nie ma tu ciągu technologicznego, w drodze mijają się ze sobą ludzie niosący gotowe wyroby z tymi, którzy idą do krojowni lub z niej wracają... W salach jest gorąco przy piecach, natomiast zimno przy oknach, do tego wszystko jest zaparowane, mokre. 40 proc. maszyn nie nadaje się do produkcji, są to stare Łuczniki. Obecnie w kraju takich maszyn już się nie produkuje, więc praktycznie nie ma możliwości zakupu nowych. Dziś dłużej się te maszyny reperuje niż one pracują. Z innych anomali chcę przytoczyć ciekawostę dotyczącą przepisów bhp. Otóż prasowacz pracujący w oparach pary otrzymuje mleko, a szwaczka siedząca obok niego w odległości dwóch metrów i także łykająca tę samą parę — nie! Jej się już nie należy. Samo życie.

Pocieszający jest wszakże fakt, że już rosną mury nowego zakładu, który ma być oddany załodze jeszcze w tym roku. Oby jak najszybciej!

POŻYTEK Z USŁUG

Pisaliśmy już o brzezińskiej Autoryzowanej Stacji Obsługi Samochodów jako o placówce pracującej dobrze, cieszącej się uznaniem wśród kierowców nie tylko z województw skierniewickiego i łódzkiego, ale ma-

WSPÓŁCZESNY ANTEUSZ

Dalszy ciąg ze str. 1

obie doskonałe znawczynie krakowskiego folkloru.

Parę dni później jestem w Krośnie na rynku. Patrzę, Konopnicka chodzi wśród straganów i nosi kupioną pewnie przed chwilą brzozową miotłę. Podbiegam, biorę od niej tę miotłę, zanoszę na bryczkę. Zanim zdążyłem do niej wrócić, przyniosła ceber ' powiada że nareszcie będzie miała z czego karmić krowę.

W Krośnie spotkałem się z Konopnicką jeszcze kilka razy. Następnym razem w kościele farnym. Jest godzina południowa, cisza, w kościele pustka. Tylko z bocznej nawy dobiega mnie cicha rozmowa. Słyszę głos męski i głos kobiecy, po chwili zza filara wychodzi Konopnicka w towarzystwie niewysokiego pana z czarną bródką. Konopnicka opowiada półgłosem o dziejach kościoła, Reymont (bo to był właśnie Reymont) poprawia ćwikery, słucha, wreszcie idą razem do drzwi wyjściowych. Konopnicka dostrzega mnie, zatrzymuje swego towarzysza i mówi do niego: — Panie Władysławie, niech pan zapozna się z tym oto moim najmłodszym przyjacielem. A ty już Antoś sam się przedstaw!

Przedstawiam się szarmancko, prężę na baczność, jak tylko umiem. Teraz ja obejmuję przewodnictwo, bo przecież to moje rodzinne strony. Opowiadam o historii Krosna. Niestety, na rynku musimy się pożegnać. Reymont wynajmuje dorożkę i jadą z Konopnicką na zamek odrzykoński.

Następne moje spotkanie z Konopnicką. Wracam wieczorem od moich krewnych, którzy mieszkali na pograniczu Polanki i Krosna. Mam skręcać w boczną drogę, naraz bryczka. Patrzę: Konopnicka. Konopnicka też mnie dojrzała, zatrzymuje bryczkę, bym mógł się przysiąść. Jedzie z nią jakiś młody pan, poważny, bardzo sztywny. Konopnicka po chwili do mnie:

— Z ciebie, Antoś, to szczęściarz. Czy wiesz, z kim ty jedziesz?

— Oczywiście, że wiem. Z Marią Konopnicką.

— Ja tu jestem mniej ważna, jest tu ktoś ważniejszy ode mnie. Przyjrzyj się dobrze temu panu i zapamiętaj, że miałeś szczęście jechać ze Stanisławem Brzozowskim. Kiedyś, jak dorośniesz, będziesz się zaczytywał jego książkami.

Tak zresztą potem było. I jeszcze jedno spotkanie. Lipiec, rok 1910. Krosno urządza wielką uroczystość ku uczczeniu 500-lecia Grunwaldu. Na placu Łukasiewicza (wtedy jeszcze bez nazwy) tłumy, ogromne tłumy i my, młodzież szkolna. Patrzymy wszyscy na balkon burmistrza Bergmana, bo tam ma się pojawić Konopnicka i wygłosić do nas mowę o znaczeniu zwycięstwa grunwaldzkiego. Wreszcie Konopnicka wychodzi na balkon, widać jednak, że jest zmieniona na twarzy, niepokojąco blada. Zaczyna mówić i nagle słania się, słabnie, wynoszą ją prawie na rękach. To było moje ostatnie spotkanie z Konopnicką.

Miałem jednak ciekawe spotkania i z innymi pisarzami. W czasie pierwszej wojny, nad Styrem, w okopach, odwiedzali nas kilka razy Wacław Sieroszewski, Kaden Bandrowski, Gustaw Daniłowski, Andrzej Strug. Pamiętam dobrze Sieroszewskiego, był to już siwowłosy pan z zawiesistymi wąsami, który podchodził chyba pod sześćdziesiątkę, ale trzymał się dziarsko i można by mu było dać najwyżej lat czterdzieści. Mimo że był tylko sierżantem, a Strug, Daniłowski i Kaden Bandrowski byli podporucznikami, oddawali mu pierwsi honory i odnosili się do niego z wielką atencją.

W czwartym pułku, w którym wtedy służyłem, było sporo znakomitości. Feliks Gwiżdż, poeta podhalański, Andrzej Galica, którego znamy jako generała, a mniej jako pisarza, wcale tęgiego pisarza i dramaturga, wreszcie — najbliższy mi kolega pułkowy — Władysław Broniewski. Niełatwo było z nim się dogadać, bo był w nastrojach nierówny, wybuchowy. Ale czuło się w nim poetę, a poza tym, co mnie bardzo zbliżyło do niego, szliśmy ze sobą, jak to się mówi, łeb, w łeb, jednakowo awansowaliśmy: na kaprala, na plutonowego, wreszcie na podchorążego.

Pamiętam też dobrze moje perypetie z Władysławem Orkanem. Władysław Orkan był w czwartym pułku adiutantem batalionowym. Któregoś razu przychodzi do mnie i powiada:

— Słuchaj, chłopie, czy to prawda, co tu o tobie bajdurzą?

— No, że co?

— Że ty podobno rumu nie pijesz?

— Ano, nie piję.

— Chłopie, jak tak można? Marnujesz taki znakomity trunek! Co ty właściwie z nim robisz?

— Karmię nim wszy. Myję się rumem i przez to nie mam robactwa.

Orkan popatrzył na mnie ze zgorszeniem:

— Chłopie, zastanów się! Wszy karmisz rumem? Znasz mojego ordynansa?

— A no, znam.

— Wiesz ty co? Jak ci będzie manierka ciążyć przy boku, kiwnij na mojego ordynansa, przelejsz mu rum do jego manierki, a on już będzie wiedział, co dalej robić.

Jak tu się wykręcić od adiutanta batalionu? Z początku oddawałem mu rum, ale po jakimś czasie zbuntowałem się, bo wszy zaczęły mnie porządnie obrabiać. Natykam się znów na Orkana.

— No, jak nasza umowa?

— Panie poruczniku, kiedy ja sam teraz piję.

— A, to co innego! Chłopie, daj łapę! Tak, to ja rozumiem.

2.

Czas pokoju był dla pana Antoniego jakby pomostem między dwoma wojnami. Najpierw wyjeżdża na Grodzieńszczyznę i rozpoczyna — jak mówi — romantyczne życie. Przydał się fach, nabyty jeszcze przed wojną w grupie wędrownych cieśli: buduje sobie dom, zakłada sad i — ogród kwiatowy. Aliści, jak powiada, przypadł do niego diabeł i zaczął szydzić z tego chodzenia koło kwiatów. Diabeł ten przybrał postać... dżentelmena, który przyjechał z propozycją przeniesienia się pana Antoniego do Grodna i objęcia redakcji „Kuriera Nadniemeńskiego". Skądś tam dowiedzieli się o jego dziennikarskich ciągotach.

Pan Antoni pakuje manatki, zostawia dom i wyjeżdża. Jednakże diabeł nie próżnuje. Po jakimś czasie podjudza pana Antoniego, żeby wybrał się na jakieś studia, no bo „z czym do gości". Nasz bohater zapisuje się na Wolną Wszechnicę, na wydział społeczno-oświatowy. Idzie mu pięknie, ale powoli zaczyna go drażnić drobiazgowość zajęć na wydziale. Tu prowadzenie biblioteczki, tam wygłoszenie referaciku — zeźliło go to w końcu i rzuca studia.

Wraca do dziennikarstwa. Ale na horyzoncie dziejowym zaczynają znowu pojawiać się chmury. Wybucha druga wojna światowa. Pan Antoni

jącej dobrą markę w całym kraju. Kiedyś była to podła stacja obsługi i trzeba było interwencji prokuratury, by wszystko wróciło do normy. Dziś o tym się tu nie mówi zapomniano o czasach regresu. Brzezińska ASOS 18 jest bowiem na czele wszystkich stacji podległych łódzkiemu „Polmozbytowi". A skoro wysforowała się tak wysoko, ktoś zaraz pomyślał, że trzeba wobec tego zwiększyć jej plany. I zwiększono. Na IV kwartał ub. r. plan wynosił 5.300 tys. zł, ale podniesiono go do 7.450 tys. zł nie bacząc na to, że stacja od marca ub. roku przechodziła modernizację.

Analizując powyższe, można mieć wątpliwości, czy nie odbędzie się to kosztem jakości świadczonych usług, które, jeśli chodzi o brzezińską ASOS nr 18 mają ustaloną renomę wśród użytkowników samochodów osobow .

Istnieje projekt otwarcia jeszcze w br. salonu sprzedaży przyczep kampingowych z Niewiadowa, który może stać się w przyszłości dobrą wizytówką dla łódzkiego „Polmozbytu" o

Foto: E. Doczadis

ile tenże „Polmozbyt" uczyni z salonu placówkę handlową z prawdziwego zdarzenia, a nie wiejski sklepik.

POŻYTKI Z ZIEMI

Wspomniałem na początku o rozwoju rolnictwa, choć robię szkic miasta. Jednakże Brzezin nie można traktować jako enklawy oderwanej od leżących dookoła niej wsi. Uprawa roli i hodowla stanowią poważny procent ogólnej gospodarki gminy i miasta. Przeważają tu gleby lekkie, nie nadające się pod uprawy warzyw gruntowych, dlatego też następuje szybki rozwój wszelkiego rodzaju szklarni, inspektów i tuneli foliowych. Obok tego rozwinęła się hodowla, wiele wsi specjalizuje się w hodowli bydła mlecznego, inne hodują trzodę chlewną, gdzie indziej nastawiono się na odpasianie cieląt które przeznacza się zarówno do dalszej hodowli jak i na rzeź. Aby szerzej włączyć się do „łódzkiego pierścienia mlecznego" rolnicy wsi Gałkówek — Kolonia, Zalesie, Ścibiorów oraz Witkowice dążą do tego by na każde 100 ha ziemi osiągnąć docelowo 90 sztuk krów (w wyniku tej akcji rozpoczęto rozbudowę miejscowych zakładów mleczarskich skąd w niedługim czasie będą przekazywane do Łodzi gotowe produkty mleczarskie. Planuje się 115 tys. litrów przerobu dziennie). Najlepszymi rolnikami, posiadającymi farmy hodowlane są Wacław Knapik z Zalesia, Eugeniusz Kaźmierczak z Witkowic i Jan Sadowski z Polika.

Wieś Przecław rozwinęła specjalizację w produkcji bydła rzeźnego. Tu w niedługim czasie stanie 8 odpajalni na 400 cieląt, z czego część zasili stada podstawowe, a część zostanie przeznaczona na rzeź.

Pozostałe wsie rozwijają hodowlę trzody chlewnej. Przodujący rolnicy to Halina Łapka oraz Jan Bajerski z Paprotni i Czesław Jaworski z Polika. Służba rolna nakreśliła sobie ambitne plany: jeszcze w tym roku zamierzają uzyskać 160 sztuk trzody na każde 100 hektarów gruntów.

Wraz z rozwojem kultury agrotechnicznej staje się pilną sprawa budownictwa. W roku ubiegłym na terenie miasta i gminy wybudowano 39 budynków inwentarskich, w roku bieżącym przybędzie dalszych 40.

GDZIE I JAK WYPOCZYWAĆ...

Wspomniałem wyżej o tym, że teren będący w gestii Urzędu Miasta i Gminy posiada szczególne walory ze względu na rzeźbę terenu, zalesienia, usytuowania zbiorników wodnych. Do tego należy dodać walory lecznicze rejonu Tadzin — Szymaniszki, dokąd przyjeżdżali chorzy leczyć górne drogi oddechowe. To zadecydowało, że w dolinie rzeczki Mrożycy planuje się usytuowanie zbiornika wodnego o powierzchni 25 ha (2,2 km długi, 150—650 m szeroki, ok. 4 m głęboki). Dookoła zostanie rozlokowany ośrodek wypoczynku sobotnio-niedzielnego czynny latem i zimą. Już stoi budynek administracyjny, wypożyczalnia sprzętu zimowego, kawiarenka z możliwością otrzymania posiłków, lodowisko (latem zamieni się go na korty tenisowe), place pod parkingi, wyprofilowano już trasy narciarskie i saneczkowe. Cały teren jest ogrodzony i uporządkowany, zelektryfikowany i zradiofonizowany.

Drugi ośrodek znajduje się w środku kompleksu leśnego rejonu Rochna — Tworzyjanki. Na gości czeka tu hotel (75 miejsc), restauracja, basen kąpielowy. W tegorocznym sezonie letnim powstanie dodatkowo ośrodek sportów wodnych (kajaki, łodzie, rowery wodne). Latem także wytyczy się tereny pod pola namiotowe (gotowy jest już węzeł sanitarny), urządzi się boiska, stanie wypożyczalnia sprzętu sportowo-turystycznego. Jednorazowo może tu wypoczywać ponad 2 tys. osób. Nie trzeba przypominać czym są dwa wymienione ośrodki dla pobliskiej Łodzi.

Gospodarzom miasta i gminy należą się za tę pracę słowa uznania, bowiem ośrodki te nie tylko będą służyć ludziom pracy, lecz cała sprawa ma dużo szersze podłoże gospodarcze. Zbiorniki wodne, a co za tym idzie poprawa „stosunków wodnych" na terenach rolniczych, będą mieć kapitalne znaczenie dla całej gospodarki hodowlanej, umożliwią rozwój nowej gałęzi przemysłowej jaką stanie się w niedługim czasie rybołówstwo.

Kiedy spytałem I sekretarza Komitetu Miasta i Gminy PZPR w Brzezinach Tadeusza Mańko o przyczynę sukcesów gospodarczych, powiedział: „W atmosferze wielkiego zaangażowania, dużej dyscypliny organizacyjnej i pracy, mogliśmy zanotować sukcesy we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego i społecznego. Odzwierciedleniem tego jest tytuł „Gmina Mistrz Gospodarności" województwa skierniewickiego za rok 1977 i „Miasto Mistrz Gospodarności" za rok 1976. Tu, w Brzezinach nauczyliśmy się nie oglądać na innych, a po prostu pracować. Społeczeństwo nasze myśli szerokimi kategoriami, działa coraz chętniej i efektywniej. Jako przykład niech posłuży tegoroczna, ostra i śnieżna zima. Brzeziny nie zostały zaskoczone przez mróz i zamiecie, nasze ulice już pierwszego dnia były oczyszczone ze śniegu, w sklepach znalazło się świeże pieczywo i świeże mleko. Przez lata w naszej społeczności wyrobiło się silne poczucie wspólnej więzi, społecznej potrzeby działania".

Tyle I sekretarz Tadeusz Mańko. A swoją drogą, kiedy się przyjeżdża do Brzezin miłe wrażenie sprawia czystość tego miasta, zieleń, dobre oznakowanie tras wylotowych i życzliwość mieszkańców wobec gości.

---

przedziera się do rodzinnych stron, wstępuje do konspiracji. Szkoła dziennikarska okazała się przydatna: pod jego zarządem zaczynają wychodzić cztery konspiracyjne pisma: „Kret", „Reduta", „Szlakiem Orła Białego" i „Przegląd Tygodniowy". Tę walkę na froncie polskiego słowa i polskiej myśli pan Antoni prowadzi do września 1944 roku, kiedy to lawina wojsk radzieckich przetoczyła się przez Krosno i poszła na Duklę, na słynną „dolnę śmierci".

3.

Trudno rozpoznać w niewysokim, drobnym, starszym panu właściciela tak burzliwej biografii. Może tylko oczy błyszczące i ruchliwe, zdradzają człowieka o rzadko spotykanej energii.

— Właściwie nic się nie zmieniło, znowu wróciłem do punktu wyjścia. Kontynuuję swój romans z przyrodą, rozpoczęty jeszcze w okresie dzieciństwa, kiedy to pasało się bydełko. Znów postawiłem sobie dom i urządziłem ogród kwiatowy. W tej chwili mam 400 krzewów róż w 200 odmianach Chcę dojść do tysiąca krzewów w 500 odmianach. Poza tym mam 80 odmian tulipanów, 45 odmian narcyzów, ponad 40 odmian floksów, tyleż irysów, trochę mniej peonii. Myślę, że w ciągu dziesięciu lat postawię swój ogród na należytym poziomie.

Trzeba tu wyjaśnić, że mówi to człowiek, który dźwiga na grzbiecie ósmy krzyżyk. — **Latem pracuję po osiemnaście godzin na dobę i wtedy czuję się najlepiej** — dodaje pan Antoni.

Znalazł teraz przystań życiową w Augustowie. Tak podzielił swe życie pomiędzy południowe i północne rubieże kraju, przy czym — rzecz znamienna — lata sędziwe spędza na północy. Ubolewa jednak, że jego kontakt z przyrodą nie ma już takiego rozmachu jak dawniej, że sprowadza się do niewielkiego ogródka i... do funkcji urzędowych: członka Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Augustowskiej, członka zarządu Ligi Ochrony Przyrody w Augustowie, członka Wojewódzkiego Komitetu Przyrody w Białymstoku.

Nie tak to jeszcze niedawno by było. Trochę z miłości, trochę z konieczności. Bo kiedy po ostatniej wojnie pan Antoni znalazł się w Suwałkach, zwabiony ogłoszeniem w prasie, że „Gimnazjum ogrodnicze poszukuje wykładowcy kwiaciarstwa i ogrodnictwa ozdobnego" — wkrótce musiał rozstać się z pracą pedagoga. I cóż robi pan Antoni? Czy zasklepia się może w domowym zaciszu? Nie, wręcz przeciwnie, zapisuje się do PTTK i zaczyna przemierzać Suwalszczyznę. Z domu zabiera zawsze plecak i... młotek! Młotkiem tym rozbija kamienie, znosi w plecaku odłamki skał i magazynuje na strychu. Są to skały magmowe, łupki, gnejsy, amfibolity, augity, kryształy górskie i inne, nieraz rzadkie skamieliny. Tak powstaje zalążek zbiorów przyrodniczych z odległych epok geologicznych Suwalszczyzny.

Czasy się zmieniają, pan Antoni otrzymuje nominację na kierownika Muzeum Ziemi Suwalskiej. Teraz w teren wyrusza tylko w dni wolne od pracy, to jest w poniedziałki. Natrafia na złoża torfu międzylodowcowego, którego próbki wędrują do Muzeum Ziemi i stają się podstawą kilku prac naukowych, wśród nich pracy zatytułowanej „Krajobrazy epok minionych".

Z kolei intryguje go rzekomo szwedzkie cmentarzysko w pobliżu wsi Szwajcaria. Sprowadza ekipę badaczy, którzy identyfikują obiekt jako relikt znacznie wcześniejszy, bo — jaćwieski. Odbywa się Międzynarodowa Ekspedycja Jaćwieska, dochodzi do dwóch sympozjów naukowych, które relacjonują rewelacyjne wyniki badań.

Drugim takim odkryciem jest grodzisko Szurpiły. Potem idą następne odkrycia, już innej natury, jak na ten przykład uroków Czarnej Hańczy i znajdującej się nad nią Wiszącej Doliny, czy też dziwów najgłębszego w Polsce jeziora Hańcza, olbrzymiego głazowiska pod wsią Bachanowo, stromizn wałów morenowych i innych reliktów epoki polodowcowej. Tak rodzi się zamysł Suwalskiego Parku Krajobrazowego, uwieńczony opracowaniem w Wojewódzkiej Pracowni Urbanistycznej odpowiedniej mapy. Tak też powstaje książka autorstwa pana Antoniego „Piękno Ziemi Suwalskiej".

— **Teraz w Augustowie** — powiada pan Antoni — **całe piękno zawrzeć muszę w moim ogródku. A ziemia daje mi zawsze siłę, nawet ta w tak miniaturowym wymiarze. Jestem jak ów słynny Anteusz, który zawsze się odradzał, kiedy dotykał ziemi.**

TADEUSZ GICGIER

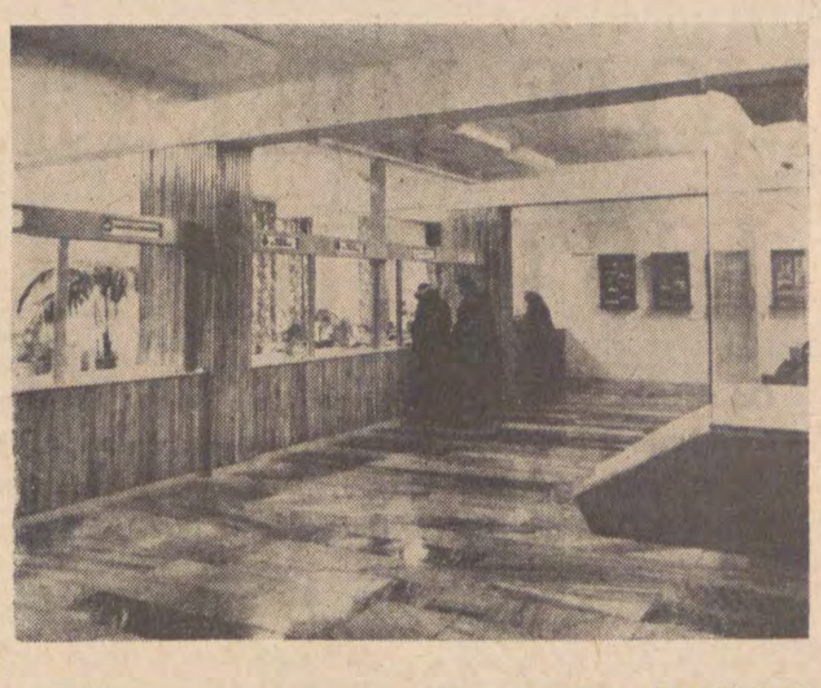

Foto: W. Parys

SŁAWOMIR DARZYCKI

WYSTARCZY NACISNĄĆ GUZICZEK...

OKRĘGOWY URZĄD PRZEWOZU POCZTY ŁÓDŹ — 2 przez wszystkie minione lata chyba tylko z rozpędu obdarzany był taką nazwą. Bo co to w końcu za „urząd", który gnieździ się w tak prymitywnych warunkach? No, a jak już musi być „urzędem", to dlaczego zaraz okręgowym? Przecież w tym przypadku nawet określenie „gminny" byłoby lekka przesada.

I aż wierzyć się nie chce — mało kto o tym wie — że każdej doby opracowuje się tutaj ponad 300 tys. przesyłek listowych zwykłych, poleconych, ekspresowych oraz przekazów rent i emerytur, jak również około 25 tysięcy paczek. Wszystkie przesyłki wychodzące z Łodzi, przychodzące do miasta oraz przejeżdżające tranzytem — muszą przejść przez ręce pracowników „dwójki".

Muzeum Poczty ma swoją siedzibę we Wrocławiu. Kto tam trafi — do woli może napatrzeć się na atrybuty pocztowego fachu: od autentycznych dyliżansów pocztowych aż po guziki służbowych uniformów. Jeżeli zajdzie kiedyś potrzeba utworzenia filii tej placówki — to jeden problem jest już właściwie „z głowy". Pomieszczenia. Zabudowania przy ul. Karolewskiej doskonale się na ten cel nadają.

Tym większe trzeba mieć uznanie dla załogi tego urzędu pocztowego, zdobywającej z zadziwiająca regularnością nagrody i wyróżnienia za swoją pracę.

Jak oni to robią?

Przez całą dobę ruch tu ogromny. Bez przerwy pod rampą ustawiają się samochody, na kolejowym „żeberku" odbywa się załadunek i wyładunek pocztowych ambulansów. W barakach sortowanie listów i paczek.

Przeważają kobiety. Ciężka to praca. Każdego dnia po kilkanaście ton paczek — nawet mężczyznę by zmęczyło. Z ulgą przyjęto więc decyzję o zmniejszeniu wagi paczek z 20 do 10 kg.

Kiedy na początku lat siedemdziesiątych zaczęto tu i ówdzie przebąkiwać coś o budowie nowego urzędu pocztowego, który miałby zastąpić wysłużone baraki (jeden z nich — autentyczne — pochodzi z roku... 1928!), o poprawie warunków pracy i o wygodzie, to nawet najwięksi optymiści twierdzili, że prędzej im kaktus na dłoni wyrośnie, że może tego doczekają prawnuki.

A kiedy cztery lata później pokazano gotowe plany, gdy już pojawili się pierwsi robotnicy i zaczęto kopać fundamenty — budowa stała się faktem.

Dokumentację opracowano pod kierunkiem mgr inż. **Haliny Rawicz** w Biurze Studiów i Projektów Łączności w Warszawie. Dokumentacja mechanizacji pracy powstała w Centralnym Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Poczty.

Ludzie patrzyli na tę budowę przez małe okienka baraków, komentowali oceniali wykonanie. Jakoś niepostrzeżenie zaczęli się niecierpliwić.

W połowie grudnia 1978 roku, kiedy cały kraj obchodził 30 rocznicę Kongresu Zjednoczeniowego, nowe pomieszczenia pocztowe przekazano do użytku. Ale to ledwie finał I etapu całej inwestycji. W etapie drugim przewiduje się wybudowanie supernowoczesnej hali wagonowej na 12 ambulansów, oraz przebicie systemu tuneli dojazdowych na perony, co umożliwi sprawniejszy i bezpieczniejszy obrót przesyłkami.

Dyrektor **Józef Andrzejczak** najbardziej zapracowany właśnie w okresie rozruchu, wykroił jednak trochę czasu, by zaprezentować bliżej nowy gmach.

— **Ciągle kłopoty** — mówi — **ciągle nowe problemy. Począwszy od najtrudniejszych i najważniejszych, a na małych drobiazgach skończywszy. Ze wszystkim przychodzą do dyrektora: gdzie postawić sejfy, kiedy przyjedzie samochód, dlaczego nie ma jeszcze malarzy, czy można szafy z korytarza wstawić do pokoju — i ta: przez cały dzień.**

Cały parter to część usługowa — jak na każdej poczcie. Można tu wypłacić pieniądze, nadać list, paczkę, wysłać telegram czy zamówić rozmowę międzymiastową. Część telekomunikacyjna czynna jest przez całą dobę. W poczekalniach zainstalowano szereg automatów do sprzedaży kart pocztowych i znaczków oraz automat informujący o usługach pocztowych. Na ścianach plansze, fotografie i eksponaty obrazujące postęp techniczny w służbie pocztowej i telekomunikacyjnej.

Ludzie zaglądają tu coraz częściej. Rozglądają się zdziwieni... Jakoś tu czysto, miło, Co do miękkich foteli dyrektor Andrzejczak jest optymistą: nie zniszczą! Jak zobaczą, że takie nowe, że wszystko wokół zadbane — to nie będą mieli odwagi...

W niedalekiej przyszłości blisko 30 proc. obszaru miasta (m.in. Polesie) będzie obsługiwane przez ten urząd. Każdego dnia wychodzić stąd będzie 70 doręczycieli „zwyczajnych", 25 zajmujących się paczkami i tyluż samo od przesyłek ekspresowych i telegramów.

Przeprowadzką objętych zostało na razie blisko 550 pracowników. Nie wszyscy. W oczekiwaniu na realizację dalszej części jeszcze ponad stu ludzi będzie pracowało w barakach. Zajmą się oni m.in. ambulansami pocztowymi przeładunkiem i opracowywaniem paczek pochodzących i przeznaczonych dla tzw. klientów zbiorczych.

Na pozostałych pięciu piętrach rozlokowano szereg działów, sekcji i komórek. Zwraca uwagę — chyba tytułem kontrastu z widocznymi w dole barakami — część socjalna. Stołówka na 120 miejsc niczym nie różni się od sali restauracyjnej przyzwoitego hotelu. W kuchni zgromadzono najnowocześniejszy sprzęt, który sam piecze, sam gotuje, tylko się wkłada, naciska — i gotowe.

Dalej sala konferencyjna, świetlica oraz 35 pokoi przeznaczonych dla załóg ambulansów pocztowych, i to nie tylko własnych, ale i przyjezdnych. Skończą się tym samym kłopoty ludzi, którzy po kilkanaście godzin byli w podróży, pracowali ciężko — a po przyjeździe musieli w środku nocy jechać przez całe miasto do wynajmowanych gdzieś kwater prywatnych. Projektanci zachowali się bardzo przytomnie: wejście dla obsługi i ambulansów wprawdzie oddzielne, ale bez kłopotów i wychodzenia na zewnątrz można przejść do świetlicy czy stołówki. Oprócz tego własna centrala telefoniczna, szerokie korytarze, duże okna, przestrzeń i rozmach.

Obok dwie jednopiętrowe hale przeznaczone na rozdzielnię i segregację. Tu będą pracowały służby doręczeń i dział doręczeń paczek dla miasta. Zainstalowane tu urządzenia wszyscy przychodzili oglądać. A jak pokazano im jak to działa — z podziwu wyjść nie mogli. Rzecz prosta, a jakże praktyczna: podjeżdża samochód, otwierają klapę i przez specjalne okienka podają paczki do środka, wprost na taśmociąg. Na specjalnym stanowisku siedzi dyspozytor, który odczytuje adres i naciska odpowiedni guziczek. Paczka na taśmie zostaje zarejestrowana przez fotokomórkę i przesuwa się dalej, aż do miejsca, w którym mechaniczna „łapa" zgarnia ją do właściwego ześlizgu, wprost do podstawionego wózka. Obserwację poszczególnych pochylni ułatwia system telewizji przemysłowej. Nikt też nie będzie wdrapywał się na wyższą kondygnację z workiem pełnym listów. System specjalnych podnośników wyręczy człowieka. Lekko licząc — około 600 paczek na godzinę! I to prawie zupełnie bez udziału ludzkiej siły.

MOJE MIEJSCE JEST TUTAJ

Od stycznia br., utalentowana solistka Teatru Wielkiego w Łodzi Łucja WIERZBIŃSKA-JÓŹWIAK rozpoczęła pracę w jednej z najsłynniejszych scen operowych Europy, a mianowicie w Deutsche Oper am Rhein w Duesseldorfie (RFN). Tuż przed wyjazdem przeprowadziliśmy rozmowę z artystką.

— Studia wyższe kończyła Pani w Łodzi w klasie znakomitego pedagoga prof. Olgi Olginy, której uczennicami były światowej sławy śpiewaczki operowe: Teresa Wojtaszek-Kubiak i Teresa Żylis-Gara...

— Tak. Profesor Olginie zawdzięczam bardzo dużo, z tym, że moja droga muzyczna wiodła przez podstawową szkołę muzyczną, liceum muzyczne aż po uzyskanie dwóch dyplomów w PWSM. Jestem bowiem absolwentka dwóch fakultetów: wychowania muzycznego i wydziału wokalnego który ukończyłam w 1973 roku. Jest to zasługą moich rodziców, że tak wcześnie zorientowali się w predyspozycjach muzycznych zarówno moich jak i mojego brata Antoniego. Tonio przebywa w tej chwili w Meksyku, gdzie podpisał 2-letni kontrakt z Wielką Orkiestrą Symfoniczną Mexico City. Po rocznej przerwie — urodziłam córeczkę Agnieszkę — podjęłam pracę w łódzkim Teatrze Wielkim. Praca w teatrze wpłynęła pozytywnie na dalsze doskonalenie warsztatu aktorskiego i wokalnego. Mile wspominam współpracę z Romkiem Werlińskim, który swoimi radami i opieką pedagogiczną bardzo mi pomógł, no a przede wszystkim wdzięczna jestem ówczesnemu dyrektorowi Włodzimierzowi Pośpiechowi, że zaryzykował obsadzając mnie, debiutantkę, w głównych partiach. Mało który dyrektor opery tak zaufałby debiutującej artystce.

— W minionych sezonach śpiewała Pani główne role w premierowych spektaklach zdobywając sympatię publiczności i uznanie krytyki.

— Śpiewałam Violettę w „Traviacie" Verdiego, Jolantę w „Jolancie" Czajkowskiego, Musette w „Cyganerii" Pucciniego, śpiewałam również w „Weselu Figara" i „Baronie cygańskim". Oprócz spektakli w Teatrze Wielkim współpracowałam w tym czasie z Wielką Orkiestrą Symfoniczną im. Karola Kurpińskiego wykonując arie z „Normy" i „Lunatyczki" Belliniego, „Łucji z Lammermooru" Donizettiego, „Traviaty" Verdiego, „Rigoletta" Verdiego, „Wolnego strzelca" Webera, „Fausta" Gounoda i in.

— We współczesnym pojmowaniu warsztatu teatralnego każda kreacja aktorska stanowi podobno swego rodzaju wypowiedź intelektualną. Jak konstruuje Pani koncepcję budowanej postaci?

— Myśląc o kształtowaniu postaci scenicznej nie koncentrowałam się wyłącznie na partii wokalnej, ale również nad pewnym psychologicznym rysunkiem postaci scenicznej, nad tematem wokół którego skupia się problematyka związana z bohaterem. Przystępując do prób analitycznych „Traviaty" starałam się najpierw zrozumieć osobowość Violetty, jej psychiczne wnętrze, jakieś wyraźne punkty odniesienia dla takich, a nie innych myśli, pragnień, namiętności, dynamiki charakteru i motywacji jej działań. Zrozumiałam również jak wiele zależy od dialogu z orkiestrą, jaką treść dramatyczną, myśl i sens można wyrazić poprzez pełną synchronizację z orkiestrą. Kreowana postać żyje wtedy, nabiera blasku. W „Jolancie", na przykład, celowo zmniejszyłam dystans między sobą jako aktorem a postacią dramatu. Uważam bowiem, że jest to rola, którą może warunkować jedynie mój świadomy i aktywny stosunek do roli — bohaterka jest niewidomą — tak aby postawa Jolanty wobec konkretnej sytuacji życiowej była bardziej naturalnym odbiciem stanu duchowego człowieka.

— Również i w teatrze operowym występuje dylemat: utożsamiać się z graną postacią, angażować się emocjonalnie, przeżywać to co się śpiewa, czy też prowadzić rolę bardziej nowocześnie z dystansem do postaci?

— Myślę, że dylemat ten mniej chyba dotyczy opery. Wprawdzie stanowisko Brechta w „Neue Technik der Schauspielkunst" jest jednoznaczne: aktor nie powinien całkowicie przeistaczać się w graną postać, winien być obok roli, obok postaci, ale już na przykład Felsenstein żąda absolutnej identyfikacji z kreowaną postacią tłumacząc to wyjątkową specyfiką teatru operowego. Na ten temat jest tyle szkół ilu jest teoretyków i praktyków teatru. W większości teatrów operowych jak Metropolitan Opera House, Covent Garden, czy La Scala decyduje wokalna maestria śpiewaka, a częstokroć publiczność przychodzi aby wysłuchać jednej, czy dwóch kunsztownie wykonanych, a ulubionych przez widza przepięknych arii. Oczywiście, odpowiadam na to pytanie jako pedagog muzyczny, bowiem jako śpiewaczka nie czuję się do tego upoważniona.

— Miniony rok był dla Pani owocny w tournee zagraniczne: RFN, Szwecja, NRD, Austria, Hiszpania; w prasie zagranicznej znakomite recenzje, nagrania radiowe, telewizyjne...

— Najmilej wspominam pobyt w Szwecji, gdzie byłam dwukrotnie w maju i sierpniu ub. roku. Występowałam tam z półrecitalami polskich pieśni i arii operowych; Chopin, Szymanowski, Żeleński, Moniuszko. Akompaniowała mi znana warszawska pianistka Elżbieta Sukniewicz, która wykonywała utwory Chopina. Występowałam w styczniu ub. roku w Salzburgu śpiewając program oparty na utworach Wolfganga Amadeusza Mozarta, począwszy od muzyki sakralnej poprzez pieśni do partii operowych. Twórczość Mozarta jest mi szczególnie bliska, ponieważ stanowi syntezę tradycji niemieckiej, włoskiej tzw. szkoły neapolitańskiej obejmującej jednocześnie prawie wszystkie ważniejsze ówczesne formy muzyczne. Moje występy w Monachium, Hamburgu i Bonn we wrześniu ubiegłego roku zainteresowały zachodnioniemieckich impresariów, a konsekwencja tego jest kontrakt z Niemiecką Operą Renu w Düsseldorfie...

— „Polskie Nagrania" idą za ciosem i zakończyły już rejestrację Pani pierwszej płyty długogrającej z cyklu „Mistrzowie scen operowych"...

— Jest to tytuł zobowiązujący, a płyta kolejną szansą dla mnie. W połowie grudnia zakończyłam nagrania. Towarzyszyła mi znakomita orkiestra Polskiego Radia i Telewizji pod dyrekcją Włodzimierza Kamirskiego, jednego z najwybitniejszych — jak sądzę — współczesnych polskich dyrygentów. Obliguje mnie to podwójnie. Na longplayu znajdą się arie operowe kompozytorów włoskich i francuskich m.in. aria Violetty z I i III aktu „Traviaty", aria Manon z opery „Manon", walc Julii z „Romea i Julii", aria Gildy z „Rigoletta", Mimi z „Cyganerii" i in. Bardzo się cieszę z możliwości nagrania tej płyty. Jest to dobra prognoza na przyszłość.

— I nie żal Pani opuszczać łódzkiego Teatru Wielkiego?

— Najbardziej jest mi trudno rozstawać się z moją małą Agnieszką. Na szczęście Agnieszka pozostaje pod dobrą opieką... Zresztą pracę w RFN traktuję jako kolejny i potrzebny etap wzbogacający moje doświadczenie wokalne i aktorskie, daje mi ona możliwość konfrontacji artystycznej i pracy z ludźmi, od których mogę się jeszcze dużo nauczyć.

— A więc w konkluzji naszej rozmowy: wykształcenie, praca i talent to najprostsza formuła sukcesu. Czyż taka jest Pani dewiza?

— Do tej formuły należy dodać jeszcze przysłowiowy łut szczęścia. Nie ma oczywiście żadnej recepty na sukces, ale sądzę, że rację ma Andrzej — mój mąż — wyznając życiową zasadę: podnoszenie poprzeczki coraz wyżej i unikanie kompromisów. Wtedy łatwiej jest żyć w zgodzie z samym sobą i z własnym credo artystycznym. Przyznam się szczerze, choć brzmi to jak paradoks, że unikanie kompromisów spowodowało, że podjęłam pracę w RFN, chociaż uważam, że moje miejsce jest tutaj w kraju!

— Dziękujemy za rozmowę i życzymy Pani sukcesów na scenach operowych świata.

Rozmawiał:
JERZY WILMAŃSKI

SZLACHETNE ZABAWY W ŻYCIE

Na dwóch poważnych imprezach filmowych: Lubuskim Lecie Filmowym w Łagowie i Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdańsku — wyróżniono nagrodami za role dla młodych aktorów:

— KRZYSZTOFA JANCZARA w Gdańsku nagrodą „Srebrnej plakietki" za rolę Tolka Maliniaka „Bicza" w filmie „Nie zaznasz spokoju" w reż. Mieczysława Waśkowskiego.

— MIROSŁAWA KONAROWSKIEGO nagrodą „Złotego Grona" i tytułem „Gwiazdy filmowego sezonu 77/78 za rolę Tadeusza Zawadzkiego „Zośki" w filmie „Akcja pod Arsenałem" reż. Jana Łomnickiego.

KRZYSZTOF JANCZAR — absolwent PWSFTViT w Łodzi — debiutował jako nastolatek rolą Pawła w serialu TV — „Wojna domowa". Zagrał na dużym i małym ekranie 9 ról. Stworzył w nich charakterystyczny typ młodego, przeciwstawiającego się współczesnej rzeczywistości, chłopaka, mającego jednocześnie konflikty z samym sobą. Role, które zagrał to postacie interesujące i choć swoimi odruchami wzbudzają wiele kontrowersji, są przeważnie autentyczne, szczere, często wzruszają, skłaniają do zadumy i refleksji. Krzysztof Janczar jest aktorem Teatru Narodowego w Warszawie.

— Najpoważniejszą Pana rolą filmową był „Bicz" z „Nie zaznasz spokoju"? — pytam aktora.

— Jedną z najważniejszych cech w zawodzie aktora — moim zdaniem — jest umiejętność obserwacji. Uczyłem się w Zasadniczej Szkole Zawodowej na Woli i w Technikum Mechanicznym na Pradze. Doświadczenia z tego okresu wykorzystałem w pracy nad postacią „Bicza". Film jest o przeciętności, w której ginie forsowana za wszelką cenę indywidualność. Zagrałem chłopaka, który jest łobuzem. Broniłbym go o tyle, o ile otoczenie nie dało mu szansy znalezienia wzorca. „Bicz" przegrywa, bo wytyczył sobie błędny kodeks moralny. Rozpętał aferę, której nie był w stanie zatrzymać. Nikt mu zresztą nie pomógł a takim ludziom potrzebna jest pomoc.

— Czy Pan wie jaki jest odbiór tego filmu?

— Reakcje widzów są dobre. Początkowo półaprobatyczny chichot na odzywki „Bicza", później napięcie i oczekiwanie — co będzie dalej? Wreszcie niepokój, że ta okrutna zabawa może, zmienić się w tragedię. Mam nadzieję, że ten niepokój pozostaje...

— Jakie ma Pan plany na najbliższą przyszłość?

— Po blisko półtorarocznej przerwie zagram jedną z głównych ról w najnowszym filmie Mieczysława Waśkowskiego „Huragan" według książki Wacława Gąsiorowskiego pod tym samym tytułem. Będzie to film dla kina i serial telewizyjny.

— Mówi się, że utalentowanemu aktorowi nie potrzebna jest szkoła. Co Pan o tym sądzi?

— Cztery lata nauki w szkole teatralnej to bardzo długi okres. Ale w tym czasie za mało robi się, aby aktora wykształcić na wysoko wykwalifikowanego praktyka. Za mało w szkole jest praktyki. Ale swoje studia w Łodzi wspominam jako wspaniały okres w moim życiu. Nauczono mnie szacunku do pracy, wyrobiono we mnie niedosyt tego, co się robi i świadomość, że można coś zrobić jeszcze lepiej, dokładniej. Miałem wspaniałych opiekunów w osobach Witolda Zatorskiego i Henryka Jóźwiaka.

Krzysztof Janczar

— Mówi się też, że praca w filmie i telewizji szkodzi młodym aktorom, przeszkadza im w rozwoju i kształtowaniu ich osobowości scenicznej.

— Teatr, telewizja i film to trzy technicznie różne rodzaje sztuki aktorskiej. Praca w filmie czy telewizji stawia inne wymagania, co do sposobu przekazu aktorskiego, ale nie zmienia podstaw, ani celu tego przekazu. Sprostanie tym wymaganiom nie powinno szkodzić w kształtowaniu osobowości scenicznej, powinno natomiast ułatwić zdobycie nowych umiejętności, wzbogacać warsztat i zmuszać do poszukiwania nowych środków wyrazu.

— Co robi Pan poza filmem?

— Na scenie Teatru Narodowego grałem księcia Troilusa w sztuce „Troilus i Kresyda" Szekspira, obecnie gram jednego z więźniów w „Dziadach" Mickiewicza w reż. Adama Hanuszkiewicza. Przygotowałem monodram złożony z wierszy Juliusza Słowackiego — „Ziarnem Polski być". Towarzyszy mi znakomita polska harfistka — Urszula Mazurek. Sam dokonałem wyboru poezji, sam ten program wyreżyserowałem i sam wykonuję go w Teatrze „Stara Prochownia" w Warszawie.

Mam nowe propozycje filmowe, ale jeszcze za wcześnie o nich mówić... A w ogóle to chciałbym być podróżnikiem.

MIROSŁAW KONAROWSKI — absolwent PWST w Warszawie — na ekranie debiutował jako maturzysta w filmie „Jezioro osobliwości", reż. Jana Batorego. Stworzył typ bohatera pozytywnego. Uprawdopodobnił grane postacie i przekonał, że i tacy chłopcy mogą istnieć. Jest aktorem Teatru Narodowego w Warszawie.

— Ponosił Pan dużą odpowiedzialność wcielając się w historyczną postać bohatera.

— To była duża odpowiedzialność. Żyją przecież ludzie, którzy pamiętają ten okres i zdarzenia. Starałem się zdobyć jak największą ilość wiadomości o Tadeuszu Zawadzkim, którego miałem grać. Reżyser skontaktował nas z uczestnikami wydarzeń: z Kaczyńskim „Wesołym", Broniewskim „Orszą", z Hanną Zawadzką, siostrą Tadeusza. Opowiedzieli oni nam jacy byli ci chłopcy z „szarych szeregów" i jak to wyglądało. Niepokoiłem się, że to za piękne, taki monolit. Ale tacy byli. Moim zadaniem stało się zachowywać się tak jak „Zośka". Wnikliwie zagłębiłem się w lekturę książki „Kamienie na szaniec".

— Coraz częściej spotykamy Pana w telewizji, w teatrze. Gdzie czuje się Pan najlepiej?

— Lubię pracę w filmie i telewizji, ale preferuję teatr, który uważam za podstawę i bazę, gdzie aktor ma szansę rozwoju. Uważam, że film i telewizja przeważnie są wyzyskiwaczami doświadczeń aktorskich, które zdobywa się w teatrze, a nie ich ofiarodawcami.

Mirosław Konarowski

— A czy można mówić o odrębności aktorstwa filmowego i teatralnego?

— Nie widzę różnicy między aktorstwem filmowym a teatralnym. Są tylko różne sposoby pracy. Istota aktorstwa w filmie, teatrze i telewizji pozostaje niezmieniona. Różny jest tylko odbiór.

— Co Pana najbardziej cieszy w tym zawodzie, a co denerwuje i męczy?

— Aktorstwo jest dla mnie szlachetną zabawą w życie, poszukiwaniem w sobie stanów emocjonalnych, które w życiu prywatnym mogą się nie pojawić. Denerwuje mnie niemożność porozumienia z partnerem i sytuacje, w których mnie samemu brakuje umiejętności przełamania bariery w porozumieniu z drugim człowiekiem.

— Co sądzi Pan o popularności?

— Popularność nie jest dla mnie istotną sprawą. Chciałbym, aby uznawano moje aktorstwo. Teraz mogę mówić tylko o tym, że się dobrze zapowiadam, o bardziej lub mniej wiarygodnym tworzeniu postaci. Cenię ogromnie aktorstwo Zbigniewa Zapasiewicza, jego aktorską osobowość. Do tego dochodzi się latami pracy. Chciałbym więc dużo grać i przede wszystkim w teatrze.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

bez wyroku

Zbigniew S. Nowak

Trzy grube tomy akt. Trzech oskarżonych. Trzy zupełnie różne, acz bardzo podobne i równie prawdopodobne wersje wydarzeń. Trzy rozprawy sądowe. Trzech winnych? Trzech niewinnych? „Kryminał" — do trzeciej potęgi...

1.

5 sierpnia 1977 r., w miejscowości Münchendorf (okręg Poczdam), funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa poddali ścisłej kontroli samochód marki „Warszawa", którym jechali w kierunku Magdeburga trzej łodzianie: Lesław K., Jan S. i Roman C. Podczas kontroli samochodu ujawniono ukryte pod jego tylnym siedzeniem oraz rozmieszczone między siedzeniami — 38,3 kg srebra w 10 sztabach i 1.311 sztuk różnych srebrnych monet w rulonach o łącznej wadze ok. 15 kg.

Prokuratura Okręgowa w Poczdamie wszczęła postępowanie karne przeciwko zatrzymanym, zaś organa celne NRD orzekły przepadek zakwestionowanego srebra, a także samochodu stanowiącego własność Lesława K.

2.

Dane z kartoteki:

JAN S. — urodzony 16 marca 1943 r. Pochodzenie robotnicze. Wykształcenie średnie, technik samochodowy. Właściciel taksówki zarobkowej. Żonaty, dwoje dzieci. Nie karany. Zamieszkały w Łodzi...

Lesław K. — urodzony 28 lutego 1950 r. Pochodzenie robotnicze. Wykształcenie zasadnicze zawodowe, mistrz elektromechanik. Właściciel taksówki zarobkowej. Żonaty, bezdzietny. Nie karany. Zamieszkały w Łodzi...

ROMAN C. — urodzony 17 kwietnia 1948 r. Pochodzenie robotnicze. Wykształcenie średnie, technik budowlany Właściciel taksówki zarobkowej. Żonaty, jedno dziecko. Nie karany. Zamieszkały w Łodzi...

Wszyscy w miarę ustabilizowani, żadne tam niebieskie ptaki. Wszyscy pracujący. Koledzy. Taksówkarze.

3.

Zatrzymani, w wyjaśnieniach składanych w toku postępowania prowadzonego przez Wydział Ścigania Przestępstw Celnych Okręgowego Zarządu w Poczdamie utrzymywali że zarówno srebro w sztabach, jak i monety znaleźli w lesie na terenie NRD, w czasie postoju po przekroczeniu granicy państwowej w Świecku. Nie przyznali się do zarzucanego im przemytu.

Eksperci ustalili, że zakwestionowane srebro w sztabach pochodzi z przetopu monet, srebrnego sprzętu, biżuterii i innych przedmiotów korpusowych. Stwierdzono, że poszczególne sztaby zawierają od 58 proc. do 95 proc. czystego srebra. To znaczy, iż przetopu dokonywano niejednocześnie, wielokrotnie w sposób ciągły.

Jeśli idzie o monety, biegły Edwin W. orzekł, iż nie stanowią one żadnego zbioru kolekcjonerskiego, a duża ich ilość wskazuje na ich handlowe, spekulacyjne przeznaczenie. Wartość monet określono na 24.883 marki NRD, zaś srebra w sztabach — na 17.502 marki.

4.

Prokurator Okręgu Poczdam miał oczywiście inne zdanie na ten temat, akurat przeciwne, tyle że bez formalnego pokrycia, bowiem przestępczą trójkę zatrzymano nie na granicy, lecz już na terenie NRD.

Wobec różnicy zdań zarządzono eksperyment śledczy, mający na celu sprawdzenie zeznań zatrzymanych co do rzekomego znalezienia srebrnego skarbu. Eksperyment przeprowadzony 30 września 1977 r. nie potwierdził wersji podanej przez zatrzymanych, ale też nie wykluczył możliwości faktycznego „znaleziska". Żaden z trójki zatrzymanych nie potrafił dokładnie wskazać miejsca znalezienia srebrnych walorów.

5.

Pismem z dnia 20 października 1977 r. Prokurator Okręgu Poczdam przekazał Prokuraturze Wojewódzkiej w Łodzi sprawę przestępczej trójki.

6.

Polskie władze ostro wzięły się za przemytników. Sprawa od razu ruszyła z miejsca.

10 listopada 1977 r. Lesław K. i Roman C., składając wyjaśnienia przed Prokuratorem Rejonowym w Słubicach oświadczyli, że srebro i monety znalazł w lesie na terenie NRD Jan S., a przynajmniej tak rzecz przedstawił swoim kompanom, których przy tym nie było, bo akurat wybrali się do pobliskiej restauracji.

Jan S. zeznał natomiast, że srebro nie zostało znalezione, lecz przemycał je w swoim samochodzie Lesław K.

7.

15 listopada Lesław K. i Roman C. zmienili zeznania. Tym razem oskarżyli o przemyt Jana S. Wyjaśnili przy tym, iż poprzednią wersję sprawy podali namówieni do tego przez Jana S., który zapewniał ich, że jeśli tak uczynią on zwróci Lesławowi K. 100 tys. zł, za skonfiskowany samochód, pokryje należności za obronę kompanów, ponadto zrekompensuje utracone przez nich zarobki.

8.

17 listopada Lesław K. zeznał, że Jan S. ukrył w jego samochodzie kilka paczek przed wyjazdem do NRD. Lesław K. był przekonany, że są to tylko jakieś kosmetyki.

9.

21 listopada 1977 r. Jan S. oskarżył Lesława K. o przemyt srebra i podstępne wciągnięcie do tej brudnej sprawy jego i Romana C., zupełnie niewinnych. Roman C. potwierdził tę wersję.

10.

Lesław K. podał następnie kolejną, bogatą w szczegóły wersję przebiegu wydarzeń.

Otóż na przełomie lipca — sierpnia 1977 r. Jan S. zaproponował mu wspólny wyjazd do NRD, jego samochodem, zobowiązując się pokryć w całości koszty przejazdu. Lesław K. był nieco zdziwiony tą propozycją, ponieważ Jan S., również taksówkarz, także posiadał własny samochód — „Warszawę" na taryfie, a poza tym prywatnego „Mercedesa". Ale Jan S. wyjaśnił mu, że jego „Warszawa" nie wytrzyma trudów tak dalekiej podróży, a „Mercedes" jest akurat „nie na chodzie", on sam zaś chce właśnie podczas tej podróży „wyskoczyć" z NRD do Berlina Zachodniego i kupić części do niesprawnego „Mercedesa". Lesław K. dał się ostatecznie przekonać i przystał na wyjazd.

Podczas kolejnej rozmowy Jan S. dodał też słów parę o drobnej kontrabandzie, rzekomo dla zarobienia za granicą kilku marek na zakup części do „Mercedesa". Za tę drobną przysługę obiecał koledze odpowiednie wynagrodzenie.

4 sierpnia 1977 r., wczesnym rankiem, Lesław K. wprowadził swój samochód do garażu Jana S. Tamten, przy pomocy kolegi, ukrył w otworze ramy pomocniczej samochodu kilka paczek. Pakunki owinięte były w papier, oklejone taśmą ponadto miały przymocowane długie taśmy. Sposób opakowania i rozmieszczenia paczek w ramie samochodu gwarantował dobre ukrycie i szybkie wyjęcie towaru ze schowka już za granicą.

Tego samego dnia, około godz. 23.00, wyjechali z Łodzi w kierunku przejścia granicznego w Świecku. Jan S. zabrał jeszcze jednego kolegę, Romana C., rzekomo nie wtajemniczonego w sprawę.

Kilka kilometrów przed Słubicami Lesław K. uzupełnił zapas paliwa w samochodzie i przekazał kierownicę Janowi S. Ten w czasie postoju sprawdził raz jeszcze ramę samochodu z ukrytą kontrabandą, a także poinstruował kompanów, jak mają się zachować podczas kontroli granicznej.

Po szczęśliwym przekroczeniu granicy i przejechaniu kilkudziesięciu kilometrów Jan S. zatrzymał samochód na parkingu. Podlewarował wóz i wyjął z ramy paczki. Część ich ukrył pod tylnym siedzeniem samochodu, resztę rozmieścił między siedzeniami. Koledzy pomagali mu w tym. Podczas przemieszczania paczek jedna z nich pękła, ukazując zawartość. Wówczas Jan S. powiedział kolegom, by się zbytnio nie przejmowali, a w razie wpadki zeznali, że on to srebro znalazł w lesie już na terenie NRD.

Po przełożeniu srebra Jan S. polecił Romanowi C. prowadzić samochód w kierunku Magdeburga. Po drodze jednak zadecydował, by zboczyć z trasy do Münchendorfu. Tam zatrzymali samochód na parkingu, przed restauracją „Astra".

Jan S. wysiadł z samochodu i wszedł do restauracji. Kiedy dość długo nie wracał, Lesław K. i Roman C. także udali się do lokalu. Tam zastali kolegę rozmawiającego z nie znanym im mężczyzną, po niemiecku i po polsku.

W pewnej chwili Jan S. pożegnał nieznajomego i wyszedł, zabierając kompanów. W samochodzie wyjaśnił im, że usiłował sprzedać towar, ale kupiec oferował zbyt niskie ceny. Nie dobili więc targu.

Jan S. zadysponował, by jechać dalej, do Magdeburga. Po paruset metrach zostali zatrzymani przez Służbę Bezpieczeństwa NRD. Sypnął ich niedoszły kontrahent.

11.

Jan S. obciążony tak poważnie przez Lesława K. oświadczył, iż to właśnie jego kolega zorganizował cały przemyt. Opowiedział niemal identyczną historię jak jego kompan, tyle że z Lesławem K. w roli głównej. On sam i Roman C. jechali rzekomo tylko dla towarzystwa, w charakterze obstawy.

12.

Roman C. w kolejnych zeznaniach wyparł się absolutnie wszystkiego. Oświadczył, że poprzednie zeznania złożył namówiony do tego przez kolegów. Sam rzekomo o niczym nie wiedział, ani przed wyjazdem, ani później. Nie brał udziału w przemycie ani też w przepakowywaniu towaru już na terenie NRD, z ramy pod siedzenia. W czasie postoju bowiem poszedł na dłużej do toalety. Gdy wrócił, zauważył oczywiście jakieś paczki w samochodzie, ale był przekonany, że jego koledzy w międzyczasie porobili zakupy i stąd te pakunki. Kiedy ich zwinięto, sam był mocno zdziwiony, że chodzi o jakąś kontrabandę.

13.

Na początku stycznia 1978 r. Jan S. i Lesław K. zeznali solidarnie, że przemyt srebra zorganizował Roman C. Oni tylko trochę mu pomagali.

14.

5 maja 1978 r. odbyła się pierwsza rozprawa. Trzech oskarżonych. Trzy różne, choć podobne wersje sprawy. Pomieszanie faktów, plątanina zeznań, wzajemne oskarżanie. Kompletny młyn.

Powołany w sprawie biegły z zakresu numizmatyki mgr Apolinary D., kustosz Działu Numizmatycznego Muzeum Archeologicznego, w wydanej opinii stwierdził, że wywiezione monety poza wartością historyczną, naukową i artystyczną, posiadają wielką wartość kolekcjonerską. Wywóz tego rodzaju monet wymaga zezwolenia Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków. Wartość monet biegły wycenił na 231.760 zł.

Opinia polskiego biegłego różniła się więc poważnie od zawartej w aktach sprawy oceny niemieckiego specjalisty. Przy tym kustosz dysponował jedynie opisem zakwestionowanych monet, a nie oryginałami, bo te pozostały w NRD. Obrońcy oskarżonych oczywiście natychmiast zaatakowali ten słaby punkt aktu oskarżenia.

Podobny problem wyłonił się przy wycenie srebra w sztabach. Według obowiązujących cen skupu złomu srebrnego 1 kg tego metalu o próbie 875—935 kosztuje 3.070 zł. Po takiej cenie złom srebra skupuje np. Centrala Wytwórczości i Handlu „Ars—Christiana". Wartość 10 wywiezionych sztab wyceniono więc na 117.581 zł. Natomiast w NRD obowiązują inne ceny skupu srebra, stąd i tutaj wystąpiły różnice w wycenie.

W przypadku uzyskania zezwolenia na wywóz, należność celna za monety i srebro w postaci nieużytkowej wynosi 80 proc. wartości wywożonych przedmiotów; takie też byłyby straty Skarbu Państwa z tytułu nieuiszczenia cła przez oskarżonych. Tutaj jednak nie sposób było dokonać dokładnych ustaleń.

15.

Koniec lata 1978. Rocznica ujęcia przemytników. Kolejna rozprawa. Znów kołowrót. Znów ta wariacka potrójna karuzela. Same trójki. Trzy tomy akt. Trzech oskarżonych. Trzy co najmniej wersje wydarzeń. Prawo też reprezentowane potrójnie: prokurator, sędzia, obrońca.

Znów kłopoty z ustaleniem szczegółów sprawy, rozwikłaniem wszystkich jej wątków, wyjaśnieniem do końca. Znów przerwa. Znów bez wyroku...

16.

Koniec grudnia 1978. Trzeci termin. Wszyscy mają już absolutnie dosyć tego całego szmuglerskiego kryminału do trzeciej potęgi. Tym bardziej, że tym razem oskarżeni powrócili do pierwszej wersji, jakoby całe srebro, o którym mowa, znaleźli w lesie na terenie NRD. Nie zdążyli nawet jeszcze zastanowić się dobrze, co zrobić z tym nagłym srebrnym skarbem, kiedy ich ujęto. Nie mogą więc odpowiadać za przestępstwo, którego nie popełnili...

Wysoki Sąd udał się na naradę. Narada trwała bardzo długo. Wszyscy w napięciu czekali na jej wynik. Wreszcie poruszenie na sali.

— Proszę wstać, Sąd idzie!

Znów bez wyroku. Ale do czasu...

RYSZARD BINKOWSKI

BÓJKA

Krycha zrzuciła płaszcz i odbiwszy się od ściany, wrzasnęła dziko:

— No, który!? Który pierwszy na wsiadanego?

— A ja! — ryknął ochoczo Tramwajarz rzucając się na siostrę Krychy, uzdolnioną krawcową Czesię.

— Chcesz im zepsuć przyjęcie? — zmitygowała go, szarpiąc za kudły, żona Danuta.

— Miała na uwadze ostatniego kielicha. — szepnęła do Tramwajarza spłoniona Czesia, doprowadzając do porządku rozbebeszony gorset.

— Głodnemu zawsze chleb na myśli — warknęła Danka.

— Przecież muszę cię ubrać — wrzasnął portier Stanisław, usiłując wciągnąć na żonę płaszcz.

Danka ruszyła na pomoc Staśkowi, ubrali Krystynę i wysypali się hurmem z domu. Ślizgając się na oblodzonej jezdni, pociągnęli do krańcowego przystanku MPK w Starowej Górze. W przodzie szły rozochocone kobiety, za nimi toczyli się to na jedynce, to na wstecznym biegu dwaj zawiani mężczyźni.

* ☆ *

Stary Reszko podniósł szklankę i rzekł z wzruszeniem:

— No, za twój powrót. Zbychu! I żeby mi tu nie było zgrzytów. Wiesz, Zbychu, że kocham wszystkie dzieci i nikogo nie skrzywdzę.

— Tak jest! — wrzasnął przypochlebnie Antek małolat, jeden z synów „aktualnej" żony starego Reszki. — My ojca też szanujemy, a Zbycha to kocham jak rodzonego.

Zbyszek, który przyjechał po cywilne ciuchy, ponieważ za tydzień miał wrócić z wojska, był synem „nieaktualnej" żony ojca, ale stary opiekował się szczerze dziećmi z eksmałżeństwa, często przyjeżdżając z Łodzi do Starowej Góry, gdzie mógł swobodnie wypić.

— Tata — szepnął łzawo Zbyszek — ty jesteś gites. Ale jak wrócę, chciałbym się ożenić. Pomożesz?

Reszko wychylił do dna, otarł wąsy i oczy, czknął ze wzruszenia.

— Stary jestem i nękają mnie choroby żołądka, ale wnuków muszę doczekać.

— Ja też się postaram! — wrzasnął lizusowsko Antek.

— Ty ucz się pić wódkę jak człowiek — zgromił go ojczym. — Uchlewasz się, gnojku, zanadto raptownie. Kto cię tego nauczył?

— Wezmę go do lakierni — powiedział Zbyszek. — Wszystkiego się nauczy, roboty nad człowiekiem jednakoż. Będziesz tata miał wkrótce całą kopę wnuków...

— A ja... ja ci pomogę — szepnął przez łzy Reszko.

Wstał chwiejnie i oznajmił surowo, że rozkaz nie gazeta i czas ruszać do woja. Była godzina dwudziesta trzydzieści, kiedy udali się do przystanku. Pierwszy dążył krokiem marynarza stary Reszko, malarz pokojowy, zatrudniony w PKP za fizycznego; pięćdziesiąt metrów za nim prowadzili się w uścisku braterskim lakiernik samochodowy Zbyszek i małolat Antoni.

* ☆ *

O godzinie dwudziestej pierwszej zero zero na miejsce dotarła Krycha na czele rozhuśtanej ferajny. Uściskom, okrzykom radosnym, wylewnościom i przyjacielskim radom nie było końca. Wreszcie pożegnali się, Danka zajęła miejsce w autobusie.

Oddalali się z familijnym przekomarzaniem na ustach, a tymczasem stary Reszko stanął przed drzwiami autobusu i zaczął przepisowo odgaszać papierosa. Tramwajarz, usiłując zająć miejsce w pojeździe, dziabnął go nosem w plecy.

— Czemu stoisz w wejściu, ha? — wymamrotał uprzejmie. — Odsuń się, bo ci przypukam.

I nie czekając na replikę, chwycił Reszkę za kołnierz i zrobił mu karuzelę. Reszko legł jak długi, bo był schorowany na żołądek i całkiem bezsilny. W tym momencie ujrzeli to nadchodzący synowie. W Antku zabulgotała obca synowska krew.

— Czemu niszczysz mi ojca, ty w buzię jechany mundurze? — zapiał nieprzemutowanym głosikiem.

Tramwajarz capnął go za włosy i w dziób!

— Ludzie! Zabili mi męża! — rozdarła się dziko z wnętrza autobusu Danuta. Kierowca przyciszył ją nieco klaksonem, pragnąc tym sposobem rozpędzić walczących. Ale był to niestety sygnał do bardziej zagorzałej walki.

* ☆ *

— Słyszałeś? — jęknęła Krycha robiąc gwałtowny półobrót — MPK gwałci Danuśkę!

Stasiek wyrwał się gwałtownie z rąk kobiet.

— Staśka też zarąbią! — zawyła Krystyna. — Na pomoc, ja nie mogę być wdową!

I rzuciła się w ciemność jak lwica na ratunek przytrzaśniętego w pułapce samca.

A Stasiek już wpadał na oniemiałego Zbigniewa.

Portier odpowiedział szerokim, sygnalizowanym lecz straszliwym sierpowym.

I dopiero wówczas nawiązała się prawdziwa walka. Bracia łomotali Tramwajarza i Staśka, ci zaś bili srogo, z zaciętością braci. Stary Reszko leżał na ziemi i nabierał sił, słabym głosem dopingując walczących synów. Kierowca grał na klaksonie, Danka zaś klęczała w drzwiach autobusu modląc się za pomyślność swoich.

Natenczas do akcji wkroczyła rozjuszona Krystyna, ciągnąc za sobą niezbyt dzielną krawcową.

* ☆ *

Czesława stanęła z boku, starając się wyśledzić w ciemności rysy twarzy napastników, natomiast Krystyna wpadła w samo oko cyklonu, albowiem wydawało jej się, że w autobusie leży martwy Tramwajarz, jej męża zaś trzech osobników ciągnie w gęste krzaki i zaczyna wbijać obcasami w zamarzniętą ziemię.

Tego, jak walczy w furii i bluzga zapita niewiasta, nie opisze żadne najzdolniejsze pióro!

Odepchnął ją Tramwajarz, usunął z drogi, żeby nie przeszkadzała w walce własny mąż, machali wokół jej głowy pięściami szarżujący w zapamiętaniu bracia, ale ona uparcie dążyła do unicestwienia, albo przynajmniej odpędzenia groźnych napastników.

W pewnym momencie poczuła straszliwy ból kciuka, potem ktoś ją zajechał prostym w okolice łuku brwiowego; upadła i straciła przytomność.

Kierowca zatrąbił długo, przeciągle i na ten dźwięk wszyscy naraz zaprzestali walki, ładując się do autobusu. Krystyna nie czuła bólu, choć z palca buchała jej krew. Był złamany, z żywego mięsa wystawała kość. Nadal wydawało się jej, że na podłodze autobusu leży sztywny Tramwajarz. Ale do tego jeszcze nie doszło...

* ☆ *

Stasiek łupnął Zbyszka, a ten w zamieszaniu znokautował Tramwajarza, który dopiero teraz zesztywniał, rozciągnięty na podłodze.

— Zabili go drugi raz! — wrzasnęła Danka.

— Panowie, mam jechać? — zapytał wesoło kierowca.

— Jechać, jechać!

— Z trupem nie pojadę!

Portier Stasiek uklęknął i zaczął masować Tramwajarza, który po pięciu minutach odzyskał przytomność.

Kierowca zamknął pneumatyczne drzwi i nie zatrzymując się na przystankach, zawiózł wszystkich na VI Komisariat MO w Łodzi, skąd dzielną Krychę pogotowie zabrało do szpitala w Zgierzu. Tam ją zagipsowali i przez czterdzieści dni nie sprzedawała prasy.

Zanim pozostali doliczyli się ilości obrażeń, rozbitych warg, naruszonych żeber, sińców i otarć naskórka oraz straconych dniówek, Zbyszek zdążył się ożenić i począć dla dziadka wnuka. Ale co zebrał czepkowego, nie wyda na chrzciny, ponieważ musi bulić kilka odszkodowań.

A wszystko przez polską wylewność (monopolową), gościnność, sentyment do wojska, uprzejmość i nadmierne przestrzeganie przepisów. Gdyby bowiem po przyjęciu Krycha puściła gości samopas, Reszko zaś nie odprowadzał syna i nie gasił peta przed wejściem do autobusu, Tramwajarz nie musiałby go uprzejmie przepraszać i nie byłoby żadnego mordobicia ani łamania kciuków.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

IRAN, NAFTA, ISLAM

CZĘŚĆ I. IRAN 78

Przez 12 lat premierem rządu w Iranie był Amir Abbas Howejda. Mogło się wydawać, że jego pozycja jest niewzruszona. Aż w sierpniu 1977 roku Szach Mohammad Reza Pahlavi dokonał zmiany na stanowisku premiera. Nowym premierem został Dżamszid Amuzegar.

Dżamszid Amuzegar jest z wykształcenia prawnikiem i inżynierem. Prawo ukończył w Teheranie, inżynierię sanitarną i hydrotechnikę w Cornell University w Waszyngtonie, gdzie był wykładowcą, a później ekspertem ONZ. Był też doradcą Szacha do spraw technicznych, ministrem, zajmował się sprawami nafty. Był sekretarzem generalnym jedynej partii politycznej w Iranie — Raztachiz, Partii Odrodzenia Narodowego, której członkiem praktycznie musiał być każdy Irańczyk.

Dlaczego szach musiał dokonać zmiany na stanowisku premiera i dlaczego wybór padł na Dżamiszada Amuzegara? Powód był bardzo prosty. Powiedział o tym deputowany do parlamentu Gholan Reza Achlaqpur:

— Rząd doznał porażek w realizacji większości swych programów i planów... Utracił kontrolę nad sytuacją... Fatalna sytuacja, jeśli chodzi o wodę, oświatę, rolnictwo, przemysł — wszystko razem przyniosło gospodarce narodowej straty nie do powetowania.

I Dżamszid Amuzegar miał wyprowadzić Iran z trudnej sytuacji. Ale mu się to nie udało. W styczniu 1978 roku doszło w świętym mieście Qum do krwawych starć demonstrantów z wojskiem.

DEMONSTRACJE WYBUCHŁY W IRANIE znacznie wcześniej. 28 listopada 1977 roku oficjalna agencja prasowa PARS opublikowała komunikat Ministerstwa Informacji i Turystyki, w którym przyznawano, że **„w ciągu kilku ostatnich dni"** doszło do **„napadu na szereg banków i sklepów, w czasie których wybito wiele szyb"**, a także **„doszło do starć między właścicielami zdemolowanych pomieszczeń"**. Komunikat mówił również o tym, że policja **„została zmuszona do wkroczenia do akcji w celu rozpędzenia chuliganów"**. Z komunikatu tego wynikało, że demonstracje w Teheranie miały wprawdzie charakter antyrządowy, ale urządzili je huligani i faktycznie „nie ma żadnej sprawy". Aliści w jakiś czas później szach — jak głosił oficjalny komunikat — **„nakazał uwolnienie 162 więźniów, w tym 21 skazanych za działalność antypaństwową"**. W sumie od października 1977 roku w Iranie uwolniono 1.080 więźniów, w tym 561 więźniów politycznych.

Na początku stycznia 1978 roku rządowy dziennik „Ettelaat" opublikował artykuł ostro występujący przeciw przebywającemu na emigracji duchownemu szyickiemu, ajatollahowi Rumollahowi Chomeiniemu. W odpowiedzi na to duchowni szyiccy, ulemowie wyprowadzili na ulice świętego miasta Qum demonstrację protestacyjną. Według danych oficjalnych zginęło 6 osób, według danych opozycji ofiar było kilkaset.

Od tego czasu przez Iran nieustannie przewalała się fala demonstracji. Ostrze tych demonstracji zwrócone było przeciw szachowi i jego „białej rewolucji", przeciw nowemu porządkowi, jaki usiłowano wprowadzić w Iranie, odrzucając muzułmańską tradycję Persji, nawiązując do dalekiej starożytności, a jednocześnie w szybkim tempie wprowadzając europeizację tego azjatyckiego przecież kraju.

„Ofiarowuję wam wielką cywilizację" — utrzymywał szach.

Irańscy demonstranci palili banki, kawiarnie, kabarety, kina. W Abadanie spalono kino „Rex", w którym żywcem spłonęło 377 osób.

Pewien młody Irańczyk powiedział francuskiemu dziennikarzowi:

— Trzeba podpalać banki, kina i kabarety. Bank bowiem to symbol kapitalizmu, a lokale rozrywkowe to zgorszenie. To wy, ludzie z Zachodu przynieśliście ze sobą ów zdradliwy podarek. Nie chcemy go.

We wrześniu 1978 roku, kiedy przez Iran przewalała się kolejna fala demonstracji, kiedy Irańczycy wychodzili naprzeciw czołgom z kwiatami i modlitwą szach Iranu utrzymywał w wywiadzie dla „Paris Match":

— Robotnicy nie urządzają strajków.

Ale i strajki nie ominęły Iranu. Strajkowali robotnicy wielu fabryk, pracownicy przemysłu naftowego, strajkowali kupcy, lekarze, dziennikarze, pracownicy linii lotniczych. Zamknięte były uniwersytety i szkoły. Zmieniali się premierzy, ogłoszono stan wyjątkowy, do władzy doszli wojskowi. 6 listopada 1978 roku premierem rządu w Iranie został generał Gholan Reza Azhari, szef sztabu wojskowego. Były premier Amir Abbas Howejda został aresztowany.

Jeszcze w czerwcu 1978 roku szach Iranu twierdził w wywiadzie udzielonym przedstawicielowi „The Sunday Times":

— To, co garstka biednych, ciemnych ludzi zrobiła w Tabrizie, nie ma żadnego znaczenia. Później 300 tysięcy osób wzięło udział w mityngu partii w Tabrizie. Ludzie naprawdę pragną okazać swe oddanie. Przyczyną kłopotów jest czarna reakcja i czerwoni rewolucjoniści działający wspólnie, ponieważ łączą ich wspólne interesy — zahamowanie postępu kraju.

Ów mityng partii zorganizowany był przez Rastachiz. „Czarna reakcja" — to fanatycy muzułmańscy i elementy konserwatywne. „Czerwoni rewolucjoniści" — to elementy skrajnie lewicowe. Ale to wcale nie oddaje istoty sił społecznych Iranu, które wystąpiły przeciw władzy szacha.

9 stycznia 1963 roku na odbywającym się w Teheranie Kongresie Rolników i Spółdzielców Mohammad Reza Pahlavi ogłosił 6 punktów **„białej rewolucji"**. Rewolucję tę nazywano królewską, a później **„rewolucją szacha i ludu"**. Początkowych 6 punktów rozrosło się do 17. Obejmowały one:

— reformę rolną, upaństwowienie lasów i pastwisk,
— emancypację kobiet,
— przyznanie prawa robotnikom posiadania udziałów w zyskach fabryk, w których pracują,
— utworzenie korpusów: oświaty, zdrowia i rozwoju, których celem było zwalczanie analfabetyzmu i rozwijanie oświaty, tworzenie systemu służby zdrowia oraz ochronę i ulepszanie środowiska naturalnego,
— wprowadzenie bezpłatnego odżywiania i opieki nad dziećmi do 2 lat,
— wprowadzenie bezpłatnego nauczania, powszechnych ubezpieczeń zdrowotnych,
— upaństwowienie zasobów wodnych.

W 1971 roku w Persepolis odbyły się wielkie uroczystości dla uczczenia 2500 rocznicy założenia monarchii perskiej przez Cyrusa II. Fakt ten odczytany został jako próba przekreślenia muzułmańskiej tradycji Iranu. Zmieniony został kalendarz, wrócono do dawnego kalendarza perskiego.

DYNASTIA PAHLAVI liczy sobie 53 lata. 25 kwietnia 1926 roku Reza Chan koronował się na cesarza wówczas jeszcze Persji, a jego syn Mohammad Reza został następcą tronu. W 1976 roku uroczyście obchodzono w Iranie półwiecze panowania dynastii Pahlavi. Jak na dwu i pół tysiącletnią tradycję monarchii perskiej okres panowania Pahlavi był niezwykle skąpy. Stąd tendencje do szukania analogii w czasach tak bardzo odległych. Starożytni Persowie stworzyli potężne państwo. Mohammad Reza Pahlavi zapowiedział, że **„Iran zostanie piątym mocarstwem"**, że będzie „Japonią Środkowego Wschodu".

W 1973 roku nafta stała się bronią strategiczną. Kraje arabskie i inne zrzeszone w OPEC wstrzymały dostawy ropy naftowej. Europie i Ameryce groził kryzys energetyczny. Zgodzono się płacić takie ceny, jakie sobie kraje naftowe zażyczą. Do skarbców Arabii Saudyjskiej, Iraku, Iranu, Kuwejtu, Zjednoczonych Emiratów Arabskich i innych krajów należących do OPEC zaczęły płynąć petrodolary. Okazało się, że kto posiada petrodolary, ten może wszystko kupić. Nadzieja na uczynienie z Iranu „piątego mocarstwa" stawała się coraz bardziej realna.

Iran zaczął tworzyć wielki przemysł. Budowano stalownie, cementownie, cukrownie, fabryki samochodów, telewizorów, lodówek. Kupowano technologie, licencje, sprowadzano z zagranicy specjalistów. Ale jednocześnie Iran zbroił się. W 1970 roku na cele wojskowe wydano 961 milionów dolarów. W cztery lata później już 5,6 miliarda dolarów. W planie na 1978 rok przewidziano na wydatki wojskowe 59,2 mld dolarów.

Im bardziej kraj nasycał się nowoczesnymi technologiami, im więcej powstawało fabryk, im bardziej rozbudowywał się przemysł, im nowocześniejszy sprzęt docierał do irańskiej armii, tym bardziej potrzebni byli zagraniczni specjaliści. Coraz więcej w Iranie było amerykańskich doradców. Nic więc dziwnego, że w drugiej połowie 1978 roku amerykańską ambasadę w Teheranie musiały bronić kordony wojska. Cudzoziemcy w Iranie przestali być mile widziani, a przede wszystkim Amerykanie.

BUDOWANIE „WIELKIEJ CYWILIZACJI" naruszyło społeczne struktury kraju. Przemysł zaczął zagrażać bazarowi, groził ruiną średnim i drobnym kupcom. Bazar w Iranie nie jest tylko miejscem handlu, to swego rodzaju instytucja, tradycyjnie osadzona w społecznej strukturze tego kraju, mająca swoje zwyczaje, swoją politykę, upodobania. Rozwój przemysłu i handlu naruszył tę instytucję, naruszył strukturę bazaru. Stał się dla niego zagrożeniem. Burzył pewien tradycyjnie ustanowiony porządek. I bazar wypowiedział wojnę władcy.

Foto: Archiwum

W trudnej sytuacji znalazło się również rolnictwo. Reforma rolna zniosła wielką własność na wsi, ale nie dała rolnikom środków niezbędnych do uprawiania ziemi. Zaczęła się wyludniać wieś irańska. Zaprzestano uprawiać ziemię. Zaludniły się natomiast miasta. Teheran w ciągu kilku lat stał się 5-milionowym miastem, ale tylko część jego mieszkańców mieszka w północnych rejonach, gdzie wśród ogrodów stoją wille bogaczy, reszta gnieździ się w południowych rejonach, gdzie nie ma ani klimatyzacji, ani kanalizacji, ani wodociągów, ani niczego innego, co może zapewniać znośne warunki życia. Przeciw tak pojętej reformie rolnej wystąpiło szyickie duchowieństwo. Ajatollah ze świętego miasta Qum — Szariat Madari powiedział na pytanie dziennikarza z „Der Spiegel": — „...odrzuca pan reformę rolną, nakazaną przez szacha?"

— Nie, reformę rolną, która pomaga ubogim chłopom, witamy z uznaniem. Występujemy przeciwko systemowi przydzielania gruntów posiadaczom, którzy nie mając pieniędzy, sprzętu ani wykształcenia w ogóle nie są w stanie uprawiać swojej roli. Zresztą jest o tym mowa już w Koranie".

Reforma rolna nie przyniosła spodziewanego wzrostu żywności. Przeciwnie. Iran musi coraz więcej żywności importować. Importuje się mięso, ryż, pszenicę, cukier.

Młody Irańczyk powiedział innemu dziennikarzowi:

— Proszę zobaczyć, co zrobili z chelo kabab — naszą narodową potrawą. W ciągu paru lat stała się potrawą umiędzynarodowioną. Mięso pochodzi z Australii, ryż — z Ameryki, masło — z Europy. Tylko somagh — przyprawa dodawana do potrawy — jest jeszcze irańska.

Iran posiada naturalne bogactwo — ropę naftową. Sprzedawanie tej ropy przynosi Iranowi możliwość nadrobienia wiekowych opóźnień. Z Iranu płynie w świat płynne paliwo, ze świata płynie do Iranu cywilizacja. Tylko, że ta cywilizacja jest obcego pochodzenia. Jest to coś darowanego przez świat, niechcianego. W Iranie — mimo Korpusu Oświaty i powszechnego, bezpłatnego nauczania — około 65 procent ludności jest analfabetami. Szybkie tempo cywilizowania Iranu natrafiło na wewnętrzny opór. Ludzie okazali się nieprzygotowani do takiego tempa przemian. Zaczęła narastać wewnętrzna sprzeczność między tym, co przychodziło do Iranu z zewnątrz, a tym, co stanowiło treść życia narodu. Postęp dotknął tylko powierzchni irańskiego życia, nie wynikał z jego wewnętrznych dążeń. Aby ta zewnętrzna powłoka mogła funkcjonować potrzebni byli importowani specjaliści. Pewien amerykański technik, który wiele lat przepracował w Iranie, powiedział angielskiemu dziennikarzowi:

— Gdyby wszyscy cudzoziemcy jutro się wynieśli, wszystko obróciłoby się w ruinę.

A irański poeta:

— Wpychają nam do gardła tę tak zwaną zachodnią kulturę, karmiąc nas na siłę tandetą wszelkiego typu i złymi snami. Ale w głębi serca jestem pewien, że nasz naród tego nie przyjmie... na koniec odrzucimy zły sen. Znajdziemy drogę powrotną do siebie samych.

Do niedawna wszędzie można było spotkać w Iranie portrety cesarza i cesarzowej a także cesarskiej rodziny. Widziałem te portrety w urzędach, bankach, w wielkich magazynach, w małych sklepach, nawet na ulicznych straganach. Niedaleko lotniska w Teheranie wznosi się na niewielkim placu Wieża Shahyad — symbol „białej rewolucji" i perskiej przeszło dwutysięcznej tradycji. W podziemiach irańskiego banku w Teheranie można było obejrzeć nie tylko stosy klejnotów, podarki od zagranicznych władców, jakie otrzymywała Persja, ale też stroje, których koronowali się cesarz, cesarzowa i następca tronu. Mogłoby się wydawać, że Irańczycy uwielbiają swego władcę, który postanowił wyrwać kraj z feudalnego zacofania i uczynić go „piątym mocarstwem". Ale w czasie demonstracji, jakie falami przewalały się w 1978 roku przez Iran, wołano: „Mordebad Schah" — „śmierć szachowi". Domagano się ustąpienia szacha. Armia trwała przy szachu, ale lud irański był mu przeciwny. Przebywający w Paryżu, ajatollah Rumollah Chomeini wzywał szacha do ustąpienia, do obalenia monarchii i utworzenia islamskiej republiki. Mohammad Reza Pahlavi uważał, że Iran jeszcze nie dorósł do demokracji. W wywiadzie dla „Paris Match" mówił on we wrześniu 1978 roku:

— ...jestem jedyną osobą, która ma władzę, siłę i autorytet niezbędny do ustanowienia ustroju demokratycznego...

Uważał wówczas, że:

— ...nie należy przyznawać wszystkich swobód demokratycznych zanim się nie przeprowadzi reform gospodarczych i społecznych.

W kilka miesięcy później okazało się, że tej niezbędnej siły i autorytetu już nie posiada. Nowym premierem rządu został w grudniu 1978 roku Szapur Bachtiar. Jego rząd otrzymał wotum zaufania, ale szach wraz z rodziną musiał wyjechać z Iranu. Formalnie udał się on za granicę na wypoczynek. Po 37 latach panowania zmuszony został do opuszczenia kraju. Władzę — w jego zastępstwie — ma sprawować 9-osobowa Rada Regencyjna.

Irańczycy z radością przyjęli wieść o wyjeździe szacha z Iranu. Agencja Reutera doniosła, że do tych demonstracji radości przyłączyli się żołnierze. Ale spokój w Iranie nie zapanował.

Przebywający w Paryżu Rumollah Chomeini stwierdził, że rząd Szapura Bachtiara jest nielegalnym, gdyż premier przyjął nominację z rąk monarchy. Oświadczył on też, że powołano Radę Rewolucji Islamskiej. Rada ta podjęła już konspiracyjną działalność w Iranie. Jej celem jest ustanowienie w Iranie republiki islamskiej. Ajatollah Chomeini zapowiedział swój powrót do Iranu, nie określając jednak dokładnie terminu. Po powrocie do kraju ma on zamiar powołać tymczasowy rząd islamski.

Obserwatorzy wydarzeń irańskich zastanawiają się, w jakim kierunku się one potoczą? Opozycja, jakkolwiek składa się z różnych ugrupowań, zgodnie występowała przeciw szachowi. Obecnie, kiedy szach znalazł się poza granicami kraju, silniej ujawnią się rozbieżności, które przecież istnieją od dawna. Ajatollah Szariat Madari nie bez racji oświadczył dziennikarzowi z „Der Spiegel": **— Islam i marksizm różnią się w swej istocie. Nie mamy ze sobą nic wspólnego,** odżegnując się tym samym od wszelkich posądzeń o współdziałanie z irańską lewicą. Wśród opozycji w Iranie są ludzie różnych poglądów, nacjonaliści, demokraci, liberałowie, nie tylko nastawieni lewicowo. Przywódca opozycyjnego „Frontu Narodowego", który swego czasu rozmawiał z ajatollahem Chomeini, zgodził się, że wspólne działanie powinno doprowadzić do powstania rządu, który będzie się opierał **„na zasadach islamu, demokracji i niepodległości"**.

Jest jeszcze taka możliwość, że pod nieobecność szacha armia zechce sięgnąć po władzę w obronie monarchii. A poza tym trzeba pamiętać, że są jeszcze sojusznicy Iranu, którym bardzo nie na rękę są zamieszki w tym kraju i zmiana jego polityki zagranicznej, gdyby przypadkiem władza dostała się w ręce polityków zbyt liberalnych lub nawet zwolenników republiki islamskiej. Prezydent Jimmy Carter na ostatniej konferencji prasowej zadeklarował poparcie dla rządu Szapura Bachtiara oraz zaapelował do ajatollaha Chomeiniego, aby powstrzymał się od obalenia tego rządu. Czyli wezwał go do tego, aby zaniechał swych zamiarów przekształcenia Iranu w republikę islamską. Nie wolno bowiem zapominać, że Iran stanowi ważne ogniwo w amerykańskich planach strategicznych, że wiele przemysłów Europy zachodniej i USA realizuje irańskie zamówienia, no i wreszcie, że Iran jest naftowym potentatem. Ale nafta to już osobny temat.

ZNÓW O AMERYKANACH

Chyba trudno o bardziej czytelny przykład ewolucji, jakiej uległa na przestrzeni ostatnich kilku lat kinematografia amerykańska aniżeli film „Rocky" w reżyserii Johna G. Avildsena. W filmie tym jak na dłoni widać nową w stosunku do epoki kontestacji lat 60-tych orientację moralną amerykańskiego społeczeństwa. Kino „made in USA" jest niebywale wrażliwym sejsmografem tamtejszej świadomości i podświadomości zbiorowej; przy czym nie tylko rejestruje jej poruszenia, ale również współprojektuje i stabilizuje jej nowe kształty.

Na czym miałby polegać ów duch nowego czasu odbity na ekranie w ostatnich filmach przybyłych do nas zza oceanu w stosunku do lat znaczonych takimi głośnymi utworami jak „Strach na wróble", „Narkomani", „Kowboj o północy" czy „Sugarland express"? Otóż jeśli tamte filmy wyrastały — traktując problem w wielkim skrócie — z nastroju zwątpienia w amerykańskie ideały wywołanego Wietnamem a przypieczętowanego symbolicznie aferą Watergate, to obecna fala filmowa oddaje próby odbudowania amerykańskiego etosu w oparciu o stare stereotypy, ale przekazane w nowym języku. Historia tamtej kinematografii zna już podobne falowanie psychospołecznej koniunktury, które ekran z dużą dokładnością odzwierciedliło. Chodzi o lata 30-te, których pierwsza połowa upłynęła w klimacie kryzysu, przygnębienia i frustracji widocznej w tzw. „czarnym filmie" sensacyjno-kryminalnym, natomiast ich schyłkowi towarzyszyły obrazy populistyczne zrodzone z nowej, optymistycznej wiary w „american way of life".

Przyjrzyjmy się jednak bliżej przypadkowi wręcz klinicznemu z zakresu nowej amerykańskiej mentalności, jakim jest „Rocky" nagrodzony Oscarem za najlepszy film amerykański w 1977 roku. Sic! Przypadek to tym ciekawszy, że „Rocky" kolejny zakręt tej mentalności obrazuje — pod niejednym względem — w sposób niemal dosłowny. Historia pokazana w filmie wprost symbolicznie wyrasta z biografii jego scenarzysty a zarazem odtwórcy roli tytułowej Sylvestra Stallone. Sukces filmu niemal z dnia na dzień wyniósł tego nikomu dotychczas nie znanego boksera próbującego sił w filmie na gwiazdę pierwszej wielkości. Istotniejsze jednak jest to, że kreacja tytułowego bohatera powstała nie tylko z autentycznego życiorysu, ale również z atmosfery pamiętnej z poprzedniego okresu, która w niczym nie zapowiadała wspaniałego happy-endu.

Oto przed nami Rocky Balboa, tuzinkowy bokser wylany z podrzędnego klubu zawodowego, bo na jego miejsce można wziąć młodszego i lepszego. Rocky jest typowym outsiderem, człowiekiem przegranym, który włóczy się bez celu po przedmieściach Filadelfii w pejzażu pospolitym, pełnym ruder, odpychającym i fascynującym zarazem. Do tego miejsca wszystko co do joty zgadza się z dotychczasową tonacją filmów amerykańskich nostalgiczną i beznadziejną. Jednakże bezcelową egzystencję Rocky'ego nieoczekiwanie zmienia przysłowiowy uśmiech losu. Do wielkiego meczu bokserskiego o mistrzostwo wagi ciężkiej zorganizowanego z okazji 200-lecia Stanów Zjednoczonych murzyński gwiazdor boksu wybiera go na swojego partnera. Zakończenie znamy doskonale, bowiem dalej film zmienia bieg zgodnie z utartym szlakiem tylu innych fabuł na ten temat, filmowych i literackich. Jak się wydaje, Rocky nieprzypadkowo jest bokserem. Ta profesja wyjątkowo idealnie przylega do systemu wartości amerykańskiej ideologii sukcesu. Jest symbolem walki konkurencyjnej, ale walki tyleż bezpardonowej co bezwzględnie uczciwej, bowiem zwycięstwo należy do rzeczywiście lepszego. Rocky wprawdzie nie zwycięża, to nie jest możliwe, bowiem mimo krwawym trudem osiągniętej przewagi nie on jest faworytem w tym pojedynku i nie on może wygrać. Tu przecież chodzi o wielkie pieniądze. Istotniejsze jest zatem zwycięstwo nad sobą, własnym strachem, fizycznym bólem i nieludzkim zmęczeniem. Ważne jest uznanie innych i wyrwanie się z anonimowego, samotnego tłumu. Oto nowa miara sukcesu.

„Rocky" jako mitologiczny produkt amerykańskiej sanacji jest przekazem niezwykle misternie skonstruowanym. Trzeba by bliżej znać propagandowe potrzeby tamtejszej współczesności, aby do końca docenić jego wszystkie walory. Jednym z nich jest sugestywny ton społecznego solidaryzmu, szczególnej wspólnotowej emocji, która skutecznie — jak wolno mniemać — włada zbiorową wyobraźnią. I oczywiście wypracowany do godnej pozazdroszczenia perfekcji „naturalny" tryb opowiadania wyrażony w grze aktorskiej, a raczej sposobie bycia ludzi na ekranie, scenerii, zdjęciach montażu itd. Słowem — we wszystkim, co sprawia, że ta niewiarygodna i sentymentalna historyjka żyje na ekranie pełnią prawdy.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

SPOTKANIE NA GWADELUPIE

Na nieoficjalnym spotkaniu na szczycie na Gwadelupie przywódcy czterech mocarstw zachodnich: prezydent USA J. Carter, premier Wielkiej Brytanii J. Callaghan, prezydent Francji V. Giscard d'Estaing oraz kanclerz RFN H. Schmidt dokonali przeglądu sytuacji międzynarodowej, zatrzymując się dłużej nad wydarzeniami w w Iranie i na Bliskim Wschodzie. Omawiano także kwestie normalizacji stosunków amerykańsko-chińskich.

Spotkanie to wzbudziło szerokie zainteresowanie prasy światowej. Warto podkreślić, iż przywódcy czterech mocarstw zachodnich nie zaprosili na spotkanie swoich najważniejszych partnerów, a przede wszystkim przywódców Japonii i Włoch, którzy dotąd zawsze brali udział w podobnych spotkaniach. Z różnych enucjacji wynika, iż wyrażają oni niezadowolenie i irytację uważając, że pominięcie ich w obradach i podejmowaniu decyzji jest wyrazem lekceważenia ich krajów.

Treść rozmów i osiągnięte porozumienia są osłonięte ścisłą tajemnicą. W związku z tym wielu politycznych obserwatorów wyraża opinię, iż czterej przywódcy państw zachodnich nie chcieli, żeby na zewnątrz przeniknęły informacje o różnicy zdań w kwestiach polityki międzynarodowej. Po zakończeniu spotkania przywódcy czterech mocarstw zachodnich złożyli oświadczenia, które podała do wiadomości amerykańska agencja prasowa Associated Press.

V. GISCARD D'ESTAING.

„Trzymaliśmy się pryncypialnego celu tego spotkania, a była nim polityczna i globalna ocena sytuacji; nie wdawaliśmy się w takie sprawy, jak problemy ekonomiczne i walutowe.

Nie było między nami różnicy zdań przy ocenie sytuacji. Oczywiście istniały rozbieżności w akcentowaniu pewnych aspektów, ale sprzeczności nie było.

Nasze debaty określał dwojaki cel: po pierwsze — umocnienie bezpieczeństwa, i po drugie — osłabienie napięcia na świecie. Sądzimy, iż ocenie rzeczywistej sytuacji w dzisiejszym świecie powinny towarzyszyć próby polepszenia sytuacji międzynarodowej, a przede wszystkim dążenie do odprężenia oraz ograniczenia zbrojeń. Wyraziliśmy nadzieję, iż w niedługim czasie zostanie zawarte porozumienie o ograniczeniu zbrojeń strategicznych. Wreszcie, szczególnie wiele uwagi zwróciliśmy na rozwój stosunków między Północą a Południem".

J. CALLAGHAN.

„Pozwolą panowie, że powiem o jeszcze dwóch sprawach. Po pierwsze — prezydent Carter zapoznał nas z kwestią porozumienia w sprawie ograniczenia zbrojeń strategicznych. Obecnie rozpoczęły się ostatnie etapy tych rozmów. Prezydent zapoznał nas też z analizą sytuacji. Zrozumiałe, iż cały ten proces to nieustanne konsultacje. Ja, jako człowiek zamieszkały po drugiej stronie Oceanu Atlantyckiego, chciałbym żeby doszło do jak najszybszego zawarcia porozumienia i do szybkiej jego ratyfikacji przez oba kraje, tj. Stany Zjednoczone i Związek Radziecki.

Sądzę, że jeśli by porozumienie nie zostało ratyfikowane, byłby to fatalny dzień. Poprzemy wysiłki amerykańskiego rządu, kiedy przedłoży porozumienie narodowi amerykańskiemu. Oczekujemy na kontynuowanie rozmów w sprawie SALT-III, które, jak wierzymy, przyniosą nam korzyści. Chciałbym powiedzieć jeszcze dwa słowa. Przede wszystkim dyskutowaliśmy na temat niektórych zapalnych punktów na naszej planecie. Wzbudzają one głęboki niepokój. Niemniej uważam, że jeśli pominąć te zarzewia ognia wzbudzające poważny niepokój, to ogólna sytuacja na kuli ziemskiej jest obecnie o wiele bardziej zadowalająca — tak ją właśnie określam — o wiele bardziej zadowalająca, niż była dwa lub trzy lata temu. Mówię o tym dlatego, żeby ukazać rzecz w perspektywie.

Wreszcie pragnąłbym powiedzieć, że dość dużo czasu poświęciliśmy omówieniu naszych stosunków z Chinami. Witamy ten kraj we wspólnocie narodów. Ale nie polepszamy naszych stosunków z Chinami kosztem jakiegokolwiek innego kraju.

Nasze stosunki ze Związkiem Radzieckim są dla nas równie ważne, jak nasze stosunki z Chinami. Jednakże nasze stosunki ze Związkiem Radzieckim mają kardynalne znaczenie dla odprężenia, tak bardzo dla nas ważnego w Europie".

J. CARTER.

„Wiele naszych dyskusji dotyczyło regionalnych i globalnych problemów, gdyż istniejące między nami różnice w spojrzeniu na podstawowe kwestie są nieznaczne. Jesteśmy całkowicie zdecydowani jeszcze bardziej umocnić cenne więzy przyjaźni i współpracy w planie wojskowym w interesie ogólnej obrony oraz w planach — politycznym, kulturalnym i ekonomicznym, w interesie pokoju. Naszym zadaniem jest współdziałanie w dziele umocnienia pokoju na całym świecie i z zadowoleniem odnotowujemy, iż w ciągu ostatnich lat umocniła się tendencja do normalizacji stosunków między narodami. Byli wrogowie stają się przyjaciółmi. Potencjalni przeciwnicy starają się unikać przemocy, proponują konsultacje i rozmowy. Wszyscy zgadzamy się co do tego, iż wyjście Chin na zewnątrz, otwarcie drzwi na świat zachodni, było jednym z wydarzeń konstruktywnych. Jesteśmy zdecydowani wpłynąć na taki rozwój wydarzeń, żeby nigdy nie stał się on przeszkodą dla odprężenia oraz żeby go można było wykorzystać w przyszłości, jak mamy nadzieję, jako drogę prowadzącą do jeszcze większego umocnienia naszych przyjaznych stosunków z narodami Związku Radzieckiego".

H. SCHMIDT.

„Ponieważ reprezentujemy kraje należące do tego samego sojuszu jest oczywiste, że bardzo szeroko omawialiśmy problemy bezpieczeństwa w których ogromną wagę miało oświadczenie prezydenta USA, J. Cartera, w sprawie postępu w rozmowach SALT-II. Chciałbym przyłączyć się do mego angielskiego kolegi i także podkreślić, iż z naszego punktu widzenia porozumienie w sprawie SALT-II powinno się stać bardzo ważnym wkładem w stabilizację pokoju na całym świecie. Mam nadzieję na szybkie zakończenie opracowań do tego porozumienia, jak również na szybką jego ratyfikację. Mówiąc z pozycji mego kraju chciałbym podkreślić, że korzystamy z każdej okazji, żeby dać to jasno do zrozumienia wszystkim na całym świecie.

Prezydent Giscard d'Estaing wspomniał już o tym, że omawialiśmy także i inne problemy z dziedziny kontroli zbrojeń, co dało mi okazję do wyrażenia sugestii, żeby osiągnięto również postęp w dziedzinie wzajemnych, zrównoważonych redukcji sił zbrojnych. W związku z tym dyskutowaliśmy także francuską propozycję o zwołaniu europejskiej konferencji w sprawie ograniczenia zbrojeń. Sądzę, iż można by zreasumować tę część naszych rozważań, mówiącą o naszej jednomyślności, iż globalną koniecznością jest stabilizacja równowagi w świecie, a przede wszystkim dalsze odprężenie w stosunkach ze Związkiem Radzieckim, włącznie z ograniczeniem zbrojeń.

Potwierdzając, iż omawialiśmy sytuację w całym szeregu zapalnych punktów współczesnego świata, chciałbym również podkreślić, na co wskazywali poprzedni mówcy, to mianowicie, że wszyscy jesteśmy przekonani o obecnej stabilizacji w świecie, którą uważamy za bardziej umocnioną w porównaniu z sytuacją istniejącą kilka lat temu".

Przywódcy czterech mocarstw zachodnich musieli zadośćuczynić nastrojom międzynarodowej opinii publicznej żądającej pogłębienia procesu odprężenia, a przede wszystkim jak najszybszego zawarcia radziecko-amerykańskiego porozumienia o ograniczeniu strategicznych zbrojeń ofensywnych. Uczestnicy tego spotkania pośrednio uznali rolę Związku Radzieckiego i pozostałych krajów wspólnoty socjalistycznej, jaką one odgrywają w dążeniach do ograniczenia wyścigu zbrojeń, rozładowania międzynarodowego napięcia, utrwalenia pokoju. Przywódcy czterech mocarstw zachodnich byli jednomyślni w zapewnieniach, iż w swoich stosunkach ze Związkiem Radzieckim nie zagrają tzw. chińską kartą. Nie sposób jednak nie zwrócić uwagi na gotowość brytyjskiego premiera J. Callaghana sprzedania Chinom nowoczesnych samolotów myśliwskich w ramach szerszej umowy handlowej

Spotkanie na Gwadelupie, wbrew zapewnieniom ich uczestników, nie usunęło istniejących między nimi sprzeczności, nie usunęło ani złożoności, ani ostrości społecznych, ekonomicznych i politycznych problemów, wobec których stoją dziś kraje świata zachodniego.

JERZY CZECH

Z ŁAMÓW PRASY ŚWIATOWEJ

● Pierwsze informacje były lakoniczne: „W opuszczonej kopalni, niedaleko od Santiago wykryto szczątki ludzkie. W stolicy Chile uważa się, iż są to zwłoki osób aresztowanych z motywów politycznych po zagarnięciu władzy przez juntę w 1973 roku"... Później zaczęto podawać szczegóły. Oto niektóre z nich. Pewien wieśniak zamieszkały na przedmieściach Talagante, miasta leżącego 38 km od Santiago, wyznał na spowiedzi, że widział jak w końcu 1973 roku jacyś ludzie zakopywali zwłoki ludzkie w opuszczonej kopalni „Loncos". Dodał też, iż odkrył w kopalni szczątki ludzkie. Duchowny spytał go czy pozwoli mu naruszyć tajemnicę spowiedzi i przekazać jego wyznanie wyższym władzom kościelnym. Wieśniak wyraził zgodę, ale, obawiając się represji, prosił o zachowanie w tajemnicy jego nazwiska. Duchowny poinformował o tym fakcie biskupa Santiago Enrique Alveara, który powołał komisję w celu ustalenia okoliczności tej zbrodni i przekazał odpowiednie oświadczenie do sądu najwyższego w Santiago, żądając wszczęcia oficjalnego śledztwa.

Miejsce potwornej zbrodni otoczyła policja. Śledztwo prowadzono w tajemnicy. Niemniej, to i owo przeniknęło na zewnątrz. Najpierw odkryto jedno ciało. Później na dnie kopalni odkopano zwłoki jeszcze 4 osób, niektóre z kneblami w ustach. Z części trupów pozostały już tylko szkielety, inne leżą tam chyba stosunkowo niedługo. Ustalono, iż ludzie których szczątki odkryto w kopalni zginęły 3—4 lata temu, tj. po przewrocie wojskowym. W większości szczątków ludzkich znaleziono kule. Ściana skalna, pod którą, prawdopodobnie, odbywały się egzekucje jest poznaczona śladami od pocisków. Ciała pomordowanych ofiar zrzucano na dno sztolni, gdzie je palono i którą następnie zasypano. Z powodu braku tlenu, ten prowizoryczny piec nie funkcjonował sprawnie — w konsekwencji ciała uległy tylko częściowemu spaleniu i mogą być rozpoznane („El Pais" — Madryt, „Der Spiegel" — Hamburg).

● Kurs dolara spadł do niebywale niskiego poziomu, wzbudzając panikę we wszystkich stolicach świata. Na krótko przed tym Senat USA zatwierdził największy budżet wojskowy kraju w wysokości 116,3 miliarda dolarów. Suma ta obejmuje także 3 mld dolarów, przeznaczone na opracowania bomby neutronowej. Przypuszcza się, iż każdego roku na zbrojenia w USA będzie się wydatkować o 10 mld dolarów więcej, niż w roku poprzednim, tak, że w 1983 roku budżet wojskowy USA osiągnie prawdopodobnie sumę 172,7 miliarda dolarów.

Problemy, które rodzi wyścig zbrojeń w USA są oczywiste: wzrost inflacji wynosi 10 proc., deficyt bilansu handlowego sięga 40 miliardów dolarów, 50 wielkich miast amerykańskich znajduje się w stanie upadku i na granicy finansowego bankructwa, 36 milionów obywateli USA żyje poniżej określonej oficjalnej granicy ubóstwa, przestępczość — przede wszystkim wśród młodzieży — przybiera przerażające rozmiary.

W kołach finansowych nie wyklucza się już prawdopobieństwa krachu rynkowego, jaki wybuchł w „czarny piątek" 1929 roku. Tej pogarszającej się z miesiąca na miesiąc sytuacji nie można polepszyć ani przy pomocy najpiękniejszych przemówień, ani tym bardziej przy pomocy bomby neutronowej, czy pocisków z gazem trującym („Deutsche Volkszeitung" — Düsseldorf).

● Po rozmowach, które z przerwami trwały blisko 10 lat, USA i Filipiny zawarły porozumienie o zachowaniu wielkich amerykańskich baz wojskowych w Azji. Na przestrzeni dziesiątków lat wojskowi USA tłumaczyli obecność baz na Filipinach koniecznością „powstrzymywania komunistycznych Chin". Teraz przedstawiciel Departamentu Stanu, T. Reston powiedział, że bazy na Filipinach „mają wielkie znaczenie dla umocnienia amerykańskiej obecności wojskowej na całym Oceanie Spokojnym". („Washington Post" — Waszyngton).

(J.)

■ JUŻ BEZ SZACHA
■ ZNÓW PRZECIW POKOJOWI
■ ZAPOWIEDŹ SPOTKANIA

Mohammad Reza Pahlavi, który przez 37 lat sprawował władzę jako szachinszach (czyli „król królów") w Iranie, **opuścił kraj.** W tak brzmiącym zdaniu nie byłoby niczego nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że do wyjazdu tego nakłoniło go powszechne żądanie społeczeństwa i gdyby były realne perspektywy powrotu. Sprawa przestawia się jednak tak, że choć szachinszach powołał radę regencyjną, co stwarza wrażenie czasowej tylko jego nieobecności, niewielu obserwatorów życia politycznego w Iranie przypuszcza, **aby kiedykolwiek mógł on znów stanąć na czele państwa.** Dzień wyjazdu szacha potwierdza to spektakularnie — w Teheranie i innych miastach wybuchł prawdziwy szał radości, tysiące ludzi wyległy na ulice tańcząc, śpiewając, wznosząc okrzyki zadowolenia. Tak więc **najprawdopdobniej definitywnie dobiegła końca era cesarstwa.** A co będzie po niej?

Konflikt w Iranie nie skończył się. W jakim kierunku będzie rozwijać się teraz — trudno bezbłędnie przewidywać. Rząd Bachtiara może nie przetrwać wstrząsu, filarem kraju bardziej niż kiedykolwiek staje się armia. Komentatorzy są zgodni co do tego, że **wraz z wyjazdem szacha załamał się główny filar bliskowschodniej polityki amerykańskiej** lub — jak to napisał syryjski dziennik rządowy „Tiszrin" — **„rozpadł się wschodni front Zachodu".** Tymczasem Stanom Zjednoczonym wciąż chodzi o irańską ropę naftową i dlatego bardzo obawiają się o dalsze ewoluowanie sytuacji w „niepożądanym kierunku". Stąd różne pogłoski o możliwości „sterowania" wydarzeniami przez Waszyngton z myślą o zapewnieniu swoich interesów. — Wszystko co teraz robimy — oświadczył wiceprezydent Mondale w wywiadzie telewizyjnym — powinno pozostać w tajemnicy, ale dążymy do tego, aby interesy nasze nie doznały uszczerbku. Komentarz chyba zbyteczny...

W kolejności nieco miejsca poświęćmy nowym, zewnętrznym przejawom antypokojowej polityki Pekinu.

W minionym tygodniu dwa fakty zwróciły uwagę: antywietnamska wrzawa, podniesiona przez Chiny, na forum ONZ oraz wspieranie sił reakcji w Afryce.

Powodem pierwszej jest oczywiście upadek reżimu Pol Pota w Kambodży, który wspierany był w różnorodny sposób przez chińskich maoistów. Nikt nie ma wątpliwości, że to właśnie Pekin podżegał Phnom Penh do prowadzenia wojny granicznej z Wietnamem i zapewnił pomoc wojskową w postaci dostaw broni i utrzymywania swych specjalistów w Kambodży. Kiedy w wyniku ofensywy sił patriotycznych dotychczasowy reżim został zniesiony — Chiny w Radzie Bezpieczeństwa oskarżyły Wietnam o agresję.

Równocześnie wyszło na jaw, że **Chiny udzielają poparcia reakcyjnym ugrupowaniom rozłamowym w Afryce,** zasilając je bronią i szkoląc najemników rasistowskich reżimów. Radio południowo-afrykańskie podało w ub. tygodniu, że „Chiny prawie już bez zastrzeżeń popierają każde posunięcie Zachodu w Afryce, stając się jego nieoficjalnym sojusznikiem". Prasa światowa poinformowała natomiast o kilku faktach uzbrajania przez Pekin bojówek rasistowskich.

Sianie niepokoju na Półwyspie Indochińskim i bratanie się z siłami reakcji na czarnym lądzie mają oczywiście na względzie ten sam cel, dla którego maoiści nieustannie prowadzą kampanię antyradziecką.

W wywiadzie dla tygodnika „Time", o którym także za chwilę, Leonid Breżniew mówił m.in., że na Zachodzie podejmowane są próby „ośmielania wszelkimi sposobami i zachęcania przynętami ekonomicznymi, a obecnie również stopniowo dostawami nowoczesnej broni oraz sprzętu wojskowego i technologii" Pekinu po to, aby był on instrumentem polityki NATO i wywierania nacisku na świat socjalizmu. Takie działanie, choćby w świetle przytoczonych powyżej faktów, jest po prostu igraniem z ogniem.

Wywiad sekretarza generalnego KC KPZR żywo komentowany jest jednak przede wszystkim **z uwagi na zawartą w nim ocenę rokowań SALT II.** Breżniew stwierdził bowiem wręcz, że prace nad nowym porozumieniem o ograniczeniu strategicznych zbrojeń ofensywnych „zbliżają się ku końcowi, aczkolwiek trzeba będzie zapewne jeszcze czasu, aby ostatecznie uzgodnić stanowiska". Chcemy wierzyć, że zasada równości i jednakowego bezpieczeństwa, która jest uznawana przez ZSRR i USA za punkt wyjściowy, podpowie właściwe rozwiązania i obaj z prezydentem Carterem będziemy mogli w niedalekiej przyszłości poświadczyć porozumienie swoimi podpisami".

Ten fragment wypowiedzi oceniany jest jako **zapowiedź szybkiego zakończenia rokowań radziecko-amerykańskich i nieodległego spotkania obu przywódców.** Uważa się, że byłaby to okazja do bezpośredniego przedyskutowania również innych światowych problemów i ożywienia dwustronnych stosunków, których stan tak przedstawiony został w wywiadzie. „Powiedzmy wprost, że ogólnie biorąc w ciągu ostatnich paru lat w stosunkach radziecko-amerykańskich niewiele było radosnych momentów..." podczas gdy mogą one być „nie tylko normalne, lecz naprawdę dobre".

W. SŁAWSKI

„MIŁOŚĆ I MEDYCYNA"

Nowa powieść Edwarda Kopczyńskiego rozpoczyna się odejściem Michała Biernata z domu i podaniem sprawy rozwodowej do sądu, kończy zaś — jego powrotem do Barbary. Od odejścia do powrotu mija rok. I można by, zamknąwszy książkę westchnąć z ulgą, iż wszystko dobrze się skończyło, gdyby nie pewne uczucie niepokoju. Wynika ono z niejasnego podejrzenia, że autor albo zlekceważył inteligencję czytelnika, albo też nieświadomie, zmierzając do happy endu, popełnił błędy stawiające pod znakiem zapytania prawdopodobieństwo zarysowanego konfliktu. Rzecz przy tym szczególna. Pojedyncze sceny i epizody noszą znamię pełnej autentyczności, natomiast całość sprawia wrażenie konstrukcji wykoncypowanej ku pokrzepieniu serc i pouczeniu starszych panów. Realia powieściowe ukazują, jakby nie to, czego z ich pomocą chciał dowodzić pisarz. Oczywiście, łatwo zarzut odeprzeć stwierdzeniem o życiu i jego prawach, niewiele mających wspólnego z logiką, oraz o głębiach psychiki, w której najdziwaczniejsze nie powinny dziwić sprzeczności. Ale literatura to zwykle miała na swoją obronę, że próbowała porządkować i wyjaśniać różne zawiłości i paradoksy egzystencji ludzkiej, a przynajmniej ich nie piętrzyć.

Nie usiłując wszakże spierać się z racjami autora „Miłości i medycyny", chciałbym zwrócić uwagę na kreację głównego bohatera i przebieg fabularnych zdarzeń. Po wielu latach wspólnego pożycia małżeństwo Biernatów osiągnęło stadium ostrego kryzysu, z którego jedynym wyjściem dla obojga wydaje się rozwód. „Czy dwadzieścia trzy lata małżeństwa — zastanawia się Michał — mogły zamienić miłość w nienawiść. Tak, nie wolno, bać się słów, taka jest prawda. Barbara nienawidzi go, a on po prostu ma jej dosyć...". Nielatwo jest jednak powziąć decyzję burzącą kompletnie dotychczasowe życie i rozpoczynać nowe już po pięćdziesiątce. Mimo to Michał porzuca ordynaturę w łódzkim szpitalu i wyjeżdża, podejmując pracę w Dębeckiej Woli jako kierownik wiejskiego ośrodka zdrowia. Tam też ma zamiar stworzyć nowe ognisko domowe wspólnie z Krystyną, z którą łączą go od dłuższego czasu intymne stosunki. Często przyjeżdża do miasta odwiedzając zarówno Krystynę, pielęgniarkę w szpitalu, gdzie sam niegdyś pracował, jak i żonę oraz dzieci. Na rozprawie argumenty jego i Barbary są nie przekonujące dla sądu. „Straciliśmy ostatnio to — mówi Michał — co najogólniej nazwać można wzajemnym zrozumieniem". „Nie mamy więcej sił — popiera go Barbara — chcemy rozstać się ze sobą w sposób możliwie godny, jak dwoje ludzi, którzy dużo ze sobą przeżyli, dużo dobrych dni, którzy kiedyś byli szczęśliwi". „Chcemy rozstać się w przyjaźni, chcemy rozstać się teraz, dzisiaj, bo jutro możemy stracić i to, co nam jeszcze zostało...". Jest w tym oświadczeniu sporo dobrej woli, ale jest także zawarte przekonanie o całkowitym wygaśnięciu uczuć, co uniemożliwia kontynuowanie związku. Michał nie jest zupełnie szczery, ani wobec Barbary, ani na sali sądowej. Dopiero później, w monologu „na stronie", ujawnia właściwe przyczyny rozkładu małżeństwa, główną znajdując w oziębłości seksualnej Barbary. „Rozejście się ze mną dla mojej żony będzie tylko zmianą formalną, zmianą stanu cywilnego, nie uczyni żadnego uszczerbku w jej życiu biologicznym. Inaczej jest ze mną. Rezygnując z życia seksualnego (gdyby Michał pozostał z Barbarą) w tym wymiarze, do którego czuję się zdolny, świadomie i dobrowolnie wyrażę zgodę na zbyt wczesne wyłączenie mnie z pełni życia...". Wszystko zatem staje się jasne. Dwoje ludzi w kulturalny sposób rozchodzi się, stwierdziwszy bezsens małżeństwa, gdy zabrakło w nim miłości. Stąd zaskoczenie sceną ostatnią, wzruszającą i łzawą, ale jakby „nie z tej bajki". „Kiedy znów spojrzał, zobaczył po raz pierwszy na twarzy Barbary zmęczenie i rezygnację. To spostrzeżenie, nagłe, zaskakujące, sprawiło, że wypełniło go rozrzewnienie, jakaś nie znana mu dotąd tkliwość. Jednocześnie zrozumiał, przerażająco jasno, że kocha tylko tę kobietę, kocha tylko Barbarę, nikogo tak nie kochał...". Nic nie zapowiada takiego obrotu sprawy, a w każdym razie istniejące sygnały nie uzasadniają tego zakończenia. Trudno bowiem przyjąć, że przełomowe znaczenie miała opowieść Wieliczkowskiego o dość przewrotnych acz sympatycznych metodach kobiet wabiących mężczyznę, opowieść z wyraźnymi aluzjami do osoby Krystyny, trudno też uznać za niewłaściwą postawę Krystyny, która pragnie być żoną Michała. Jeśli nawet powrót bohatera dałoby się jakoś umotywować trzeźwą refleksją, zgodą na życie bez miłości, kłopotami samotnego bytowania, to już wybuch jego uczuć po wszystkim, co zostało pokazane i powiedziane, wprawia w zupełną konsternację. Nikt nie odmawia autorowi prawa do kpiny z czytelnika, wszelako nie sądzę, aby w tym akurat przypadku o to chodziło Kopczyńskiemu. A wyrazy uznania bądź co bądź należą się sądowi, który przedłużając sprawę rozwodu wykazał dużo zdrowego rozsądku.

Wątek Michała i Barbary, będąc pierwszoplanowym w powieści, nie wyczerpuje jej problematyki. Pisarz interesująco buduje fabułę przeplatając akcję współczesną (połowa lat siedemdziesiątych) epizodami z przeszłości, przy czym obrazy retrospektywne bywają ewokowane zdarzeniami teraźniejszymi. Cechą charakterystyczną partii wspomnieniowych jest ich autonomiczność w tkance powieściowej. Tworzą odrębne całości, w których ujawnia Kopczyński swój kunszt nowelisty. Wypada tylko żałować, iż „Miłość i medycyna" jest powieścią, a nie zbiorem nowel, takich choćby — posługując się nazwami wywoławczymi — jak „Anna", „Teresa", „Żyrafa" czy „ranny w lesie". Zamieszczone w nich fragmenty życiorysu Michała z okresu okupacji, niezbyt wprawdzie istotne dla głównego wątku, uzupełniają przecież portret bohatera, a przede wszystkim ożywiają utwór, czyniąc lekturę bardziej atrakcyjną.

Blado natomiast wygląda płaszczyzna akcji współczesnej. Trochę informacji o stanie lecznictwa i zmianach organizacyjnych służby zdrowia w związku z przekształceniami struktury administracyjnej kraju, kilka ledwie naszkicowanych sylwetek ludzkich, drobne wydarzenia z zakresu pracy zawodowej i życia prywatnego Michała, rozmowy, jakie prowadzi się codziennie i z których niewiele wynika, nieco trafnych obserwacji społecznych i obyczajowych — wszystko to, okraszone tonem dydaktyki obywatelskiej, składa się na mozaikę powieściową, odczytywaną gładko, bez niechęci, gdyż umiejętności narracyjnych nie brakuje Kopczyńskiemu, ale również bez satysfakcji, jaką dać może poznanie myśli nowej, odkrywczego sądu. Nawet wtedy, gdy nadarzała się okazja głębszego ujęcia jakiegoś ważnego problemu, ginął on z reguły w powierzchownych ogólnikach. Tak na przykład wewnętrzny dylemat lekarza Wojtysa, unaoczniający szersze zagadnienie poniechania ideałów młodości w zabiegach o dobrobyt materialny, śmieszy i wzbudza nieufność sztucznością argumentacji, rodzi posądzenie o hipokryzję. „Zostałem groszorobem — ubolewa Wojtys — bo ojciec chęć posiadania przekazał mi wraz z genami, naznaczył mnie na całe życie". „Ten dom kosztuje mnie pół miliona, to, co tu jest wewnątrz, ze trzysta tysięcy. Do tego wielki ogród. Jadzia ręce sobie urabia. Prawda, że to jest uczciwy dorobek, ale się go wstydzę, przeklinam go, bo jest zaprzeczeniem tego wszystkiego, o czym marzyłem i czego pragnąłem w latach młodości". Bóle strapionego serca nie przeszkadzają wszakże „hamletycznemu" dorobkiewiczowi w pełni korzystać z posiadanych dóbr, a Michał — o ironio — usilnie go przekonuje, że majątek, będący jakoby przyczyną jego bezpartyjności, wcale nie czyni Wojtysa gorszym obywatelem. Co więcej, Wojtys jest w utworze postacią pozytywną i traktowaną przez narratora całkiem poważnie. Kiedy indziej znowu razi naiwność i pusty deklaratywizm enuncjacji, czego najwymowniejszą ilustracją mogą być wiedeńskie „rewelacje" Wieliczkowskiego. Rrzadko niestety spotkać można w powieści fragmenty o większej urodzie. Takimi są bezsprzecznie sceny myśliwskie. Widać w nich pióro człowieka wrażliwego na uroki lasu i łowiectwa, miłośnika przyrody. Szkoda, że ich tak mało.

„Miłość i medycyna" nie jest romansem w tradycyjnym tego pojęcia znaczeniu, nie jest też jakimś antyromansem. Zbyt mało posiada danych, by stać się powieścią społeczną, obyczajową, psychologiczną. Wszystkiego tu po trosze. Nie zachęcałbym autora, żeby w przyszłości specjalizował się w pisaniu podobnych książek.

STANISŁAW MAJCHROWSKI

Edward Kopczyński, Miłość i medycyna. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1978, s. 196, cena 20 zł.

recenzje

„ARLEKIN" WRACA DO DOMU

Międzynarodowy Rok Dziecka rozpoczął się w Łodzi bardzo pięknym akcentem: oto po trwającej z górą dwa lata przymusowej włóczędze zespół „Arlekina" powrócił wreszcie do domu, do własnego teatru, a gruntownie wyremontowany i w pełni zmodernizowany gmach przy ul. Wólczańskiej znów otworzył podwoje przed młodym i najmłodszym pokoleniem widzów.

Przybyli na uroczystość przedstawiciele władz politycznych i administracyjnych miasta z I sekretarzem KŁ PZPR — Bolesławem Koperskim i prezydentem m. Łodzi — Józefem Niewiadomskim na czele, jak również reprezentanci środowisk artystycznych, mieli powody do radości. Mimo przejściowych kłopotów modernizacja „Arlekina" przebiegła w rezultacie wcale sprawnie, otrzymaliśmy nowoczesny i wielofunkcyjny teatr z doskonale wyposażoną technicznie salą widowiskową, salą wystawową przystosowaną również do kameralnych przedstawień lalkowych, klubem aktorskim, magazynem lalek i szeregiem pomieszczeń pomocniczych.

Przyciągają wzrok przepiękne metaloplastyczne żyrandole zaprojektowane i wykonane przez artystę rzeźbiarza Michała Gałkiewicza, nieco ascetycznej, lecz bezspornej urody nie można również odmówić wnętrzom zaprojektowanym przez Stanisława Cuchra-Cukrowskiego i Wiesława Błażewskiego. Rozsmakowywałem się w nich jako człowiek najzupełniej i to od dawna niestety już dorosły, nie wiem jednak, na ile będą podobać się dzieciom, które przynajmniej początkowo mogą się tu czuć cokolwiek onieśmielone... O tym wszelako rozstrzygnie przyszłość, zresztą w teatrze i tak najważniejsze jest to, co pokazuje się na scenie, zaś „Arlekin" tak długo czekał na możliwość grania w normalnych warunkach, że teraz zapowiada całą serię różnorodnych premier.

W ubiegłym tygodniu oglądaliśmy „Pieśń o lisie" Johanna Wolfganga Goethe'go w inscenizacji i reżyserii Wojciecha Wieczorkiewicza — interesujące widowisko dla dzieci starszych, młodzieży nawet, na które niepoprawni rodzice, dorzućmy to nawiasem, potrafią wszakoż przyprowadzać zupełne maluchy... Tymczasem w teatrze lalek bardzo wyraźnie występują bariery wieku i nie łudźmy się, że istnieją przedstawienia przystosowane w odbiorze zarówno do pięciu, jak i piętnastoletnich dzieci.

„Arlekin" wprowadza również na afisz „Krzesiwo" Hanny Januszewskiej wg znanej baśni Hansa Christiana Andersena oraz, lalkową wersję baletu Sergiusza Prokofiewa „Piotruś i wilk" — wszystkie te spektakle będziemy oczywiście recenzować w kolejności odbywania się premier prasowych.

Dorzućmy jeszcze jedno: z paroletniej włóczęgi po różnorakich salach i salkach naszego miasta „Arlekin" wyniósł przeświadczenie, że choć miło powrócić do własnego teatru, w teatrze tym zasklepiać się nie należy. Utrzymana więc zostanie wędrowna Scena Przedszkolna — w jej repertuarze znajduje się aktualnie „Baśń o szczęśliwym motylu" wg J. Jurgielewiczowej — mająca choćby tę bezsporną zaletę, że z prościutkimi przedstawieniami trafia wprost do malutkich dzieci, które przewozić bądź przeprowadzać przez całe miasto nie jest wcale tak łatwo. Od czasu do czasu „Arlekin" zagra również na Teofilowie, słowem przyjaźnie zawarte w trudnych, bo bezdomnych latach, nie zostaną zapomniane i zatarte.

Co powiedziawszy zostaje już tylko życzyć powodzenia teatrowi, który za parę miesięcy obchodzić będzie swoje trzydziestolecie; o pięknym jubileuszu zasłużonej lalkowej sceny założonej przez niestrudzonych Henryka i Marię Rylów będziemy jednak mieli jeszcze okazję pisać.

* * *

Iżby w pełni wywiązać się z kronikarskich obowiązków dodajmy, iż w styczniu na dramatycznych scenach nie działo się nazbyt wiele, zresztą ze względu na falę mrozów przez kilka dni teatry były wręcz nieczynne.

Teatr im. Jaracza wystąpił — mówiąc oględnie — z przynajmniej wysoce kontrowersyjną premierą „Krawca" Sławomira Mrożka w reżyserii Jana Maciejowskiego, natomiast Teatr Nowy — oddając tekst do druku nie widziałem jeszcze tego spektaklu — przygotował „Opowieść zimową" Szekspira w inscenizacji i reżyserii Krystyny Skuszanki. Luty, a zwłaszcza marzec, powinny być w premiery bogatsze, skoro mówimy o tym jednak, warto już teraz nieśmiało postulować, aby jakiś ważący gatunkowo spektakl przygotować właśnie na Międzynarodowy Dzień Teatru, bo w latach ostatnich bywało z tym rozmaicie.

A warto chyba święto ludzi teatru uświetnić wartościową i znaczącą premierą...

JERZY PANASEWICZ

NAKONIECZNIKOW ŚMIESZNY CZY GROŹNY

Aleksander Wampiłow wypłynął na wody Bajkału na przejażdżkę łodzią motorową 17 sierpnia 1972 roku. W niewiele godzin później wyłowiono z lodowatej wody jego zwłoki. Towarzyszącego mu pisarza Gleba Pakułowa, uczepionego przewróconej łodzi i na wpół zamarzniętego, udało się odratować. Za dwa dni miał Wampiłow obchodzić 35-lecie swych urodzin.

Na biurku dramatopisarza w jego mieszkaniu przy ulicy Dalnowastocznej 57-A w Irkucku pozostałnie dokończony rękopis jego ostatniej sztuki, zatytułowanej „Niesprawiennyj Nakoniecznikow", co w polskim przekładzie brzmi: „Niezrównany Nakoniecznikow".

W trzy lata po śmierci Aleksandra byłem nad brzegiem Bajkału w miejscu, gdzie wyłowiono zwłoki, odwiedziłem grób pisarza na cmentarzu w Irkucku, znalazłem się w gabinecie, w którym pracował, rozmawiałem o nim z jego matką Anastazją i przyjaciółmi. Rozmowa dotyczyła także wspomnianego wyżej niedokończonego jego dramatu.

Nic dziwnego, że ze szczególnym nastawieniem oglądałem w ostatni poniedziałek przygotowane przez Zespół Krakowski TVP widowisko oparte na nie dokończonym manuskrypcie Wampiłowa. Tragiczne przecięcie nici życia artysty w momencie, gdy tak wiele nam miał jeszcze do powiedzenia, jest dramatyczne samo w sobie. W przypadku Wampiłowa, śmiałego syna Syberii Wschodniej, zrodzonego z mieszanego związku Buriata i Rosjanki, przedwczesna śmierć przerwała twórczość pełną szlachetnego buntu i gniewu.

W dramatach swoich, z których kilka wystawiały także teatry polskie, manifestował bezkompromisową postawę wobec wszelkiej maści oportunizmu, łajdactwa, nieuczciwości. Był w tym swoim nonkonformizmie autentyczny i konsekwentny, co budzić winno najwyższy szacunek.

Świadomy tych cech twórczości Wampiłowa z napięciem oczekiwałem prezentacji jego ostatniej, nie domówionej do końca sztuki. Tekst „Niezrównanego Nakoniecznikowa", sądząc z pozorów, nie zawiera w sobie owej charakterystycznej dla autora zadziorności. Wampiłow nakreślił nam w dwóch scenach, jakie zdążył napisać, sytuację komediową, zapowiadającą beztroską i bezinteresowną rozrywkę. Czyżby tylko tyle miał nam do powiedzenia?

Przypuszczam, że wielu telewidzów, ostrzyło już sobie zęby na przekomiczne konsekwencje, do jakich prowadzić mogła ekspozycja sztuki. Małomiasteczkowy fryzjer, kompletny głuptas, prostak bez osobistej kultury, ale ze sporą dozą zadufania w sobie, zachęcony łatwym chlebem piosenkarza estradowego, postanawia także zostać artystą, tyle że dramato-pisarzem. Tekst Wampiłowa urywa się w miejscu, gdy Nakoniecznikow nie osiągnął wprawdzie jeszcze sukcesów na tej drodze, ale już zdążył ujawnić, że rodzi się w nim hochsztapler i cwaniak.

Gdy więc ciekawości naszej, rozbudzonej przez tekst Wampiłowa, nie możemy zaspokoić, co niejednego widza przyprawiło o rozczarowanie, pozostało nam wysłuchać rozmowy z reżyserem spektaklu telewizyjnego Stanisławem Zajączkowskim i wykonawcą roli tytułowej Jerzym Stuhrem, którzy trochę nieśmiało zabawili się w odgadywanie, w jakim kierunku poprowadziłby autor dalszy ciąg opowieści.

Obaj interpretatorzy nie dokończonego tekstu, reżyser i aktor, słusznie założyli, że w zamiarach Wampiłowa leżało doprowadzić Nakoniecznikowa do nie zasłużonego sukcesu życiowego. Sugeruje to chyba już sam tytuł, jakim opatrzył autor swą sztukę. Niezrównany Nakoniecznikow. Niezrównany, a zatem podziwiany, okryty sławą, pławiący się w powodzeniu.

Gdy zestawimy kierunek, w jakim zmierzał pisarz, z punktem wyjścia sztuki, odsłaniającym całkowitą nicość tytułowego bohatera, skojarzyć nam się to może z „Karierą Nikodema Dyzmy" Dołęgi-Mostowicza. W tej powieści mieliśmy również do czynienia z zawrotnym i nieuzasadnionym awansem człowieka nic sobą nie reprezentującego.

Fragment sztuki Wampiłowa, który oglądaliśmy, dotyczył sytuacji zabawnej. Mogliśmy się beztrosko śmiać z nieudolnych prób Nakoniecznikowa na polu literackim. Ale czy równie wesoły byłby dalszy ciąg, w którym kreaturka ta zostałaby wywyższona, zwyciężyłaby wbrew logice i interesowi społecznemu? Mechanizmy społeczne, które by taką karierę umożliwiły, a nawet ułatwiły, to już przejaw pewnych wynaturzeń. Nakoniecznikow wystukujący jednym palcem na maszynie do pisania swoje wypociny i zapraszający młodą agentkę ubezpieczeniową Elwirę na premierę swej nie napisanej sztuki jest tylko śmieszny. Ale Nakoniecznikow zwycięski łatwo może okazać się postacią groźną.

Wampiłow, pisarz radziecki całym sercem zaangażowany w walkę o prawidłowy przebieg procesów rozwojowych społeczeństwa socjalistycznego, zamierzał, jak się zdaje, wystąpić przeciw wynoszeniu w górę ludzi niekompetentnych. Satyryczny oręż, jakiego chciał w tym celu użyć, zawisł w powietrzu. Możemy się tylko domyślać intencji i podziwiać temperament, z jakim udało mu się zaciągnąć dramatyczny węzeł.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

TADEUSZ WIEŻAN

GOŁĘBIARZE

NOWELA FILMOWA

Potrzeba sprawiedliwości drzemie w każdym człowieku. Nieufność, jaka się zrodziła później, polegała jedynie na konfrontacji, czy słowa pokrywają się z czynami. Dlatego trzeba powiedzieć prawdę, że Manifest PKWN entuzjazmu nie wzbudził. Chłopi czytali. „Łatwo coś oddawać, jak to nie jego" — mówili. „Albo oddają nam „pańską", a do kołchozów zabiorą naszą".

Tym niemniej był moment wyczekiwania i przypatrywania się młodej władzy. A władzy jeszcze, po prostu, nie było.

Pierwszym komendantem miasta został major wojsk radzieckich, bardzo przystojny Mongoł, o oliwkowej skórze.

— Mongoł oficerem, a Rosjanie żołnierzami? — komentowali mieszkańcy i w tym wypadku teoria pokrywała im się z praktyką.

Major chodził po miasteczku w obstawie czterech „awtamatczyków". A pierwsze kroki skierował do kościoła, żeby podziękować księdzu za organizację pomocy dla rannych i w celu zawarcia znajomości.

Major z żołnierzami wkroczyli w połowie mszy. Wszyscy żołnierze trzymali furażerki na lewej ręce, a na piersiach wisiały pepeszki. Czerwonoarmiści rozstawili się, wyznaczając duży czworobok, a w środku stał major. Kościół był pusty, tylko dwie baby. Staszek służył do mszy. Ksiądz modlił się, a major czekał. Po mszy major sam wszedł do zakrystii, żeby podziękować. Stasio zdejmował komżę, kiedy do zakrystii wszedł major. Ksiądz podszedł do niego, podali sobie ręce.

— Priszoł poblagadarić za pomocz sałdatom.

— Eta nasza krostiańska obiezanast drugim pomagat — powiedział ksiądz po rosyjsku, ku zdziwieniu majora i Stasia.

Stali w ciemnym kącie zakrystii, gdzie błyszczały tylko dwie koloratki, u księdza i u majora.

— Charaszo gawaritie pa ruski — zauważył oficer.

— Jeszcze nie zabył — odparł dziekan.

Major zamyślił się, jego oczy zwęziły się jeszcze bardziej i na twarzy pojawił się uśmiech, gestem rąk wyraził przeprosiny, że przyszedł, skłonił się i wyszedł.

— Mówiłeś, że po wojnie skończysz z piciem — powiedziała matka do ojca, gdy ten zataczając się, wszedł do mieszkania.

— Ale wojna jeszcze nie skończona — tłumaczył się ojciec.

— Jeszcze nie koniec wojny. Wardziński wrócił.

— Rozmawiałeś z nim?

— Co mam z nim rozmawiać, dwa razy przeszedł koło mnie i udawał, że nie poznał. On teraz ważny, podobno PPR zakłada.

— Powinieneś z nim porozmawiać! — nalegała żona. — Przecież dobrze żyliście.

— Nie będę się nikomu narzucał, jak będzie miał do mnie sprawę, to drogę znajdzie.

Staszek patrzył na ojca, a ojciec siedział ciężki poważny, na końcu stołu i zgarniał dłonią na ziemię niewidoczne okruchy chleba.

— Teraz przyszedł jego czas, przed wojną miał za swoje, ale teraz on górą.

Świetlica PPR i restauracja „Kolorowa" miały wspólną sień. W przeddzień spodziewanego święta ruch w obu lokalach był większy niż zwykle. Świetlicę dekorowano jak na Zielone Świątki. Wyszorowano podłogę, więc każdy kto wchodził, wycierał nogi w ciemnej sieni, a następnie szedł na piętach przez całą długość sali. Tak postępowali wszyscy, którzy nieśli czerwoną karbowaną bibułkę i czerwone płótno, i zielone, młode gałęzie brzóz. Stasio czytał na głos transparent:

„Niech żyje pierwszy maj!"

— To jest źle! — zwrócił się do Franka Tracza. — Jak pierwszy maj może żyć, przecież to nie człowiek.

— Faktycznie — zgodził się Franek.

— Kto to napisał?

— Ja — powiedział Stefan.

— Ale to do niczego, źle! — upierał się Franek.

— Sekretarz Wardziński tak kazał napisać.

— Ale to niedobrze — popisywał się Stasio.

— Dobrze, niedobrze, a jak sekretarz powiedział, to tak ma być.

— Dlaczego? — zaperzył się chłopak.

Sekretarz stanął w progu.

— Dajcie tu, towarzysze, jakąś większą szmatę, bo nie ma w co nóg wytrzeć.

Nagle, w ciemnym kącie coś się poruszyło. Sekretarz odskoczył w bok. A z ziemi podniósł się Czerwiński w szarym, zniszczonym garniturze, w koszuli rozpiętej do pępka. Zatoczył się, złapał równowagę, opierając się o futrynę, powlókł zapitym wzrokiem po sali i czyszcząc dłonią ślady stóp na garderobie, zwrócił się do sekretarza:

— A w przyjaciela, w robotnika nie życzy sobie towarzysz sekretarz nóg wytrzeć?

— Czerwiński od kiedy ty nogi wycierasz? Nie tak sobie wyobrażałem nasze spotkanie — powiedział po chwili sekretarz.

— Ja byłem pewny, że mnie wezwiesz. Ale ty urosłeś w piórka.

— Co ty pleciesz, Kazek? — obruszył się sekretarz. — Jestem tu już kilka dni, codziennie cię widzę, ale nigdy trzeźwego. Przed wojną też do nas się nie garnąłeś, a tylko gołębie goniłeś.

— Tak mówisz, jakbyś ty nie gonił.

Czerwiński nie sprawiał już wrażenia tak pijanego jak na początku.

Czy ty wiesz, jak tu było? Trzeba było pić, żeby nie zwariować.

— Ale teraz nie trzeba.

Czerwiński opuścił głowę.

— Chciałbym do was należeć — powiedział po chwili niespodziewanie.

Od tego czasu obydwaj mężczyźni nie rozstawali się ze sobą. Bo wszyscy wiedzieli, że jeszcze od czasów przedwojennych byli przyjaciółmi. A Czerwiński przechodził sam siebie, żeby udowodnić, że jest godny zaufania i gdyby mógł, to by tę Polskę budował własnymi rękami.

Przestał pić i przeżywał istne katusze, gdy sekretarz Wardziński zamawiał sobie w „Kolorowej" pięćdziesiąt gram.

— Od nas zależy, Kazek, jaka będzie ta przyszła Polska, czy magnacka czy robotnicza i chłopska. Czeka nas walka klasowa, bo panowie hrabiowie i arystokraci tak łatwo tego, co nagromadzili na wyzysku robotnika, nie oddadzą. Dlatego my musimy przejąć władzę i zaprowadzić ustrój sprawiedliwości społecznej, bez wyzysku, bez bezrobocia.

Sekretarz wypił, Czerwiński przełknął ślinę.

— Czy ty, Kazek, słyszałeś coś o Marksie?

— Marks, Marks, Marks, a jak imię?

— Karol!

— To z Niemców chyba?

— No!

— U nas takiego nie było.

— A skąd miał być, jak on dawno umarł. Ale on dał podwaliny pod ustrój kapitalistyczny. Napisał książkę pt. „Kapitał".

— Kapitał mu się marzył.

— Teraz najważniejsza rzecz to pomóc władzy ludowej w utrzymaniu władzy. Ja muszę wyjechać na kilka dni i chciałem, żebyś mnie zastąpił z ramienia naszej władzy.

To mówiąc. Wardziński położył przed Czerwińskim pistolet i wręczył mu jakiś papier.

Komendant miasta już wie o tobie. To schowaj — wskazał na pistolet. — Czas jest niepewny wiesz jak jest.

— Czy ja poradzę, Gienek? — sumitował się Czerwiński. — Rządzić to trzeba umieć.

— Musisz, Kazek! Musimy. A kto, jak nie ty? Piekarczyk i Wasiak w grobie, to kto?

— Ciężka sprawa.

— A myślisz, że dla mnie nie ciężka, ale jak tak każdy powie to co będzie? Nie bój się, już tacy się znajdą, co nas chętnie zastąpią, tylko wtedy ta władza nie będzie nasza.

— Czym my byliśmy, Kazek, przed wojną? — niczym.

— Józek już oficerem?

— Tak — odparł Czerwiński.

— Widzisz. Tego młodszego, jak mu tam...

— Staszek.

— Też do szkół trzeba będzie pchnąć, szkoły i te wyższe będą za darmo.

— Możesz na mnie polegać, Gienek.

— Tylko, Kazek, ludzie na nas patrzą.

— Przecież sam widzisz...

— Tę pięćdziesiątkę wziąłem dzisiaj na próbę, ale widzę, żeś już z tym skończył.

W miasteczku na nocleg zatrzymało się kilka radzieckich samochodów, wiozących z oflagu do Brześcia oficerów amerykańskich. Udawali się przez Moskwę do Stanów. U Staszka w domu nocowało trzech. Babacia przyniosła drzewo, żeby napalić w ich pokoju. Amerykanin zorientował się w czym rzecz i pośpieszył, żeby babcię wyręczyć. Nie przypuszczał biedak, że trzeba jeszcze i narąbać.

Dwumetrowy boy nie bardzo wiedział jak się do tego zabrać. Chłopiec pokazał mu jak to się robi. Nigdy nie przypuszczał, że rąbaniem drzewa można zaskarbić sobie przyjaźń dwumetrowego, amerykańskiego oficera. Obok, drogą szedł Romek, prowadził ze sobą również dwóch Amerykanów

— U was też nocują? — zagadnął Staszka.

— Trzech! Ale ten jest największy ze wszystkich.

Oficerowie zajęli się rozmową. Największy drapał się pod koszulą.

— Słyszałeś, że u nas gimnazjum mają otworzyć?

— Słyszałem — skłamał Staszek.

— Podanie z życiorysem trzeba złożyć. Ty, jaka to była organizacja, gdzie myśmy należeli? AK, BCh czy AL?

Staszek przestał rąbać drzewo.

— Cześka trzeba zapytać — rzucił po chwili.

— Pytałem Cześka, on też nic nie wie — odparł Romek. — Spotkałem tu kiedyś tego, co do nas przyjeżdżał, chciałem jego zapytać, ale mi uciekł, powiedział, że mnie nie zna, że to pomyłka, a przysiągłbym, że to był on.

Oficerowie przyglądali się zaaferowanym chłopcom, Romek zrozumiał, że chcą iść.

— Herren Offiziere bitte!! — powiedział Romek i ruszył przodem, stawiając duże kroki.

Prawdziwy kłopot w związku z przyjazdem Amerykanów spadł na ojca Staszka. Jeszcze tego samego wieczoru wysłał syna do Franka Tracza z prośbą, aby ten na rano przygotował w restauracji kilka stolików i obszedł kilka prywatnych spożywczych sklepów żeby zorganizować uroczyste śniadanie dla Amerykanów.

U Franka mieszkało dwóch żołnierzy radzieckich. Franek nigdzie nie pracował, natomiast uwielbiał śpiewać z żołnierzami. Okazało się, że ma ładny głos i był jak w euforii

Żona patrzyła na tę scenę i kiwała głową

— Już tak trzeci miesiąc śpiewa Nie może przyjść do siebie, tylko śpiewa. Żołnierze się zmieniają, tych ostatnich to uczy już ruskich piosenek.

Dwumetrowy oficer zabrał Staszka na uroczyste śniadanie. Okolicznościowe przemówienia wygłosili: jakiś starszy oficer i kamienicznik. Z przemówienia Amerykanina Staszek zrozumiał tylko jedno słowo: „Kościuszko". Franek Tracz natychmiast przetłumaczył, że Amerykanin chwali Dywizję Kościuszkowską. Gdy Amerykanin wniósł toast za zdrowie prezydenta miasta, kamienicznik wskazał na ojca Staszka. Czerwiński chwilę się zawahał i wypił. Następnie sam wzniósł toast za przyjaźń polsko-amerykańską. Z boku siedzieli oficerowie radzieccy i żołnierze, którzy ich wieźli. Amerykanie wyjechali, a Czerwiński został jeszcze w „Kolorowej" Franek na odchodne zauważył:

— Ruskim żeście takiego śniadania nie wydali. A wam to by bardziej wypadało im to urządzić, Czerwiński. Właśnie im i to wam.

Czerwiński został już przy barze. Przed każdym tłumaczył się, coś bełkotał do siebie. I dalej pił. Był już kompletnie pijany, gdy wszedł do restauracji wieśniak i na głos narzekał, że to bałagan, on przywiózł kontyngent, a tam nikogo jeszcze nie ma, że za Niemców był większy porządek. Czerwiński wstał od stolika i zapytał go, czy mu się ustrój nie podoba. Chłop odpowiedział, że rzeczywiście, taki bałagan mu się nie podoba. Czerwiński wyjął spokojnie z teczki oksydowany rewolwer i oddał do chłopa trzy strzały

— Czerwiński zabił chłopa! — wołał ktoś za stodołą.

Staszek ruszył biegiem na rynek. Drzwi od restauracji „Kolorowa" były zamknięte. Kilka osób stało na chodniku. Staszek stał z ludźmi.

— Mówił, że nikomu się nie podda i sam żywy nie wyjdzie.

Ktoś powiedział, że telefonowano już do syna Józka, który w pobliskim miasteczku był w Polskim Wojsku. Po godzinie przyjechała ciężarówka z żołnierzami. Staszek pierwszy raz zobaczył brata w rogatywce i z gwiazdką na ramieniu. Józek podszedł do drzwi. Żołnierze stali przy samochodzie.

— Tato, otwórz! — poprosił syn. — Tata, to ja, Józek — szeptał oficer przez szparę między drzwiami, a żołnierze poprawiali pepeszki na piersiach. — Tato, żołnierze na mnie patrzą... Co ze mnie za oficer, tato, jak ciebie nie przywiodę.

I drzwi się otworzyły. Józek wszedł do środka. Wszyscy wstrzymali oddech. Staszek nie chciał, żeby ojciec go widział. Po chwili drzwi otworzyły się i wyszedł ojciec z synem. Czerwiński z opuszczoną głową ostro ruszył w kierunku ciężarówki, oficer dreptał obok. Ojciec zatrzymał się i nieznacznie ręką przesunął syna za siebie. Ruszyli wolno, ale już prawidłowo: aresztowany pierwszy, a ten co prowadził — za nim. Wsiedli do szoferki. Żołnierze załadowali się pod budę i samochód odejchał. Staszek popatrzył chwilę za odjeżdżającym autem, a gdy ciężarówka znikła za rogiem, chłopak zorientował się, że jest sam na środku rynku. Ruszył biegiem do domu.

Przy kolacji nikt nic nie mówił. Matka siedziała jak posąg. Babka odmawiała szeptem różaniec i tylko od czasu do czasu dochodził do uszu Staszka stłumiony głos babki:

„Wieczne odpoczywanie daj mu Panie...

Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, wysłuchaj nas Panie...

Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nad nami...

Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nad nami..."

Pełzał ogień pod płytą, rzucając migotliwe światło na okap nad kuchnią, wiadro cynkowe na taborecie, na usta babci powtarzające bezgłośnie słowa modlitwy.

Następnego dnia rano trzy gołębie leżały zabite na dachu. Chłopak wziął długi kij, żeby je zgarnąć i zakopać W tym momencie na podwórzu zjawił się sekretarz Wardziński.

— Matka w domu?

— Tak — odparł Staszek

Sekretarz skierował się do budynku. Nagle zawrócił, wyglądał jak nieszczęście.

— Słyszałem, że ktoś ci gołębie postrzelał. Nie wiesz, kto to mógł być?

— Nie, nikt mi ich nie zastrzelił, proszę pana — odparł chłopak. — Same zdechły, bo dałem im mokre żyto.

Sekretarz popatrzył na chłopca i ruszył do mieszkania. Zza drzwi komórki Staszek obserwował, jak sekretarz Wardziński rozmawia z matką.

— To dobrze, że wyjeżdżacie. Miałbym do pani prośbę. Dobrze by było, żeby syn jak najprędzej zapomniał o tym, co tu się zdarzyło, i pani również. Tak będzie lepiej i dla niego i dla pani i dla kraju.

Z zachodu, w glorii zwycięstwa wracała Czerwona Armia. Na rynku postawiono trybunę, był generał i orkiestra. Ordery na piersiach żołnierzy błyszczały w słońcu.

Staszek pozbierał na rękę gołębie wziął łopatę i skierował się za stodołę. Ale za płotem przejeżdżali właśnie Kozacy na koniach, wesoło pogwizdując. Chłopak zatrzymał się na chwilę, patrzył jak jadą, później poszedł zakopać gołębie.

KONIEC

NA PROGU NOWEGO TEATRU

Leon Schiller (1887—1954)" przywrócił teatrowi polskiemu pamięć własnej przeszłości, której narody — jak ludzie — zawdzięczają świadomość własnego istnienia. Teatr polski przypominał przed nim człowieka w którego świadomości powstały pod wpływem przerażających katastrof luki pamięciowe. Fakty i myśli grzęzły w książkach, tak jak zapomniane zdarzenia i refleksje wpadają w naszą podświadomość. W twórczości Schillera ukazała się nagle cała przeszłość polskiego teatru, układając się nieoczekiwanie w logiczną całość. Zaczęło się spełniać marzenie Mickiewicza. Teatr zaczynał łączyć „wszystkie żywioły poezji prawdziwie narodowej, podobnie jak instytucja polityczna narodu wyrażać wszystkie jego dążności polityczne".

Leon Schiller, ten wielki polski inscenizator, reżyser, pedagog, organizator życia teatralnego i znawca historii teatru — pozostawił po sobie liczne eseje, artykuły rozprawy, przemówienia i wywiady. Rozproszone po różnych czasopismach i wydawnictwach nigdy dotąd nie zostały zebrane w pełnej edycji książkowej.

„Na progu nowego teatru" zawiera teksty z lat 1908—1924 publikowane m. in. w „Czasie", „Krytyce", „Teatrze", „Tygodniku Ilustrowanym" oraz w czasopiśmie E. G. Craiga „The Mark" (po raz pierwszy ukazuje się przekład drukowanego tam eseju „Dwa teatry").

Następne tomy przyniosą zbiór pism Schillera z lat 1924—1954. W osobnych tomach ukażą się wywiady i wybór listów.

Pierwszą edycję pism Schillera opracował Jerzy Timoszewicz, historyk teatru, badacz życia i twórczości Schillera, edytor jego tekstów.

Leon Schiller — „Na progu nowego teatru, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1978, str. 484, cena zł 100,—

SŁOWNIK JĘZYKA POLSKIEGO

Jeszcze w końcu 1978 roku pojawił się w księgarniach pierwszy z trzech tomów „Słownika Języka Polskiego" wydany przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe. Tom pierwszy zawiera hasła od litery A do K.

Oddając do rąk czytelników tę pozycję Wydawnictwo pragnie zaspokoić pilne zapotrzebowanie na obszerny podręczny słownik współczesnego języka polskiego. Dotychczas bowiem ukazał się wielki dziesięciotomowy „Słownik języka polskiego" pod red. W. Doroszewskiego i jednotomowy „Mały słownik języka polskiego" pod red. S. Skorupki, H. Auderskiej i Z. Łempickiej. Wydany obecnie „Słownik...", którego redaktorem naukowym jest prof. M. Szymczak będzie zatem pierwszą w Polsce Ludowej edycją słownikową średniego typu, stanowiącą wśród publikacji tego rodzaju dzieło obszerne, rejestrujące około 80 tys. haseł zawartych w trzech tomach. Wraz z wydanymi przez PWN „Słownikiem poprawnej polszczyzny", „Słownikiem ortograficznym języka polskiego" i „Słownikiem wyrazów obcych" będzie tworzył poszukiwany i bardzo pożyteczny zestaw słowników w bibliotece domowej.

Układ materiału w „Słowniku..." jest niezwykle jasny, prosty a jednocześnie w układzie tym zawarty jest bogaty materiał leksykograficzny.

Słownik zaopatrzony jest we wstęp napisany przez prof. dr Mieczysława Szymczaka. Dalej umieszczone są informacje szczegółowe, a w nich wskazówki w jaki sposób posługiwać się słownikiem, jaki zakres słownictwa obejmuje, tłumaczenie wszelkich skrótów i kwalifikatorów. Osobny rozdział stanowi omówienie wszelkich istniejących w języku polskim form fleksyjnych zarówno rzeczownika jak i czasownika.

Warto także zwrócić uwagę na budowę artykułu hasłowego, która jest pełna, zawiera wszelkie możliwe informacje o wyrazie, począwszy od wymowy wyrazu (w wypadkach wątpliwych) poprzez definicje znaczeń, formy fleksyjne, przykłady użycia, aż po jego etymologię.

„Słownik języka polskiego" — Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1978, str. 1103, cena zł 250,—

IKONY

Nakładem Wydawnictwa Łódzkiego ukazała się kolejna książka Wacława Blińskiego „Ikony".

Podstawą konstrukcyjną powieści jest opis wydarzeń dziejących się przez dzień i noc, a więc jest to podróż rodziny: Stefana, Haliny, Ireny i Zygi do rodzinnego miasteczka Stefana, spotkanie z jego przyjaciółmi, odsłonięcie tablicy pamiątkowej, bankiet i powrót. Wątek sensacyjny powieści stanowi kradzież ikon ze starej cerkiewki.

Fabuła powieści to jakby tło i okazja do ukazania czytelnikowi czwórki ludzi. Na kanwie wydarzeń, które się dzieją pisarz analizuje postawy życiowe każdego z bohaterów.

Stefan, działacz i naukowiec, jeden z tych, któremu się w życiu powiodło; stanowisko, willa, piękna żona, wpływy, ale do tego tylko pozorny szacunek u ludzi i przekonanie o klęsce własnego życia osobistego, które począwszy od pierwszego małżeństwa podporządkowane było karierze.

Halina, druga żona Stefana. Młoda, piękna kobieta. Wychodząc za Stefana była przekonana, że wiąże się z naprawdę wielkim i silnym człowiekiem, który wpłynie w sposób zasadniczy na jej bezcelowe jak się wydawało dotychczasowe życie. Życie i praca u boku takiego człowieka wydawały jej się być pasjonujące. A jak było w rzeczywistości?

Irena, córka Stefana z pierwszego małżeństwa. Niezrównoważona plastyczka, posiadająca ogromną energię i siłę woli, z usposobienia podobna do ojca, potrafiąca całe życie podporządkować jednemu celowi. U niej tym celem stał się seks.

Zyga jej mąż, bokser, prosty chłopak, całkowicie podporządkowany Irenie i rodzinie

---

Wacław Biliński — „Ikony", Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1978 str. 203, cena zł 20,—

zdarzenia i zwierzenia

ŚWIAT WACŁAWA KONDKA

W styczniu 1976 roku zmarł Wacław Kondek, wybitny artysta-plastyk, szczególnie zasłużony dla kultury naszego miasta. To tragiczne, że o artystycznym dorobku tego twórcy mówić już dziś możemy jako o dziele zamkniętym. Jest to tym tragiczniejsze, że Wacław Kondek zmarł w pełni swoich możliwości twórczych, że tyle jeszcze było przed nim, że tyle jeszcze mógł dokonać.

A zrobił bardzo wiele. Rzeźbił, malował, uprawiał szlachetne techniki graficzne, rysował, projektował scenografię, realizował filmy animowane. I wciąż szukał. Wędrował przez wszystkie regiony sztuk plastycznych, ciągle szukał nowych form, nieustannie potwierdzał swój talent, swoją warsztatową sprawność. I każdej nowej pasji oddawał się całkowicie i bez reszty.

Wykonał wiele pięknych rzeźb w drewnie. Jego cykle drewnianych świątków i ludzików zaludniały wystawy, tak jak zaludniały wyobraźnię artysty.

Twórczość Wacława Kondka zawsze zaskakiwała nas niezwykłością i bogactwem pomysłów, różnorodnością form i środków wyrazu. A przecież zawsze spotykaliśmy w niej ten sam znajomy nastrój i bajkowość, zarówno w rzeźbach siwakach, w ikonach, w pejzażach z łódzkich równin i w surrealistycznych wizjach jego grafik. Zawsze i wciąż był to ten sam Kondek — charakterystyczna kreska rysunku, pociągnięcie pędzlem...

Dziwny, postępny świat, może nawet przerażający i złowrogi, ale wszystko, co dzieje się na białych kartonach grafik, na barwnych płaszczyznach obrazów, utrzymane jest w konwencji baśni... A może snu?

Twórczość Wacława Kondka, niezwykle bogata i różnorodna, prawie zawsze baśniowa, najczęściej smutna, po prostu smutna — nie pesymistyczna, bo to nie jest to samo — w swojej znacznej części jest pieśnią o przemijaniu. Przypomina o sprawach najważniejszych, bo ostatecznych.

Łódź, jej kultura i architektura, zawdzięczają Wacławowi Kondkowi piękne cykle rysowanych portretów — albumy „Ulica Piotrkowska", „Łódzkie pałace", czy — nie wydany dotąd, ogromny cykl „Łódzkie fabryki".

Artysta był niezwykle wrażliwy na piękno łódzkiej architektury. Rysując setki wizerunków fabryk, pałaców, wnętrz, nie wykonywał po prostu zamówienia, ale tworzył według własnego scenariusza własną wizję miasta. Kondek, po dwudziestu latach pobytu w Łodzi, odkrył to miasto, zobaczył je zupełnie inaczej, oryginalniej. Zafascynowała go Łódź, te pałace, fabryki, zgarbione domki przedmieść... Było coś wzruszającego w tej miłości artysty do świata, który odchodzi

Sztuka Wacława Kondka wymyka się przyjętym powszechnie kryteriom, zawsze była i jest dziś — sztuką pomnażającą swoje wartości, zmieniającą się i eksploatującą coraz to inne źródła inspiracji, za każdym razem w innej formie. Sztuka ta żyła i żyje życiem intensywnym i różnorodnym. Trudno ją zamknąć w szufladach formuł. Jest oczywiście w twórczości Kondka wiele elementów surrealizmu, ale to przede wszystkim surrealizm nastroju, klimatu, a nie chwytów i gierek plastycznych.

Na świecie trwa styczeń, idziemy przez świat stworzony myślą i ręką artysty, idziemy przez oble góry i postrzępione urwiska, spotykamy na drogach błędnych Don Kichotów i fantastyczne stwory z ludowych przypowieści. Te rozsypujące się domy, te diabły łęczyckie patrzące nam uważnie w oczy... Wszystko to jest pieśnią o przemijaniu rzeczy, stworzeń i legend. Przemijaniu tego, co stworzyły ludzkie ręce i tego, co stworzył ludzki umysł.

Nie są to wizje radosne. Ale smutek Wacława Kondka nie był smutkiem przerażonego. Wynikał ze spokojnej, zamyślonej nad światem mądrości.

WIDOK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH

MARIAN PIECHAL

Widzisz sławy mej profanie,
Jam w stolicy w celofanie.

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

propozycje

TĘSKNOTA ZA RZEMIEŚLNIKIEM

Grzegorz Kowalski doniósł mi uprzejmie w liście nadesłanym do redakcji, że przeczytał książkę Arnolda Bennetta „Opowieść o dwóch siostrach". W fakcie tym nie byłoby nic dziwnego, gdyż po to wydaje się książki, aby ludzie je czytali, aliści Grzegorz Kowalski znalazł w tej książce coś, co jego zdaniem powinno mnie szczególnie zainteresować.

„W listopadzie — napisał w liście — opisał pan w „Odgłosach" (nr 48 z 26 listopada 1978 roku) fachowców. Napisał pan, że „fachowcy nie czekają na pracę, to praca czeka na fachowców" oraz, że fachowcy kochają fuchy. Do swojej pracy się nie spieszą, przychodzą nie wtedy, kiedy się ich oczekuje i takie różne inne rzeczy. Wynika z tego, że to teraz mamy takich fachowców. Dawniej było inaczej. Ale jest pan w błędzie. Proszę sięgnąć do książki Arnolda Bennetta „Opowieść o dwóch siostrach". Na stronie 370 znajdzie pan opis, jak dawniej pracowali fachowcy. A działo się to dawno temu"

Sięgnąłem do tej książki i oto, co znalazłem na wspomnianej stronie 370:

„Po zawarowaniu sobie nowego okna podpisała umowę. Potem zaczęła się inwentaryzacja trwająca tygodniami. Potem przyszedł stolarz i wziął wymiary na okno. Potem przyszedł budowniczy z murarzem i zbadał wejścia, a Konstancja poczuła, że nadchodzi koniec. Zdjęła dywan w bawialni i osłoniła meble pokrowcami. Wraz z Cyrylem mieszkali przez dwadzieścia dni na gołych deskach, wśród pokrowców, a tymczasem ani stolarz, ani murarz się nie pokazywali. Niespodziewanie pewnego dnia dwaj pomocnicy stolarza usunęli stare okno, późnym wieczorem stolarz zjawił się z nowym oknem i cała trójka pracowała nad jego umocowaniem aż do dziesiątej w nocy. Cyryl chodził w czapce i w czapce położył się spać, a Konstancja nie zdejmowała ciepłego szala. Malarz zobowiązał się ponad wszelką wątpliwość, że nazajutrz okno pomaluje. (...) Przyszedł po tygodniu, położył jedną warstwę farby i zniknął na dalsze dziesięć dni. Potem zjawili się nagle dwaj murarze z ciężkimi narzędziami i zgorszyli się widząc, że nie wszystko jest dla nich przygotowane. Zdarli tapety, lawinami tynku zasypali schody kuchenne, wyciągnęli ze ścian kilka warstw cegieł i syci zniszczeń zeszli spiesznie z pola. Po czterech dniach zaczęły przybywać nowe cegły; przynosił je Bogu ducha winny pomocnik murarski... Na tego człowieka spadły gromy gniewu Konstancji. (..) — Jeśli te ściany nie zostaną zbudowane jutro, na piętrze i na dole — powtarzam: jutro! — to niech żaden z was nie ośmieli się wścibiać tutaj nosa... Powtórzcie majstrowi to, co powiedziałam!

Poskutkowało".

Arnold Bennett napisał swoją książkę na początku XX wieku. Ukazała się ona drukiem w 1908 roku. Jej akcja dzieje się w Anglii. Wszystko to, co Arnold Bennet napisał o ówczesnych angielskich fachowcach dobrze o nich nie świadczy. Ale też nic z tego nie wynika. W każdym razie nie może to być usprawiedliwieniem dla naszych, dzisiejszych fachowców.

Nie mam zamiaru twierdzić, że dziś nie zdarzają się dobrzy, solidni fachowcy. Tylko, że mówi się o nich na ogół — dobrzy rzemieślnicy. Słowo „rzemieślnik" stało się dziś nie tyle pojęciem określonych umiejętności, co pojęciem oznaczającym rzetelność i solidność. Obserwuję coś jakby tęsknotę za takimi cechami, ale mimo podziwu dla solidności i rzetelności nie widać zbytniej chęci do naśladownictwa.

Gdybyż było inaczej można byłoby uniknąć wielu kłopotów. Wystarczy wrócić pamięcią do tych trudnych dni, jakie przeżyliśmy na początku 1979 roku. Czy wszystkiemu zawinił tylko nagły i niespodziewany atak zimy? Czy niesolidność, nierzetelność nie były powodem wielu utrudnień? Rozsądek nakazuje: zrób to, co masz zrobić, dokładnie! — ale natura, która uwielbia wszelkie ułatwienia sobie życia, podszeptuje: jakoś to będzie! I człowiek woli słuchać wygodnej natury. A nuż się uda?

Tak jest świat urządzony, że aby społeczeństwo mogło należycie funkcjonować musi się opierać na wzajemnym zaufaniu. Musi istnieć pewność, że każdy swoją pracę wykona należycie. Ale często takiej pewności nie mamy. Zbyt często zdarza się temu i owemu postępować w myśl obłędnej zasady: jakoś to będzie. Tylko, że wtedy tu i ówdzie zaczyna się coś w naszej społecznej machinie rwać, zgrzytać i nie zaskakuje. A jak nie zaskakuje, to rodzą się trudności i kłopoty. Trzeba wtedy podpowiadać, zastępować, robić za innych.

W owych mroźnych dniach tegorocznej zimy trzeba było na przykład podpowiadać, przypominać i polecać dozorcom, aby okna pouszczelniali i drzwi zreperowali. Niby drobiazg, ale przecież wielu liczyło, że jakoś to będzie. Nie było. I znów zaczynamy tęsknić za rzetelnymi rzemieślnikami, którym nic nie trzeba było przypominać, bo sami o wszystkim dobrze wiedzieli.

Szanujmy dobrych rzemieślników, ale też starajmy się ich naśladować.

MARCIN RODAK

lewym okiem

JAK PANTERA...

Jeden po drugim znikają z powierzchni ziemi gatunki zwierząt i ptaków. Tylko dwa wykazują wciąż tendencję gwałtownie rosnącą: ludzie i — za przeproszeniem — szczury. Widocznie dobrze im wzajemnie ze sobą, uzupełniają się, pomagają sobie jak mogą. O ile można mieć niejakie wątpliwości co do ludzi, to szczury już bez swego ludzkiego partnera absolutnie obyć się nie mogą. Nie ma ich w bezludnych okolicach, mnożą się zaś milionami w wielkich metropoliach. Nie wiem, jak to policzono, ale czytałem, że w skali globalnej każdy homo ma swojego szczura i to z ułamkiem.

Inne zwierzaki giną tymczasem z tygodnia na tydzień. I nawet nie zdajemy sobie sprawy, jak głębokich zmian będziemy musieli dokonać we wszystkich dziedzinach życia, w związku z nadchodzącą zagładą lwów, słoni, sokołów i panter. Weźmy na przykład nasz zwykły, codzienny język.

Mówimy przecież, że ktoś jest odważny jak lew albo zdrów jak tur. Ostatni tur zginął trzysta lat temu, nikt nie wie jak to bydlę wyglądało i czy akurat ono cieszyło się wyjątkowym zdrowiem. Jeśli słyszę, że Kowalski jest zdrów jak tur, to raczej wyobrażam sobie, że żyjący kiedyś tam jakiś tam tur musiał mieć mniej więcej zdrowie Kowalskiego, czyli nieżyt jelita grubego i odciski. Mamy tu klasyczny przykład próby definiowania ignotum per ignotum: nie znając zdrowia Kowalskiego, mówimy że jest ono takie samo jak zdrowie tura, którego również nie znamy. Pustosłowie. Po co nam taka gadanina? Czy nie należałoby zacząć mówić zrozumiale: silny jak traktor? Zdrów jak... bo ja wiem... jak szyna kolejowa?

„Mój dzielny sokole" — śpiewały niegdyś zakochane dziewice. Ale cóż, jedyny sokół jakiego widziałem był wypchany i nadgryziony przez mole. Musimy wierzyć na słowo, że były to ptaki szczególnie piękne i szlachetne. Dopiero pod warunkiem takiego strzelistego aktu wiary słowa dziewiczych pieśni przestaną być pustym dźwiękiem. Trochę lepiej przedstawia się sprawa z panterą: „Jak pantera, co w złotej klatce śpi" — owszem, jest taka w naszym ZOO i rzeczywiście przeważnie śpi, tyle że klatka nie jest złota. Tu już mamy konkretny punkt zaczepienia dla wyobraźni: dama, o której śpiewano w słynnym przeboju sprzed półwiecza, przypominała autorowi panterę, więc pewnie często musiał widzieć tę damę zwiniętą w kłębek tyłem do wszystkich, przesypiającą całe dnie po to, żeby nocą wrąbać kawałek nieświeżej koniny. Ale co będzie, gdy i w ogrodach zoologicznych pantery wyginą? I to niedługo, bo ponoć nie chcą się w klatkach rozmnażać. O czym będziemy śpiewać — o obrabiarkach? Do kogo przyrównamy znajomą, zalotną panią — do świateł na skrzyżowaniach, bo też mrugają?

Jeśli w rozmowie z młodzieńcem chwalę się, że mam w swej bibliotece białe kruki — to on nie wie, co ja właściwie chcę powiedzieć. Kruka prawie nikt z żywych na oczy nie widział, muszę więc założyć, że mój rozmówca gdzieś tam kiedyś przypadkowo dowiedział się, że kruk to sama czerń, synonim czerni; dopiero wtedy mój język będzie zrozumiały, ale jak długo jeszcze? Sto lat? Dwieście?

Chrońmy więc zwierzynę i przedłużajmy jej smętny żywot dopóki się da. Inaczej trzeba będzie od nowa uczyć się ojczystej mowy...

ĆWIEK

sport

POCZEKAJMY NA SKUTKI

Sprawy sportu zawędrowały aż do Sejmu. Sejmowa Komisja Zdrowia zajęła się merytoryczną i finansową działalnością klubów sportowych oraz przygotowaniami do Olimpiady w Moskwie, która — jak wiadomo — odbędzie się tam w 1980 roku. Oceniając te sprawy posłowie znaleźli się mniej więcej w takiej sytuacji, w jakiej od dawna znajduje się opinia publiczna, kibice i sympatycy sportu: zadali szereg pytań na które zresztą nie znaleźli odpowiedzi. Zdziwili się również, że spraw finansowych klubów oraz występujących od lat w sporcie nieprawidłowości nie można rozwiązać i uporządkować. Przedstawiciel Najwyższej Izby Kontroli którego też indagowano w sprawach występujących w sporcie nieprawidłowości, niewiele miał do powiedzenia, poza zapewnieniem, że wykroczenia finansowe w sporcie będą traktowane z taką samą surowością, jak wszelkie inne.

Ano właśnie. Jak poinformował kilka dni temu „Sztandar Młodych", w Częstochowie porwano dwóch piłkarzy: Mirosława Małolepszego do Zagłębia Sosnowiec i Zdzisława Sławuta do... ŁKS. Porwano ich oczywiście za ich pełną zgodą. Chodziło tylko o to, aby kibice RKS Raków Częstochowa temu nie przeszkodzili. Wozy meblowe z Sosnowca i Łodzi dyskretnie podjechały pod mieszkania częstochowskich piłkarzy i zabrały ich do miast, w których są znane pierwszoligowe kluby tak bardzo potrzebujące przecież dobrych piłkarzy. I dopiero po tym, jak wozy meblowe dotarły do miejsc przeznaczenia, do Zarządu RKS Raków w Częstochowie nadeszły pisma z Łodzi i Sosnowca, w których prosi się częstochowski klub, aby nie czynił trudności w przejściu częstochowskim piłkarzom do innych klubów. I jak pisze Janusz Cieśliński w „SM", aby było śmieszniej na podaniu Zdzisława Sławuty do ŁKS widnieje data przyjęcia tego podania... 92 grudzień 1978 roku. RKS Raków Częstochowa przekazał sprawy obu piłkarzy do rozpatrzenia PZPN. I zrobił sprytnie.

22 stycznia 1978 roku weszło w życie „Zarządzenie przewodniczącego GKKFiS w sprawie ograniczenia zmian barw klubowych przez zawodników przed Igrzyskami Olimpijskimi 1980 roku". Zarządzenie to obejmuje wszystkie sprawy zmiany barw klubowych, które zaczęto przed 22 stycznia 1978 roku i do tej pory nie zakończono. A więc pierwsze sprawy do rozpatrzenia już są. Formalnie obaj piłkarze powinni wrócić do RKS Raków Częstochowa. Zarządzenie przewodniczącego GKKFiS wstrzymuje bowiem do 15 sierpnia 1980 roku zmiany barw klubowych wszystkich członków kadry olimpijskiej, zawodników posiadających klasę mistrzowską, zawodników drużyn I ligi w piłce nożnej, siatkówce, koszykówce, piłce ręcznej i hokeju na lodzie oraz zawodników drugiej ligi w piłce nożnej. A właśnie RKS Raków z Częstochowy jest w drugiej lidze, a Zdzisław Sławuta był mistrzem strzelców tej ligi.

Wszakże zarządzenie owo daje wyjście z sytuacji. Gdyż stwierdza ono, że „w wyjątkowych wypadkach uzasadnionych względami szkoleniowymi lub ważnymi względami życiowymi, może nastąpić przejście zawodnika". Decyzję wprawdzie musi podjąć przewodniczący GKKFiS, ale ważne względy można zawsze wymyślić. No i teraz zobaczymy, jak się potoczą sprawy, kto kogo przechytrzy.

Zarządzenie przewodniczącego GKKFiS o wstrzymaniu zmian barw klubowych przyjęto z zadowoleniem, chociaż niektórzy obawiają się, że owa klauzula o wyjątkowych względach da co poniektórym klubom, mającym dobre wpływy i stosunki, możliwość skompletowania sobie dobrych zespołów, jako że każdą zmianę można uzasadnić względami szkoleniowymi. Panuje przecież powszechne przekonanie, że dobrzy piłkarze, hokeiści, siatkarze wyrastają w klubach mających więcej czasu na szkolenie niż mocarze pierwszej ligi, a później dla dobra rozwoju ich talentu muszą przechodzić do klubów pierwszoligowych.

Komentatorzy ucieszyli się i z tego powodu, że wspomniane zarządzenie ma dać GKKFiS czas na przygotowanie takich postanowień, które mogłyby radykalnie uregulować wszelkie klubowe sprawy, aby już nie powstawały nieprawidłowości i nie było okazji do robienia kantów. Tylko zupełnie nie rozumiem, dlaczego potrzeba do tego spokoju, jaki ma fachowcom zapewnić owe zarządzenie. Wydaje się, że sprawa wygląda inaczej. Uporządkowanie sportowego podwórka stało się już koniecznością wyższego rzędu i owo zarządzenie trzeba traktować jako wstęp do takich czynności. A wziąć się za to trzeba niezależnie od tego, czy w klubach będzie panował spokój, czy toczyć się będzie kadrowa karuzela. Innego wyjścia nie ma.

Zresztą najbliższy czas pokaże, na ile skuteczne jest owo zarządzenie, bo nie jest ono pierwsze w historii naszego sportu. I jak samo życie pokazuje, zarządzeniami niewiele można zmienić, jeśli nie usunie się istotnych przyczyn zaistniałej sytuacji. A tych przecież owo zarządzenie nie dotyka.

BOGDA MADEJ

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch" Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438. Telefony 652 41 i 680 99 Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 95. A-2.